

~~J~~

J. K.

PAMIĘTNIKI
STAREGO PARASOLA.

Z DRUKARNI NAR. W. MANIECKIEGO.

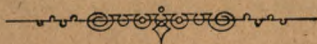
J. Kucabinski

PAMIĘTNIKI
STAREGO PARASOLA

PRZEZ

Włodzimierza Zagórskiego

(Chochlika)



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

IWOW

NAKŁADEM WYDAWNICTWA „RÓŻOWEGO DOMINA“

Główny skład w księgarni F. H. Richtera (H. Altenberga)

1 8 8 4.



3787

<http://rcin.org.pl>

PAMIĘTNIKI
STAREGO PARASOLA.

PROLOG
ZACZAROWANY PARASOL.

WYDAWCA

STAREGO PARASOLA

WYDAWCA

WYDAWCA

Do

*Wielmożnego JMCI Pana Włodzimierza Zagórskiego
redaktora humorystyczno - satyrycznego tygodnika
„Różowe Domino“.*

we Lwowie.

Wielmożny Panie i Dobrodzieju!

Tuzin piór już zgryzłem, i librę papieru zepsulem, zabierając się do pisania tej oto — jak ją moja Jejmość nazywa — przedmowy do szpargałów, które tutaj w załączeniu Panu Dobrodziejowi posyłam.

Spodziewam się, że po tej sumiennej deklaracji nie posądzi mię już nikt o to, że to ja te bzdurstwa popisałem. Bo najprzód nie jestem — Bogu dzięki — żadnym starym parasolem, i nie mógłbym — prawdę powiedziałszy — wiedzieć, co sobie taki stary parasol myśleć może, a powtóre dla tego, że ani ja, ani śp. ojciec mój, ani też żaden z naszego rodu nie bawiliśmy się nigdy w skrybenterję.

Już to — nie chwałąc się — mieliśmy w tem i rację, bo proszę Pana Dobrodzieja, na co się też ta

skrybenterja komu przyda? Kto z urodzenia już mądry, ten — prawdę powiedziawszy — w książkach rozumu szukać nie potrzebuje, a kogo — jak to powiadają — *durnyj pip ochrestyw*, ten i w kalendarzu mądrości nie najdzie.

Ot, np. aby nie szukać daleko: mój dawny arendarz Icek! Prawdę powiedziawszy prosty żyd; jak to mówią *ani czytaty, ani pysaty!* A jednak patrz pan Dobrodziej, szelma dorobił się majątku, i jest sobie tera panem na Zastawnej, podczas gdy dawniejszy jej dziedzic, a sąsiad mój p. Inocenty wszystko stracił, i musiał sprzedać swoją ojcowiznę żydowi, chociaż nie przymierzając — jak rabin jaki całe życie w bublach tylko siadywał.

A trzeba panu Dobrodziejowi wiedzieć, że ta Zastawna — *fiu! fiu!* — to pański majątek! Tysiąc morgów pszennej gleby, lasy dębowe, łąki, młyny, propinacja, pałac, gorzelnia, wołownia Panie na dwieście sztuk! — słowem — jak to powiadają — brak tylko chyba ptasiego mleka! — A wszystko to dostało się było panu Inocentemu zagospodarowane, że aż haj, i do tego bez grosza długu. No i poszło to wszystko jak gdyby z dymem. Patrz Pan Dobrodziej do czego to te szpargały prowadzą!...

Mojem tedy — jak to mówią — zdaniem, powinien każdy mieć swój rozum własny, a kto co wie lub umie, ten niechaj to schowa dla siebie. Gdyby tak wszyscy myśleli, to dalibóg, mniej by było zgorszenia

na świecie! Ale gdzie tam: dzisiaj każdy chce pokazać, że jest mądrzejszym od drugich, i dawaj pisać a pisać. A wszystko to — prawdę powiedziały — wychodzi tylko djabłu na chwałę, a ludziom na zakalę, jakieśmy tego dowód mieli nie dawno na „Porcyach“, i na panu Tarnowskim.

Jeżeli więc mimo tych — jak to mówią — zasad i przekonań zabieram się dzisiaj do pisania, to robię to z musu a nie z ochoty; prawdę powiedziały, jedynie dla świętego spokoju, ot, aby dogodzić mojej Jejmości, która mi ciągle głowę suszy, dowodząc, że to jakieś „Pamiętniki starego parasola“ są bardzo ciekawe. A że się prawdziwie cudownym sposobem właśnie do mnie przyplątały, więc powiada mi moja żona: Powinieneś je Bonifasiu wydać koniecznie, a wydając, opowiedzieć jakim one sposobem dostały się w twoje ręce!

Tfy! — Panie odpuść! Aż strach bierze pomyśleć, na co mi się tu porywać przychodzi. Gotowi jeszcze człowieka na starość ogłosić fiksatem, bo proszę Pana Dobrodzieja, czy też to rzecz w świecie słyszana, ażeby jakiś tam stary parasol umiał pisać, i do tego jeszcze „Pamiętniki?“ — Kto temu zechce uwierzyć? Oczywiście nikt! Bo i ja sam — prawdę powiedziały — gdybym na to nie był patrzył własnymi oczyma, to, dalibóg, musiałbym chyba myśleć, że to moja Jejmość bierze mię — jak to powiadają — na fundusz, razem z tym młodym dyrektorem, któregom

do chłopców przyjął, akurat rok temu będzie na Gromniczną, a który całymi wieczorami z moją żoną duchy wywołuje z stolików, a po całych nocach nie tylko wiersze jakies gryzmoli, i naftę mi przytem wypala.

Przyznam się Wielmożnemu Panu Dobrodziejowi, że myśl ta dręczyła mię z razu bardzo, nie tylo wedle tej nafty — chociaż Bogiem a prawdą i nafty szkoda, bo ją teraz tak opodatkowali, że szelma droga jak cynamon — kilo wedle tego, że, jak to powiadają djabeł nie spi, i człowiek jak się spać kładzie, to wie że łysy, a jak rano z łóżka wstaje, to wiedzieć nie może, czy mu tam co przez sen na głowie nie wyrosło. Zrozumiesz więc Wielmożny Pan Dobrodziej, iż obawiając się aby ludzie nie powiedzieli, że to ja jestem owym starym parasolem, musiałem się całą siłą opierać naleganiom mojej Pani, gdy na mnie nastawała, abym wydał te szpargały, które tu załączam, a w dodatku jeszcze napisał do nich przedmowę. Ale poradź że tu co'z kobietą, kiedy się uprze! Daremnie się bronilem, daremnie — jak to mówią — perswadowałem:

— „Zefiryńciu duszko! Ta z kąd? Ta na co? Ta po jakiemu?“ — Aha przekonasz! Powiadam Panu Dobrodziejowi na nic wszelkie perswazje! Ja swoje, a ona swoje, twierdząc że to duchów sprawa, i że niebezpiecznie jest opierać się woli ducha, który pisał te „Pamiętniki“, a który się widocznie tego domaga, ażebym ja Bonifacy Baltazar, Beno, trojga imion Hołobutowski zajął się ich wydaniem.

Ha, no, cóż mam robić nieszczęsny w tym wypadku? Trudno mi przecież spierać się równocześnie i z żoną i z duchami, których mi tyle nasprawdzali do domu, że człowiek — prawdę powiedziałszy — aż pocierpa usiąść na krześle, albo na kanapie, ażeby niechący przypadkiem nie obrazić jakiego nieboszczyka. Koniec końców poddałem się konieczności: dziej się wola Boża! — W imię Ojca i Syna i Ducha! piszę! — I kto wie, może ta ciężka ofiara uspokoi raz przecież tych duchów, które widocznie naważyły na mój spokój.

Otóż Panie Dobrodzieju krótko mówiąc tak było:

Ostatniego stycznia tego roku wybrałem się do Lwowa, ażeby podnieść w Towarzystwie kredytowem pożyczkę, którą zaciągnąłem na przykupienie stu morgów od mego sąsiada pana Atanazego, a przy tej sposobności przywieźć do dzieci dyrektora. Bo to — powiadam Panu Dobrodziejowi nie chwaląc się — chłopcy niewroku jak dęby, a rozpustne to było, że sobie z nimi rady dać nie było sposobu. Przyjeżdżam więc do Lwowa nocnym pociągiem, i walę wprost do Kuny, gdzie od lat trzydziestu zawsze zajeżdżam. Nie ma co mówić, hotel porządny, i jak na Lwów wcale tani, tak że go każdemu sumiennie mogę zarekomendować. Po starej znajomości dał mi kelner Moszko pokoiik wygodny, a niedrogi, i pościel całkiem czystą. — A że byłem — prawdę powiedziałszy — zmęczonym z podróży, więc zasnąłem tak smacznie i twardo, że na drugi dzień ani rusz nie mogłem sobie przypomnieć, co mi się na nowem miejscu śniło. Na-

zajutrz ledwie oczy otworzył — patrzę, aż tu wchodzi mój faktor Mortko. No patrz Pan Dobrodziej co to znaczy żyd! Już się bestyja dowiedział, że przyjechał do Lwowa, i zaraz się przyszedł zapytać, czy nie ma jakiego interesu?

— Phi — myślę sobie — nie głupi ja tobie gadać, że przyjechał kończyć z panem Atanazym. Bo ten Mortko to powiadam Panu Dobrodziejowi huncwot sprytny, że aż strach! Prawdziwy minister. Jak to powiadają — Bismark prawdziwy! Odrazu by się była szelma wkręciła do interesu, i byłby go albo zepsuł, albo bym się musiał grubo mu opłacić.

— Ha — powiadam mu więc z westchnieniem — Cóż mię tu mogło do Lwowa sprowadzić? Ot zwyczajnie kłopoty! — Widzisz mój drogi — powiadam — chłopcy mi dorastają, tfu, tfu niewroku! krew i mleko! To cała moja pociecha, cała moja nadzieja! Dla kogoż ja — powiadam — pracuję, jeżeli nie dla nich! Ty Mortuniu także ojcem jesteś, to ty to najlepiej zrozumiesz! Otóż widzisz mój kochany — powiadam — trzeba ich zacząć uczyć, bo od tego profesora ze wsi, co ich teraz uczy, niczego się nie nauczą. Trzeba ich zacząć edukować, potrzeba mi powiadam — do nich dyrektora, coby był i nie drogi, i uczony, i moralny i umiał dzieci trzymać w rygorze. Bo to ci powiadam, Mortuniu, ciekawe, że aż strach! I boję, się żeby mi się to nie popsulo bez nadzoru. Do kogoż ja się tu udam nieszczęśliwy, żeby mi wyszukał takiego człowieka!

— Ny, niech Wielmożny Pan pójdzie do profesorów, to woni Wielmożnemu Panu zarekomendują...

— Et — powiadam mu na to — co mi tam profesory? co mi tam rekomendacje? Czy to mię profesory znają? czy to ja ich znam? Ot, zarekomendują mi pierwszego lepszego, aby się mnie pozbyć czem prędzej; a ten pierwszy lepszy każe sobie za naukę zapłacić jak za woły. — I kto wie jakie mi tam potem w domu narobi awantury? Ciebie jednego we Lwowie Mortuniu znam, i na twoją tylko rekomendację mógł bym się spuścić bez obawy. Bo ty mój kochany — powiadam — i głowę masz i serce, i jesteś moim przyjacielem.

— Wielmożny Pan barz laskawy, ale ja szę na tem nie znam! Ja tylo zwyczajnie prosty żyd, i faktor od interesów...

— Et, nie gadaj — powiadam mu na to. Ja wiem co ty wart jesteś. Ty Mortuniu drogi nie jesteś żyd; ty jesteś szlachcic, dalibóg szlachcic całą gębą, a głowę masz taką, jak minister. — Ot, wiesz co, — powiadam — daję ci pełnomocnictwo, i spuszcza się na ciebie zupełnie. Ja wiem, że ty to lepiej potrafisz odemnie. Wyszukaj ty mi, powiadam, do dzieci dyrektora, ale wiesz takiego, coby był i nie drogi i uczony i moralny i umiał chłopców trzymać w rygorze, a w czasie żniw doglądnąć żeńców, bo przecież wiesz Mortuniu, powiadam, że powaga grunt, i *łajka to bajka a bytwa to mołytwa!* No, a jak go wyszukasz,

powiadam, to go starguj, spuszczam się całkiem na ciebie! I zgódź go, ot tak po przyjaźni, jakbyś go dla własnych dzieci godził, a ja ci zato przyszlę trzy korce kartofli!

— No i coż Pan Dobrodziej powiesz na to? Basowanie to poskutkowało tak wybornie, że mój żydzisko jak poleciał szukać dyrektora, tom go nie zobaczył aż na drugi dzień, tak żem mógł spokojnie dobić interesu. A trzeba Panu Dobrodziejowi wiedzieć, że te sto morgów, com je wtedy przykupił, to jak to mówią, czysty humus, ziemia, powiadam Panu, jak tabaka! A wchodziło mi to, że tak rzekę, akurat klinem w ten łan, co go tu mam jak raz za samem gumnem. No, i patrz Pan Dobrodziej! Wszystko to dostało mi się, jak to mówią, taniej barszczu, po pięćdziesiąt reńskich za morg. Bo pan Atanazy to wielki pan i spuszcza się całkiem na adwokata! Gdzie on tam wie co wart taki kawalek! Ot, zwyczajnie polityk, persona do gadania, a nie do interesu. Wiecznie ylko jeździ po sejmach i po raichsratach, a wiecznie mu potrzeba pieniędzy!

Na drugi dzień o dziesiątej akurat na samą Gromniczną mieliśmy podpisać kontrakt u notariusza. Ubrawszy się więc w nową kapotę, wychodzę o pół do dziesiątej na ulicę, a tu Panie leje deszcz jakby gdzie w maju, albo w czerwcu około św. Jana, i doróżki żadnej nie widać choćby na lekarstwo. Stałem więc w bramie hotelu, ażeby przeczekać

ulewę, ale daremnie! Szczęściem nawija się żyd z parasolami i narzuca mi swój towar.

— Ta myślę sobie, jeżeli nie drogo, to warto kupić. Prawdę powiedziałaś interes pilny jest; fiakra pod ręką nie ma; puścić się w taki deszcz szkoda kapoty, a parasol takoj się chłopcom przyda za jakie dwa trzy lata, kiedy ich oddam do szkoły w mieście. I targ w targ kupiłem całkiem nowy jeszcze, prześliczny jedwabny parasol za półtora reńskiego, po czem pobiegłem czem prędzej do notariusza. Bo przyznam się Panu Dobrodziejowi, że chociaż pewny byłem adwokata, a z panem Atanazym traktowałem interes — jak te powiadają — bardzo politycznie, udając że się do tego kupna nie palę, i że tylko łaskę robię kupując ten kawałek, to jednakże bałem się bardzo, aby się to nie rozeszło.

Obawy te były jednak — jak to mówią — płonne; wszystko poszło jak po maśle, i o jedynastej było już po harapie. Wracam więc wesoło do hotelu, aż tu na rogu ulicy spotykam pana Józefa, mego serdecznego przyjaciela któregom już z pięć lat nie widział.

— A co tam? a jak tam? — Ha no: tak a tak, tak a tak! opowiadamy sobie i to i owo; a żeśmy dużo mieli na wątrobie, więc ażeby nie stać na deszczu, wstąpiliśmy na wódeczkę do cukierni. Minęło tak na gawędzie dobre pół godziny, wychodzimy, a tu nie ma mego parasola. Pamiętałem, że go miał z sobą, i postawił przy drzwiach w kącie. więc do cukiernika: „Jak

to może być, żeby mi przepadł nowy parasol, com go dziś kupił dopiero? — Cukiernik szuka po wszystkich kątach; Rozstap się ziemio nie ma! Powiadam Panu Dobrodziejowi kamień woda! Nareszcie po długiem czekaniu przynosi chłopiec, gdzieś aż z trzeciego pokoju jakieś stare perkalowe parasolisko, obdarte, poplamione że aż strach, i powiada że to mój parasol.

— Ta gdzież, to mój? powiadam. — Mój był nowiusieńki jedwabny; dopiero go dziś kupiłem. — Pamiętam Mości Dobrodzieju, że miał rączkę z żelaza, a ten ma zamiast rączki, jakiegoś kościanego dziadka, Taż przecie — powiadam — znam mój parasol!

— Ha no! — powiada mi na to cukiernik. — Musiał go jakiś gość przez pomyłkę zamienić. Niech Wielmożny Pan przyjdzie jutro. Może do tego czasu — powiada — ten pan, co zamienił parasol, odniesie go tu napowrót, jak zobaczy że się pomylił.

— Ta gdzie jutro? — powiadam cukiernikowi na to. Ja tu Panie Dobrodzieju — powiadam — nie przyjechałem się bawić. Ja tu zwyczajnie tylko za interesem; — jak to powiadają — po ogień, taj wracam zaraz duchem na wieś do siebie. Taż przecie — powiadam — nie będę czekać do jutra, i płacić jeszcze hotel w dodatku, aż się ten jegomość zmiłuje, i odniesio mi moją pracę!

— To niech Pan Dobrodziej — powiada mi znowu cukiernik — przyjdzie po obiedzie. Popołudniu tak około drugiej schodzą się tu panowie na czarną kawę to może się i parasol odszuka.

— A czy to ja mam czas chodzić po cukierniach na czarną kawę? — powiadam ja mu na to. Ja Panie Dobrodzieju idę teraz prosto sznurkiem do Kuny, do hotelu, bo muszę przecie czekać na dyrektora do dzieci, co mi go ma sprowadzić mój faktor Mortko. Mnie Panie — powiadam — interes w głowie, a nie czarna kawa! Tak Panie Dobrodzieju cukiernikowi powiadam.

A on mi na to: U Kuny? To ja Panu — powiada — odeszłę parasol do Kuny, jeżeli go kto odniesie. U nas nie może być, ażeby coś przepadło. Tu — powiada — chodzą tylko sami porządni panowie.

— Aha, odniesie — odpowiadam ja mu na to. Głupi by był odnieść, skoro złapał nowiuteńki jedwabny parasol, a mnie za to zostawił takiego gałgana. Taż przecie — powiadam — nie był ślepy, żeby nie widzieć, że co kitajka to nie perkal, a co żelazna rączka to nie kościany dziadek. Porządni panowie! Ouwa wielki mi rarytas! Ot powiadam, cygaństwo, taj już!

— Ha no — odpowiada mi tamten znowu, a poczerwieniał szelma jak burak ze złości. — To ja już na to nie poradzę! Tu — powiada — publiczne miejsce, i każdy powinien pilnować swoich rzeczy, Ja przecie nie mogę ręczyć za wszystkich, co tu przychodzą.

— A niechże was tu wszystkich z waszym Lwowem za moją szkodę jasny piorun trzaśnie! — zawołałem już z pasją, bo przecie — jak to powiadają — i kociuba ma serce, i jak na nią kto nastąpi, to ona

bije. — To wy to — powiadam — nazywacie miastem? Nie ma co mówić: piękne miasto! To jeszcze gorsze lasu — powiadam. Nawet i w biały dzień w cukierni nie można być pewnym, że człowieka nie obrabują!

I — prawdę powiedziałszy — aż mi się trochę zrobiło, żem tak porządnie nasypał temu cukiernikowi za moją szkodę, bo jak to powiadają — czem serce nabite, to tem i pysek strzela. Ale pomimo tej ulgi, zawsze mi jeszcze było markotno za moją stratą, więc też zły jak pies poszedłem do hotelu, zabrawszy z sobą ten podrzucony parasol, ażeby mieć choć coś za mego półtora guldena. A przyznam się Wielmożnemu Panu Dobrodziejowi, że do dziś dnia tego odżalować nie mogę, żem się zlakomił, i nie zostawił cukiernikowi tego gratu; — byłby szelma przynajmniej odpokutował za moją szkodę. Ale kaciż tam wtedy wiedzieli, że ten parasol to inkluz, i że zabierając go z sobą, sprowadzę sobie do domu nieszczęście taj kłopoty.

Dopiero jakim przyszedł do hotelu zrobiło mi się jakoś jaśniej, bo w bramie zobaczyłem Mortka, który tam już czekał z dyrektorem. Przyznam się Panu Dobrodziejowi, że dziś mi się jeszcze śmiać chce, kiedy pomyślę, jak ja tego żyda wykierował. Bo ten Moszko to — powiadam Panu — majster, filozof, strach! No i patrz Pan Dobrodziej, dał się złapać, i ani się domyślał jaką ja mu pieczeń sprzątnąłem z przed nosa. A widzisz — myślę sobie — a brrr! nie dla psa

kielbasa, nie dla ciebie faktorne! I wesół, że mi się ta gratka udała, pytam go:

— A co tam słychać Mortuniu?

— Wszystko doskonałni — odpowiada mi na to, uśmiechając się i mrugając z podełba oczyma. Jest pan dyrektor Korbaczowski, gotów z Wielmożnym Panem dziś zaraz wyjechać do Cielątkówki.

— Ha no — dobrze, powiadam — dobrze! Bo przyznam się Panu Dobrodziejowi, że mi się ten pan Korbaczewski podobał zaraz na pierwsze wejrzenie. Chłop — powiadam Panu — jak dąb, prawdziwy — jak to mówią — grenadjer! Plecy, ot takie, a kark nieprzymierzając jak u woła!

— Nie ma co mówić — myślę sobie — persona co się zowie, Dobrze mi się spisał Mortko. Takiego mi właśnie potrzeba, ażeby chłopców poskromić. A przy gospodarstwie mogę mieć z niego także pomoc i pociechę, bo to — prawdę powiedziałszy — i powaga jest, i głos jak gdyby z beczki. No, a gdybyś mu tak Bonifasiu — myślę sobie — oddał prowadzenie rejestrów, toby ci je z pewnością lepiej poprowadził niż ten bałwan Kańczukowski, na którego się aui rusz spuścić nie można, bo sobie wiecznie tylko palkę zalewa.

Więc też poszedłszy z nim do stancyi w krótkich słowach dobiłem interesu, nie targując się nawet tak bardzo, choć widocznie przez tego huncwota Mortka nauczony, zażądał aż dwadzieścia reńskich na miesiąc. Ha — myślę sobie — prawdę powiedziałszy kupa to

pieniędzy, ale jeżeli mi dobrze poprowadzi rejestra — a to będzie już moja rzecz nakłonić go powoli do tego — to będę Panie Dobrodzieju mógł napędzić tego pijaka Kańczukowskiego, co mi się tak jak óma jaka włóczy po gospodarstwie bez pożytku. A tak, mając — że tak rzekę — i dyrektora i pisarza w jednej osobie, zrobię jeszcze na tem wszystkim dobry interes. Dobiwszy więc targu, wyjechałem z nim tego jeszcze samego dnia poobiednim pociągiem do Cielątkowic, do siebie.

Przyznam się Wielmożnemu Panu Dobrodziejowi, że choć z tym dyrektorem miałem — jak powiadam — wielką szpekulację, to jednakże — prawdę powiedziałszy — ani mi się śniło, że to taka mądra głowa, taki — jak to mówią — filozof! Dopiero jak się z moją Zefiryńcią rozgadał, to — powiadam Panu Dobrodziejowi — strach! ażem języka zapomniał. Gęba — mówię Panu Dobrodziejowi — jak u biskupa. A gada tak, że człowiekowi — jak to mówią — rozum aż czapka staje, skąd on nabrał tyle mądrości?

Co się jednak Zefiryńci najlepiej w nim podobało, to jego skromność. Bo to powiadam Panu Dobrodziejowi chłop już pod wąsem, i miły przytem jak przylepka; — a kiedy przyszedł Kańczukowski z raportem i zaczął po swojemu rozpowiadać, że Byczula ciele zrzuciła, i że tam takiego to a takiego potrzeba lekarstwa, to nasz młody dyrektor — powiadała mi Zefiryńcia, bom ja tego nie widział — smyk oczy

w dół, taj stanął — że tak rzekę cały w ponsach, akurat jakby jaka panienka.

— Ha no — powiadam ja Zefiryńci na to. Tem ci lepiej, kiedy taki — jak powiadasz moralny. Będzie przynajmniej spokój w domu, nie tak jak wtedy, kiedy tu przyjechał z komisją ten młody dyurnista, co to — pamiętasz? powiadam — całemi wieczorami grał na gitarze, a myszkował za fartuszkami — nie przymierzając rychtyk tak jak kuna, kiedy się gdzie zanęci do kurnika.

— Ależ sercuniu — powiada mi na te Zefiryńcia — co to za porównanie! To niebo a ziemia, akurat tak jak dzień a noc! Tamten to — powiada kozak, wypłusz jakiś ze świata! Żeby go też cudem postawiło, za te zgorzenie, jakie mi tu naprowadził. A ten to — powiada — poważna persona! skromny jak zakonnica, a edukowany aż miło.

— Ha no — odpowiadam ja jej na to — widzisz Zefiryńciu dziecko, jak to dobrze, żem się spuścił na Mortka a nie chodził po profesorach. Ta gdzieby mi profesory takiego zarekomendawali. To powiadam — w takich razach najlepiej jest udać się do faktora, bo faktor wie jak komu dogodzić.

Jednem tedy słowem — jak to mówią — zaraz z miejsca podobał się już wszystkim młody nasz dyrektor, a nawet i dzieci potrafił sobie jakoś od razu przyhołubić. Chłopczyska, co to bywało dawniej za wiejskiego nauczyciela uciekali przed nauką, jak (Duch Święty, przy nas chrzczonych!) djabeł przed święconą

woda, to teraz Panie — niebo ziemia! — zaczęli się rwać do książki, wyraźnie jakby ich kto odmienił! A wszystko to — prawdę powiedziawszy — bez hałasu, bez krzyku, bez różgi — prawdziwie cudem! Zefiryńcia, która z troskliwości macierzyńskiej, zaraz na drugi dzień zaczęła — jak to mówią — asystować przy lekcjach, aby się przekonać jak też pójdzie z nauką; nie mogła mi się — powiadam Panu — nachwalić, jak on się mądrze zabrał do tej roboty. To też choć zaraz już w pierwszych dniach zażądał, żeby mu dać lampę zamiast świecy, a nafta zaczęła iść — że tak rzekę — jak gdyby woda na łotokach — bo prawdę powiedziawszy — co noc bańkę prawie wypalał, nie żałowałem zrazu tej ekspensy. Niech świeci — myślę sobie — kiedy mu tak potrzeba. Kto wie może ma biedaczysko jaką pilną robotę, a że cały dzień dziećmi jest zajęty, więc ją musi kończyć po nocy. Prędeej trocha czy później skończy się ta praca przecież, a wtedy i ekspens ustanie.

W taki to sposób tłumaczyłem sobie wtedy tę nocną pisaninę naszego młodego dyrektora, bo — prawdę powiedziawszy — ani mi się śniło, żeby to mogło być sprawą duchów. Dziś, gdy się już na moje nieszczęście na własne czy przekonałem, że w tym starym parasolu, co mi go we Lwowie podrzucono, siedzi duch zawzięty na spokój mojego domu, nie mogę już Panie Dobrodzieju w tem widzieć nic innego, jak tylko skutki czarów. Bo przyznaj mi Wielmożny Pan Dobrodziej, czy też to rzecz w świecie słyszana, ażeby

żeby ktoś w dzień pracował, a po nocy przy lampie wiersze gryzmolił? Na świecie! na to by chyba potrzeba warjata! Taż przecie każdy woli spać, a niżeli ślipać po nocy! Chyba że go duch jakiś opęta, tak jak opętał naszego młodego dyrektora.

A teraz trzeba Wielmożnemu Panu Dobrodziejowi wiedzieć, że tak jak dziś rzeczy widzę, to wszystko to było dopiero — że tak rzekę — początkiem tych czarów, co spadły na mój dom, a po niejakiś czasie przyczepiły się także i do mojej Jejmości. Zrazu — choć mi w łeb strzel — nie mogłem tego ani rusz zrozumieć, bo chociaż już — Bogu dzięki! — na św. Józef akurat temu będzie lat siedemnaście, jakieśmy się z Zefiryńnią pobrali, to — prawdę powiedziawszy — żyjąc z nią tyle lat, nie zauważyłem tego nigdy, aby się tak bardzo w drukowanym kochała. Gdzie jej tam Panie dawniej bywało zechce się kiedy wiaść książkę do ręki? Ale! Ot, zwyczajnie gospodyni! Nawet i do gazety, co ją dla oszczędności z drugiej ręki biorę od proboszcza, aby się czasem dowiedzieć jak tam zboże we Lwowie stoi, nie była wcale ciekawa. To też był Panie Dobrodzieju spokój wtedy i porządek w domu, aż miło, a jaki rygor? niech się i wojsko schowa. Bo to — powiadam Panu Dobrodziejowi — gorączka: ogień, siarka, proch! A rękę ma taką ciężką, nie przymierzając jakby jaki chłop!

No i patrz Pan Dobrodziej co to za nieszczęście? Na raz całkiem inna kobieta! Powiadam Panu, niebo

ziemia! Wyraźnie jakby mi ją kto odmienił! Ona, co to dawniej bywało sama do wydoju chodzi, sama nawet kury sadza, tak mi się — prawdę powiedziałszy — ni ztąd ni zowąd w drukowanym rozkochała, że dziś już — kubek w kubek dawny mój sąsiad pan Inocenty! — nie tylko cały dzień w bublach siedzi, a gospodarstwo całkiem już puściła na Bożą wolę. Ani się już teraz z nią dogadać po ludzku, taki się z niej zrobił rabin, że aż strach! Powiadam Panu Dobrodziejowi koniec świata, taj już! Całemi wieczorami razem z naszym młodym dyrektorem nie tylko rozmawia taj rozmawia o tych jakichś ideałach, co je tam gdzieś w książkach wyczytała. A jak zaczną o tem gadać ze sobą, to dalibóg aż w uszach szumi, i człowiek prawdę powiedziałszy — siedzi rychtyk tak jak na tureckiem kazaniu, bo ani rusz nie może się wtrącić do rozmowy. Kaciż bo ich tam mogą teraz zrozumieć, kiedy im jakoś całkiem język powróciło, tak że się człowiekowi aż dur głowy czepia, kiedy słucha ich dyskursu. Bo to powiadam Panu Dobrodziejowi człowiek to się u nich nazywa osobnik, a gospodarstwa to już nie wołają inaczej tylko proza!

Aż mi się powiadam Panu ciemno w oczach zrobiło, kiedym pierwszy raz usłyszał takie gadanie, bo mi — prawdę powiedziałszy — zaraz na myśl przyszedł ten naród, co to Pan Dobrodziej wie; — ten, ten, co chciał budować wieżę że pod samo niebo, taj co go to za karę potemu tak opętało, że już jeden drugiego nie mógł zrozumieć.

— Ta gdzie proza? — zawołałem tedy przestraszony. Duch święty przy nas chrzczonych! Opamiętaj się Zefiryńciu serce dla Boga! — Ta gdzie proza? ta jaka tam proza? To — powiadam — przecież nie żadna proza, tylko wół krasy pękł, bo się najadł koni-czyny. Taj — prawdę powiedziałszy — nie winien tu żaden osobnik, tylko ten szelma Iwaś, co się spił jak nie boże stworzenie, taj napoił mi chudobę na gorąco. Albo ten bałwan Kańczukowski powiadam, czy nie powinien to on być pójść doglądnąć pańskiej pracy żeby się daremnie nie marnowała? Ale gdzie mu tam służba w głowie, kiedy sobie pałkę zaleje? Ot, służą, ażeby zbyć! Dalibóg, jeżeli tak dalej pójdzie, to się przyjdzie na śmierć już zairytować, albo pójść jeszcze z torbami na stare lata, taj szczerze nam w rękach wszystko, czegośmy się dorobili, nie przymierzając tak jak bez przprzu kamfora.

No i co Pan Dobrodziej powiesz na to? Zefiryńcie ani to ją obeszło; jak to powiadają — mur, taj mur! Ona, co to dawniej bywało, byłaby ze skóry wyskoczyła na taką nowinę, ani mi nawet słowa nie odpowiedziała na to, choć ten krasy wół, co to mi go zaprzepaścili, to był — że tak rzekę — jej faworyt, bo go — prawdę powiedziałszy — od cielęcia własnymi rękami wychowała. No, i powiem Panu Dobrodziejowi, że kiedym wieczór przyszedł do jej pokoju, ot zwyczajnie, aby trochę pogadać o gospodarskich kłopotach, a powiedział, że trzebaby raz już przecie powiedzieć coś dyrektorowi, aby tak nie świecił po

całych nocach, bo dużo bardzo nafty wypala, to ona mi na to, że to przecież zaszczyt dla nas mieć w domu literata, co wiersze pisze, i że ją Pan Bóg chyba za grzechy jakieś ukarał, dawszy jej za męża takiego osobnika, co jej prozą głowę suszy, a nie się nie rozumie na idealach. Ot, jak to powiadają: *Howory do neho koły win Nimeć!*

Ha no, zgaduj że teraz Zgadula, gdzie moja złota kula? Ani rusz nie mogłem się domyśleć, co to wszystko znaczy. I przyznam się Panu Dobrodziejowi, że się już nawet — prawdę powiedziałszy — zaczął bać, czy się też Zefiryńci przypadkiem myszki w głowie nie zagnieździły. Bo to trzeba Panu Dobrodziejowi wiedzieć, że to strasznie krwista osoba, i że co wiosna to jej humory tak do głowy biją, że aż strach; a krew to się nieraz w niej tak ruca, że aż trzeba wołać curulika. Dopiero jakoś w maju, gdzieś tak koło Wniebowstąpienia, otworzyły mi się oczy, i zrozumiałem, że to wszystko jest sprawą tego przekłętogo inkluzu, co to mi go podrzucili w cukierni we Lwowie na moje nieszczęście. A żeby ich też cudem postawiło za moją krzywdę!

Tu ale wypada mi Wielmożnemu Panu Dobrodziejowi powiedzieć, że tego samego dnia, kiedy z Lwowa do domu wrócił z dyrektorem, i siedząc przy arbacie rozповідаł Zefiryńci o mojej podruży, kazałem Ilkowi przynieść ten nieszczęśliwy parasol, bo mnie — prawdę powiedziałszy — skorciło pokazać dzieciom, jakiego im z miasta przywiozłem gościńca.

Możesz sobie Pan Dobrodziej wystawić co to była za radość taj uciecha! Bo to powiadam Panu chłopcy nieuroku ciekawe, że aż strach! Szczególniej młodszy Filipcio, to nie chwaląc go — mądra głowa jak minister; kubek w kubek moja natura! Otóż więc jak się chłopcy dorwali do parasola, a dowiedzieli, że on dla nich przeznaczony, kiedy ich do szkoły oddam w mieście, tak dawaj go obracać na wszystkie strony to *sinda to tuda*; ot zwyczajnie dzieci, kiedy złapią nową zabawkę! Co im się ale najlepiej spodobałe, to ten kościany dziadek, co tam jest przyczepiony zamiast rączki. bo to — prawdę powiedziałszy — jak raz podobny do mojego arendarza: nos jak ogórek, broda szpiczasta, ślipka czarne, małe jakby je wykręcił kto świderkiem, a mądre że tylko przemówić

Nie uważając wcale na to, co chłopcy robią z parasolem, rozmawiałem z Zefiryńnią dalej o interesach; — zwyczajnie jak to Panie w małżeństwie, kiedy człowiek wróci do domu z podróży. Aż tu raptem woła Filipcio:

— Tato! tato! A wo co ten kościany dziadek miał w swojej głowie!

Patrzę, aż tu kościany dziadek już rozkręcony; osobno broda a osobno główka! A mój Filipcio, jakby go kto na sto koni wsadził, kontent że aż strach! śmieje się, taj podaje mi zwitek papieru, nieprzymierzając rychtyk taki gruby i długi, jak wielki palec u dobrego chłopca.

— Ha no! — myślę sobie — masz babo bał, taj redutę! Już bieda zmajstrowała parasol. Ażeby ukarać tę rozpustę, biore więc chłopca za ucho, chcąc go potermosić trocha nie dla bolu ale dla postrachu; ot zwyczajnie! jak to ojciec co to nie skrzywdzi dziecięcia. Aż tu łapie mię za rękę młody nasz dyrektor, który wziął był parasol z ręki Filipcia, ażeby się szkodzię przypatrzeć, taj powiada

— On nie winien, proszę Pana. Parasol nie zepsuty!... W głowie tego dziadka jest schowek widocznie umyślnie zrobiony dla przechowania tych papierów. Widzi Pan Dobrodziej tutaj jest sprężyna, co tę brodę przytrzymuje; a jak pocisnąć lewe oczko, to sprężyna odskakuje, i broda sama się wysuwa.

Ha no, biore więc okulary i patrzę. Nie ma co mówić, wszystko akurat tak jak powiedział. Powiadam Panu Dobrodziejowi majstersztyk! Kawalek jakich rzadko! A wszystko tak odrobione, że prawdę powiedziałszy — czyby człowiek wypatrzył, a nie poznałby że to złożono z dwóch kawałków. No i patrz Pan Dobrodziej co to za głowa ten Filipcio! Jak on to wymacał!

Parasol zaniósłem do mojej kancelarji, i zamknąłem go w szafie od której klucza oprócz Zefiryńci nie daję nikomu, a papiery w parasolu znalezione przeglądałem razem z młodym naszym dyrektorem, ażeby się przecież dowiedzieć, jaka to mogła być temu przyczyna, że je schowano w takim sekretnej ukryciu. Prawdę powiedziałszy, musiało to być coś bardzo

ważnego; ale na nieszczęście nie mogliśmy się niczego pewniejszego dowiedzieć, bo taki to teraz robią atrament, że dziś napiszesz a jutro już nie przeczytasz. Ot cygaństwo taj już; a wychwalają to po gazetach aż strach! Miejscami tylko było można poznać, że to bibułki, cienkie akurat tak jak te co z nich robią papierosy, zapisane są ruskim pismem. *Ale ne utnesz* jak to mówią — ani rusz nie było się można domyśleć co to znaczy, bo pismo — powiadam Panu Dobrodziejowi — drobne jak mak, a co chwila zamiast liter przychodziły jakieś numera. Tyleśmy tylko od czytali, że tam mowa o Hniliczkach, Zaleszczykach, i Kołomyi, taj niby o jakimś hucułku, co to go ktoś miał kupować. Widocznie, że ten co tam schował te papiery musiał być konokradem, bo — prawdę powiedziawszy — porządny kupiec nie potrzebowałby się taić przecie, że chce kupić konia, jeżeliby ten koń nie był kradziony. Na świecie!

O tem wszystkim ale zapomnieliśmy niebawem, bo parasol — jak powiadam — w szafie mojej zamknięty — że tak rzekę — nie dawał znaku życia. Moznaby tylko było poznać, że się coś niezwykłego u nas dzieje, jeżeliby się było wzięło na uwagę postępowanie Zefiryńci i młodego naszego dyrektora. Ale — prawdę powiedziawszy — ktoby się był wtedy tego domyślił, że temu wszystkiemu winien parasol? Dopiero jak raz 13. maja, wilją moich imienin — bo — nie wiem czy Wielmożnemu Panu Dobrodziejowi powiedziałem, że mi na imię Bonifacy — leżąc w łóżku,

usłyszałem około północy jakiś szelest taj szastanie; — wyraźnie jakby u Zefiryńci ktoś chodził po pokoju. Ha no — myślę sobie — pewnie się krew w niej ruca znowu, taj obawiając się czy przypadkiem nie słaba, szast z łóżka i cichutko na palcach idę do jej sypialni. Ale jakim podszedł z dziesięć kroków, a zobaczył że wszędzie ciemno i cicho, tak mię naraz strach zebrał, czy się przypadkiem tam nie zakradli złodzieje. Bo to trzeba Panu Dobrodziejowi wiedzieć, że w naszym powiecie to — prawdę powiedziałszy — więcej jest złodziei, jak porządnych gospodarzy, a po dworach to sobie tak pałamarują formalnie jak gdyby u siebie.

— Ha no! — myślę sobie — nie ma co robić! Trzeba iść ratować! Bo trzeba Panu Dobrodziejowi wiedzieć, że jak raz wieczorem, wybrała Zefiryńcia wszystkie srybło ze szafy w mojej kancelarji i zaniósła je do siebie, aby je przygotować do objadu na moje imieniny, na które zjeżdża nasz proboszcz z Jołopkowic, adjunkt z Baranówki, respicient z Bandurowa, bardzo porządny człowiek i wielki — że tak rzekę — facecjonat, taj kilku jeszcze sąsiadów. Przyspieszywszy więc kroku idę Panie Dobrodzieju śmiało, aż tu we drzwiach jadalnego pokoju, który prowadzi już wprost do sypialni mojej Jejmości, trąca mnie coś — powiadam Panu — jak gdyby ręką w samo kolano. A że szedłem prędko, i — prawdę powiedziałszy — nie byłem na to przygotowany, więc jak się nie potknę, jak nie wytnę kozła: bebebec!... Powia-

dam Panu Dobrodziejowi, jak długi wywróciłem się na podłogę.

Na ten hałas przebudzili się w domu wszyscy, przestraszeni bardzo tym harmiderem, bo nie trza Panu Dobrodziejowi mówić, że strach ma wielkie oczy, i że zbudziwszy się raptem ze snu, a słysząc wołanie moje: „trzymaj, łapaj, złodzieja!“ każdy już myślał, że mu na głowie siedzą rozbójniki. Prawdę powiedziawszy nie ma co się i dziwować, bo jak już mówiłem, panuje w naszym powiecie straszna konokracja, i jak znam cały kraj od Kołomyi, hen! hen! — aż do Przemyśla, nigdzie nie słyhać tyle o konokradach, co w naszej okolicy. Więc, jak powiadam pobudzili się wszyscy, bardzo przestraszeni tym hałasem. Jedna tylko Zefiryńcia nie straciła — jak to mówią — kurażu, i zapaliwszy czempredzej świecę, wyszła się przekonać co to takiego. — No, niechże Pan Dobrodziej zgadnie tera co to było? — Parasol! Powiadam Panu ten sam parasol, com go zamknął w szafie, od której klucz oprócz Zefiryńci nie daję nikomu. Coś go Panie Dobrodzieju otworzyło, taj postawiło rychtyk w samym progu, tak że idąc musiałem o niego zawadzić!

— Wszelki duch chwali Pana Boga! — zawołała zobaczywszy to Zefiryńcia. — Ta co ty wyrabiasz Bonifasiu? — Tfy! oszalał, czy co, włóczyć się po nocy z parasolem po pokojach!

— W imię Ojca i syna — odpowiadam ja jej na to. — To ja się włóczę z parasolem?... Przecież



gdybym szedł z parasolem, tobym się na nim nie potykał! — Ja — powiadam — szedłem tutaj, aby zobaczyć czy się złodzieje nie dobrali do srybła, bom wyraźnie słyszał jak się coś szatało po twoim pokoju.

— Ta co się miało szatać? — W głowie ci się szatało! — odpowiada mi na to Zefiryńcia. — Ot co jest, przysłyszało ci się we śnie, taj ju!

— Ależ Zefiryńciu serce — mówię jej na to — przecieżem nie pijany! Wyraźnie słyszałem, że się coś szata.

— Może się kot tutaj zakradł — mówi Zefiryńcia — taj zaczął się bawić parasolem, a tobie się zaraz przysłyszało, że się coś szata!

— Ha no, może być — odpowiadam na to. — Ale skądże się wziął parasol? Prawdę powiedziałszy sam tutaj nie przyszedł. Ja go tu nie przyniosłem.

— Taj ja nie!

— No, a któż? Przecież do szafki, gdzie go jeszcze wczoraj widziałem, nikt nie chodzi tylko ja i ty. Ot, musiałaś go wczoraj wieczór wyjąć z szafy, a któreś z dzieci postawiło go tu w progę. — Tak do Zefiryńci powiadam.

— A mnie na co twego parasola? — odpowiada mi ona już zła. — Nie miałabym roboty wyjmować z szafy tego grata. Odczep się ty odemnie! Ja nie widziałam nawet twego parasola. Jeżeliś go teraz — powiada — nie przyniósł, toś go musiał wczoraj wieczór sam tutaj postawić.

— Ależ Zefiryńciu serce, nie wmawiaj! Toż przecie wiem co robię!

— To ty nie wmawiaj, bo i ja wiem co robię.

— To nie innego tyło czary — odzywa się na to stara Hapka, strasznie mądra baba, którą dla tego też zrobiłem gospodynią, zobaczywszy że Zefiryńcia puściła gospodarstwo na Bożą wolę. Przecieżem Panu dawno już mówiła, że tu czaruje, bo jak tylko Byczuli mleko odebrało, to ja zaraz poznała, że to czary. Ale Pan nie chciał wierzyć, taj mówił, że to ja winna, bo źle chudoby doglądam. Żeby o mnie Bóg nie dbał, jak ja nie dbam o pańską pracę!

— Ta pewno, że to czary! — powiada na to Kańczukowski. Ja także dawno już widzę, że tu coś czaruje. Pamięta Wielmożny Pan, jak mnie Pan zbesztiał wtedy, kiedym to opowiadał o tym kocie, com to do niego strzelał na trzy kroki. Ja do niego z dubeltówki raz, a mój kot się przerzucił w ciełę, ja do ciełęcia drugi raz, aż tu ciełę staje na dwóch nogach, i wyszczerza do mnie zęby: wrrr! Wielmożny Pan nie chciał wierzyć, taj powiedział że ja pijany. Teraz się pokazuje czyja prawda górą! Żeby mnie Bóg ciężko skarał, jeżeli ja piję!

— Et — odpowiadam ja mu na to. Żebyś sobie Aspan pałki nie zalewał, toby się Panu nie przytrafił taki przypadek! — W duchu ale myślę sobie: Nie ma co mówić; prawda jest! Oczywiście czary! Prawdę powiedziawszy parasol sam tutaj nie przyszedł; — ja go nie przyniosłem, Zefiryńcia także nie. — A do tej

szafki gdzie go zamknąłem nikt przecie inny nie chodzi, tylko ja i ona! Widocznie więc że to sprawa jakiegoś charakternika, co mi chce dom przewrócić do góry nogami. Taż gdyby nie czary, to i Zefiryńcia zamiast siedzieć w bubljach, doglądałaby przecież gospodarstwa, tajby go nie nazywała prozą, a człowieka osobnikiem!

I zasmucony temi myślami, wróciłem do swego pokoju, a zamknąwszy parasol do szafki, położyłem się spać w nadziei, że zażyję spoczynku. Myślisz Pan Dobrodziej, że go zażyłem? Na świecie! Całą noc mi się śniło, że moja głowa zamieniła się w blaszaną banię, i że ten kościany dziadek, co zamiast rączki osadzony jest na lasce mojego parasola, tarabani mi po tej bani, stukając w nią brodą, rychtyk tak jak szkolnik, kiedy zwołuje żydów do bóżnicy.

Na drugi dzień miałem jeszcze ciekawsze zdanie, i — prawdę powiedziałszy — gdybym jeszcze był wątpił wtedy, że mój parasol jest zaczarowany, to musiałbym w to uwierzyć, widząc te cuda na własne oczy. Były to — jak już powiedziałem — moje imienniny, które co roku na św. Bonifacego obchodzę, przyjmując *czem chata bohata* jeżeli zjadą łaskawych na mnie sąsiadów. Otóż nie ma się co dziwować że po wczorajszej awanturze z parasolem, zgadało się o duchach i czarach, i jak zwykle jeden to, drugi owo ze swojego życia rozpowiadał; same bardzo dziwne i ciekawe rzeczy, któreby tu — prawdę powiedziałszy — spisać nawet warto dla przekonania tych,

co nie wierzą! Jeden tylko respicient z Jołopkowie śmiał się z tego wszystkiego, mówiąc że duchów nie ma, bo człowiek — Duch Święty przy nas! — od małpy pochodzi, taj że tam jakiś uczony wynalazł, że to co my nazywamy duchem, to się nazywa materja, i jest — że tak rzekę — akurat tak jak werk w zegarku. — Na to odpowiedział młody nasz dyrektor bardzo mądrze, ale tym swoim przewróconym językiem tak że go — prawdę powiedziałszy — trudno było zrozumieć. Tyle ale koniec końców wypadło z tego gadania, że duchy są, i że się o tem można przekonać każdej chwili, jeżeli się ręce położy na stole i trzyma spokojnie dłuższy czas, rozkazując duchowi co mieszka w tym stole, ażeby się objawił. Jeżeli się — powiada — zrobi tak, to duch będzie odpowiadał stukaniem na każde zapytanie, a jak nie, to będzie najcięższym stołem kręcił tak jak frygą.

Ha no — jak to mówią — próba fray! Kazaliśmy tedy Iwasiowi pozbierać naczynie z wielkiego dębowego stołu, na którym jedliśmy objad przed chwilą, i poskładawszy ręce do kupy, czekaliśmy co dalej z tego będzie. Cóż Pan Dobrodziej powiesz na to, zaledwieśmy tak postali może z jakie pół minuty, aż tu zaczyna się stół przechylać z jednej nogi na drugą, nie przymierzając jak pijany człowiek, kiedy się zatacza. A potem jak się nie zacznie kręcić w kółko coraz prędzej, coraz prędzej, wyraźnie, że tak rzekę obertasa! — tośmy za nim tak biegać musieli żeśmy się aż posapali. No i jakże to nie wierzyć w duchy,

kiedy się miało takie przekonanie? Prawda że nie sposób? Ja przynajmniej wierze teraz już w duchy — prawdę powiedziałszy — jak w zbawienie, bo Zefiryńcia tak się w tej sztuce zakochała, że od tego czasu nie tylko z duchami rozmawia. A tyle ich nasprowadzała do domu, że aż strach. Powiadam Panu Dobrodziejowi, stolik, krzesło czy kanapa? gdzie tylko rękę położy, to duch zaraz przychodzi jak na zawołanie, taj rozmawia z nią wszystkimi językami. Niech sobie Pan Dobrodziej pomyśli, jak to przyjemnie mieszkać w takim domu!

Ale ja tu bałakam o stolikach, a Wielmożny Pan myśli pewno żem już całkiem zapomniał o moim przeklętym parasolu. Ba — prawdę powiedziałszy — rad bym ja o nim zapomniał, gdyby on na to pozwolił, ale kiedy on o tem nawet i nie myśli. Jakoś w tydzień już po tej pierwszej — że tak rzekę — awanturze, znalazłem go budząc się z rana w moim łóżku. A leżał tam Panie spokojnie, niby nic! Wyraźnie tak jakby tam było jego miejsce; — tyle tylko że na główkę tego kościanego dziadka, nieprzymierzając rychtyk tak jak czapka, nasunięty był list zapieczętowany.

— Cóż u kaduka? — myślę sobie. A to co może być? Wsadziłem więc na nos okulary i patrzę. List zaadresowany do mnie:

„Do rąk własnych Wielmożnego JMCI Pana Bonifacego, Baltazara, Benona trojga imion Hołobutowskiego w Cielątkowicach.“

Prawdę powiedzialszy, nie ma co mówić, list zaadresowany do mnie. Nazwisko moje stoi jak byk. Ha no otwieram więc pismo, i oczom moim wierzyć nie chcę, bo że stoliki pukają, o tem już wtedy wiedziałem, ale żeby parasole pisały, o tem nie wiedziałem jeszcze. A tu Panie stało czarne na białem.

„Bonifacy, Benonie, Baltazarze trojga imion Holobutowski! Zaklinam Cię, byś papiery w mojej głowie zamknięte wyjął i zajął się ich wydaniem.“

„Stary parasol.“

— Tfy! W imię Ojca i syna — myślę sobie. Nie miałbym też roboty! I podarłszy list ten na drobne kawałki, a przeżegnawszy mego inkluza, aby się od niego złe odczepiło, zamknąłem go nazad do szafki. Myślisz Pan Dobrodziej że to co pomogło? Na świecie! Trzeciego dnia znowu znalazłem parasol i list w moim łóżku, z tą tylko różnicą, że zamiast rano, wieczór go już tam zastałem, właśnie w chwili, kiedy się spać kładłem, i że tym razem ostrzej już duch w liście przemówił:

„Bonifacy, Benonie, Baltazarze trojga imion Holobutowski! Rozkazuję Ci, byś Pamiętniki w głowie mej zamknięte wyjął i zajął się ich wydaniem, jeżeli chcesz uniknąć wielkiego nieszczęścia.“

„Stary parasol.“

— Kto wie? myślę sobie. A nuż to prawda? Trzebaż go posłuchać kiedy grozi. I jak niepyszny wzięłem się do majstrowania, aby otworzyć schowek w kościanym dziadku. Prawdę mówił inkluz; w kryjówce

któraśmy — jak już mówiłem — zaraz pierwszego dnia wyprzątnęli, znalazłem pierwszych dziesięć ćwiarteczek bibułki, którą tu Panu Dobrodziejowi zasyłam. Wszystko zapisane drobnym maczkiem, i świeżem jak gdyby jeszcze nie przyschniętem pismem, nie tak jak te szpargały, cośmy je zaraz pierwszego dnia ztamtąd wyjęli, a z których się — prawdę powiedziałszy — niczego nie można było doczytać, bo atrament zblakował był zupełnie.

Nie chcąc budzić Zefiryńci, bo w sypalni jej ciemno już było jak w rogu — zabrałem się tedy do czytania, aby się przecie dowiedzieć, co tam tak bardzo pilnego mógł napisać ten parasol. Prawdę powiedziałszy jak na parasol to ujdzie, ale żeby to coś bardzo mądrego było tego nie powiem. Ot zwyczajnie: *howoryła nebiszka do samej smerty!* androny, taj tylo!... Daleko lepsze kawałki piszą w kalendarzach, taj w *Gazecie Lwowskiej*. Innego ale całkiem przekonania była Zefiryńcia, bo kiedym jej na drugi dzień te szpargały pokazał, te powiadam Panu Dobrodziejowi, tak jakby ją kto na sto koni wsadził.

— A to — powiada — cud! a to arcydzieło! — A to zaszczyt dla naszego domu, że się to u nas znalazło! A to potrzeba będzie wydać koniecznie, — skoro parasol więcej jeszcze napisze! Bo to powiada Zefiryńcia — widocznie dopiero tylko początek!... A mój Bonifasiu kochany, niechże Cię ucałuję, żeś mi sprawił taką radość! A pamiętaj że teraz sercuniu pilnować tego parasola, i przynieść mi zaraz skoro, co nowego napisze.

— Ha no — myślę ja sobie na to — i owszem! Kiedy ci to Zefiryńciu pysiu taka radość sprawia, to będę pilnować, taj znosić ci te bzdurstwa dla miłego spokoju. Jeżeli ty ale sercuniu myślisz, że ja Bonifacy, Baltazar, Beno trojga imion Hołobutowski, będę wydawać te androny, no to się grubo mylisz. Ale o, czy to ja głupi, żebym kładł zdrową głowę pod ewanielję? Przecież to, druk musi także kosztować, bo za darmo nikt nie wydrukuje. A któż na to da pieniędzy? Ja z pewnością nie, bo przecież nie kradnę, tylko gorzko zarabiam! — Niechajże sobie dla miłego spokoju leżą te bibuły — tak sobie myślę dalej. Potem jak przyjdzie czas, to będziemy gadać inaczej. Chyba żeby ten parasol, co mu się zebrało na gryzmolenie tych andronów, dał na druk pieniądze, to co inszego. A kto wie, może on to zrobi później, jak czas przyjdzie drukowania? Kaciz go tam znają tego inkluza, co w nim siedzi?

Tak sobie pomyślawszy w duchu, postanowiłem tedy czekać dalszych posyłek, na które — prawdę powiedziałszy — długo czekać nie potrzebowałem. Nie minał tydzień, a już budząc się z rana, znalazłem w łóżku mojego inkluza, i list nowy rychtyk taki sam jak pierwszy, z tym ale dodatkiem, żebym czekał na dalsze posyłki. Od tego czasu powtarzało się to akuratnie co tygodnia, aż się zebrała cała ta paczka, którą tu Wielmożnemu Panu Dobrodziejowi posyłam. A szło to regularnie, nie przymierzając rychtyk tak jak poczta, z tą tylko różnicą, że znowu zamiast rano,

to już wieczór odbierałem te posyłki. Ja Panie do łóżka, a tu już parasol wpakował mi się pod kołdrę, taj leży tam niby jakie niewiniątko. A niechaj że cię cudem postawi z takimi czarami!

Przyznam się Wielmożnemu Panu Dobrodziejowi, że widząc regularność tych posyłek, a przysłuchując się temu co Zefiryńcia i dyrektor mówią o tych „Pamiętnikach starego parasola“, że są tak strasznie mądre taj ciekawe, uwierzyłem w końcu, że ten mój inkluz przyszle mi prędzej czy później pieniądze na druk potrzebne, skoro się odemnie domaga, abym wydawał jego bazgraninę. Bo — prawdę powiedziawszy — czyż się mogłem tego spodziewać, ażeby duch co mieszka w moim własnym parasolu naważył na moją kieszeń? Nigdy w życiu! Od czegoż w świecie są inkluzy, jeżeli nie od tego, ażeby temu, do kogo się taki inkluz przypląta, dawali pieniędzy? Czy nie mam może racji, co? — No i cóż Pan Dobrodziej powiesz na to, widocznie że mój parasol, te tylko inkluz od bibulek. Papiery szły, taj szły; regularnie co tygodnia znajdowałem je w mojem łóżku, ale pieniądze na druk takiej nie przyszły.

Więc kiedy tak rozmyślam o tem, co dalej będzie — było to jak raz wieczór wilją św. Marcina, nazajutrz po odebraniu świeżych bibulek — naraz mi przyszło na myśl, żeby to przecie była rzecz bardzo ciekawa dowiedzieć się, co to za duch siedzi w tym moim parasolu? Bo myślę sobie, jeżeli to jaki porządny duch, to inkluz mój przecie pokaże co umie, a

jeżeli jaki kapcan, to i wdawać się z nim nie warto. Nie wiele myślący pytam tedy o to Zefiryńci; — bo to trzeba Panu Dobrodziejowi wiedzieć, że od czasu jakieśmy to na moje imieniny po raz pierwszy wdali się z tym duchem co siedzi w naszym jadalnym stole, to Zefiryńcia tak się już z temi czarami oswoiła, że aż strach! Zrazu to rozmawiali z nią duchy tylko pukaniem, skoro — bywało — ręce położy gdzie na jakim stole lub krześle. Teraz ale to sobie ich tak wyedukowała, że jak tylko weźmie ołówek do ręki, to ołówek zaraz pisze, i to powiadam Panu Dobrodziejowi różnemi językami, nawet takimi co ich sama Zefiryńcia nie rozumie.

Więc — jak powiadam — myśląc o tem, czemu inkluz mój nie przysyła mi na druk pieniędzy, zapytałam Zefiryńci, czyby się to nie można dowiedzieć, co to za duch siedzi w moim parasolu.

— Masz recht Bonifasiu duszko! — odpowiada mi na to Zefiryńcia. Prawdę powiedziałszy, nie pomyślałam o tem! Ale to można na raz dwa naprawić. Zapytam się o to mojego ołówka, to on mi to zaraz wyjawi.

Taj nie namyślając się długo wzięła czysty arkusz papieru, i swój zaczarowany ołówek, i powtórzywszy głośno moje zapytanie, usiadła — jak powiada — sama bardzo ciekawa, co też duch na to odpowie. Nie trwało dwóch minut, aż tu jak nie weźmie rucać ołówkiem to w prawo, to w lewo, to *siuda to tuda*, wyraźnie tak jak to ruca człowiekiem, kiedy się upije; — a potemu

jak nie posunie naraz ołówkiem w sam róg papieru, taj zaczęło tam coś pisać drobnym maczkiem, a tak prędko, żeśmy z dyrektorem oczom wierzyć nie chcieli. Potemu na raz ustało.

— Ha no — myślę sobie — trzebaż to przeczytać, i włożywszy na nos okulary, patrę. Cóż Pan Dobrodziej powiesz na to, jak wół stało wypisano: „Biskup żydowski“, i to powiadam Panu takim równem pismem; aż miło. Jak żyję na świecie, to — prawdę powiedziałszy — jednego tylko widziałem, co tak równo pisał, a to był pisarz prowentowy, co razem ze mną służył w skarbie u pana hrabiego Potockiego, nimeśmy się z Zefiryńcią na posesję wybrali.

— Ta gdzie to może być: Biskup żydowski? — powiadam ja na to. Abo to żydzi mają jakiego biskupa? Ot jakieś — Duch Święty przy nas! — djabelskie figle, taj już!

— Ej nie! — odpowiada mi na to dyrektor. — To pan Jan Lam zawsze mówi i pisze o sobie, że on jest żydowskim biskupem. Pewnie to jego duch siedzi w tym parasolu.

— Jaki pan Jan Lam? — powiadam.

— A ten co w *Dzienniku Polskim* pisze „kroniki lwowskie“, i różne inne kawałki.

— Ta gdzie to może być? — odpowiadam na to. — Taż on przecież nie umarł! Niedawno jeszcze pisało o nim w *Strażnicy*, co mi ją tu nasyłają, choć o to nie prosił. Taż — powiadam — dusza jego nie może siedzieć w moim parasolu, skoro on jeszcze

żyje. Taż przecie pisząc nie mógłby się obchodzić bez duszy.

— Phi — powiada na to młody nasz dyrektor. — Kto wie? Dawniej to pan Jan Lam pisał dosyć do rzeczy, — prawdę powiedziałszy wcale nie złe kawalki, ale teraz wyraźnie go coś odmieniło. Całkiem inny człowiek! powiadam Panu Dobrodziejowi za ledwie się już kupy trzyma, co on teraz pisze. Ja myślę, że to właśnie dowód najlepszy, że go musiało opętać. Ciało pląta się po Lwowie, a duch siedzi w starym parasolu w Cielątkowicach.

— W imię Ojca i Syna! tfy! tfy! tfy! — powiadam ja mu na to. Ta czy to może być na świecie? Taż przecie w *Strażnicy* czytałem niedawno temu wyraźnie, że go we Lwowie widują co nocy.

— No właśnie! — odpowiada mi na to dyrektor. Błąka się biedaczysko po różnych lokalach, bo szuka swojej duszy. A znowuś ten stary parasol, czyby to on się tłukł nocą po Pańskim domu, żeby w nim nie siedział duch pana Lama? Na świecie! To znowu dusza pana Lama szuka tak swojego ciała! Taż przecie nieraz słyszę hałas o północy i po północy. Tak mi nasz młody dyrektor powiada.

— Masz Pan rację Panie Korbaczowski — odpowiadam ja mu na to. Taż przecie od dawna już patrzę na sztuki tego parasola. Ale — prawdę powiedziałszy — takoj jakoś wierzyć trudno, żeby duch żyjącego człowieka siedział w starym parasolu. Prze-

cież tu stoi wyraźnie „Biskup żydowski“, a nie „Jan Lam“.

— Ha no — powiada na to Zefiryńcia. — Musimy jeszcze raz spytać ołówka! — I przewróciwszy papier na drugą stronę, wzięła ołówek do ręki, czekając co duch powie. Cóż Pan Dobrodziej powiesz na to? Tym razem trudno już było wątpić dłużej, bo widzieliśmy na własne oczy, jak wyraźnie napisało jeszcze raz: „Biskup żydowski“, a potem stawiając litera po literze: J, A, N, Jan, L, A, M, Lam, — powiadam Panu Dobrodziejowi wyraźnie jak byk: Biskup żydowski Jan Lam!,.. Aż mi rozum stanął capka, kiedym to przeczytał!... Patrz Pan Dobrodziej jakie to po ludziach chodzą nieszczęścia!

— Nie ma co mówić! — powiadam ochłonawszy trochę ze zdziwienia. Ciało pana Lama płata się po Lwowie, a duch siedzi w moim starym parasolu; o tem dziś nawet już wątpić nie mogę, bom to przecie widział — prawdę powiedziałszy — na własne oczy. Ha no, tak teraz — powiadam — trzeba spalić nasz parasol, żeby dusza mogła powrócić do ciała.

— W imię Ojca i Syna — odpowiada mi na to Zefiryńcia. Ta co gadasz Bonifasiu! Czy ty masz Boga w sercu, palić ten parasol, co w nim siedzi dusza pana Lama? Tażbyś — powiada — zabił człowieka! Zapytaj się Hapki, czy ci prawdę mówię? — Tu — powiada — innej rady nie ma, tylko jeżeli chcesz pomódz panu Lamowi, to musisz wydać te *Pamiętniki*, jak cię już o to dwa razy listem prosił stary parasol.

— Tereferere kuku! — odpowiadam ja jej na to. Prosił! prosił! Ta co mi z jego prośby! Przecież nie będę wydawać pieniędzy na to, żeby się ludzie ze mnie śmieli! Któż to zechce uwierzyć, że to stary parasol pisał?

— Ta to nie stary parasol, tylko duch pana Lama, co siedzi w starym parasolu — odpowiada mi na to Zefiryńcia.

— Ba duch pana Lama! co mi z tego? Kiedy duch pana Lama pisał, to niech duch pana Lama da pieniądze na wydrukowanie. Co to mi za inkluz, co nie daje pieniędzy? Ot przyplątało się nieszczęście, taj nie dość że mi cały dom przewróciło do góry nogami, ale teraz waży jeszcze na moją kieszeń. Nic z tego — powiadam tak Zefiryńci. Zkąd ja do tego przychodzę, żebym duchów ratował, jeszcze do tego takich, co się tłuką po nocy, tak jak Marek po piekle.

I zły jak pies pobiegłem do mojej kancelarji ażeby wyjąć z szafy parasol i wrzucić go do pieca. Cóż Pan Dobrodziej powiesz na to: Rozstąp się ziemią, nie ma parasola! Powiadam Panu znikł jak bez pieprzu kamfora, a na mojem łóżku leży list z pogrożką, żebym koniecznie wydał te *Pamiętniki*, bo inaczej będzie nieszczęście.

— Ou źle — myślę sobie — i markotno mi się zrobiło na myśli. Wziąwszy więc list ten, idę do Zefiryńci, żeby się jej poskarżyć. Nie ma co mówić ślicznie się wybrałem! Ja jej się skarżę, a ona Panie

Dobrodzieju zrywa się z łóżka, i zaczyna po pokoju tańcować!

— Ależ Zefiryńciu — powiadam — ja jej na to — Duch święty z Tobą! Upamiętaj się sercuniu! Taże to — powiadam — napaść, czysta napaść!... Ta gdzie? ta co? ta po jakiemu? ta dla kogo? ta za jakie pieniądze?

Możesz sobie Wielmożny Pan Dobrodziej wystawić jak ja jej perswadowałem, bo mi — prawdę powiedziałszy — nie tylo już chodziło o pieniądze, kilo o to, co świat na to powie, jeżeli ja Bonifacy, Baltazar, Beno trojga imion Hołobutowski dopuszczę się takiego zgorszenia, i wydam — tfy Panie odpuść! — jakieś androny, co je popisał duch jakiegoś tam pomylonego dziennikarza, siedzący w starym parasolu — nieprzymierzając — rychtyk tak, jak prywatny officialista kiedy na burku w mieście osiedzie. Wszystko to ale nie nie pomogło, ja swoje, a on swoje, że potrzeba koniecznie, abym nie tylko wydał te androny, ale jeszcze napisał do nich przedmowę. Nakoniec mi zaczęła płakać, narzekając że ją Bóg ciężko skarał takim mężem co się nie rozumie na ideałach. A że ja — prawdę powiedziałszy — znieść tego nie mogę, jak ktoś koło mnie płacze, więc Panie Dobrodzieju dla świętego spokoju obiecałem jej zrobić wszystko co zechce.

Dziej że się tedy wola Boża, kiedy już na mnie spadło takie dopuszczenie. Napisałem Wielmożnemu Panu Dobrodziejowi szczerą prawdę wszystko jak to

było od samego początku, a wszystko rechtelnie i sumiennie, dalibóg!

Niechajże teraz Wielmożny Pan Dobrodziej to wydrukuje w swoim piśmie, bo słyszałem, że Pan u siebie przyjmuje takie kawałki. Prawdę powiedziałszy to takoj święty obowiązek Pana, zrobić to za darmo — że tak rzekę — dla miłości Pana Lama, bo mi Pan Korbaczowski powiedział, że się panowie tak z sobą kochają, aż strach! Mój stary parasol, to się powiadam Panu gwałtem tego domaga, ażeby drukować te *Pamiętniki*, a kto wie może to takie czary, taj może być że druk zdejmie urok z pana Lama, i dusza jego będzie mogła powrócić z Cielątkowic do swojego ciała, co się tam błakać ma po Lwowie jak jaka ćma? Pomyśl Wielmożny Pan Dobrodziej jaką Pan wtedy będziesz miał zasługę u Boga i u ludzi, żeś z nieszczęścia wyratował przyjaciela, Hahaha! Niejedenby jeszcze zapłacił z tysiąc reńskich za to, żeby mu się trafiła taka sposobność.

Co do mnie, — prawdę powiedziałszy — to jako taki sobie prosty wieśniak, co to się nie bawi w żadne skrybenterje, gotówem zaraz zrezygnować z tej zasługi. Jeżeli tylko Wielmożny Pan Dobrodziej nie każesz mi sobie zapłacić za drukowanie tych *Pamiętników*, to ja gotówem dać na piśmie, że Panu cały ten honor odstępuję. Niech tam sobie Zefiryńcia gada co chce, ja już mam tego wszystkiego aż po uszy! Już i tak zrobiłem co tylko mogłem, wlaźszy w tę biedę — prawdę powiedziałszy — rychtyk tak jak Piłat

w Wierzę w Boga Ojca. A czy to ja się mało napocił, nimem opisał wszystkie te perepałki? Hahaha! Inszyby się i za dwieście reńskich nie podjął takiej roboty, dalibóg!

Ale, ale! Miałam już kończyć, aż tu naraz przyszło mi na myśl, że Wielmożnemu Panu Dobrodziejowi jako redaktorowi przydać się może taki cudowny parasol, co sam pisze różne kawałki. Otóż — że tak rzekę — gotówem go Panom za nowy jedwabny zamieniać. Prawdę powiedziawszy takoj mi się to nawet słusznie należy. Bo czy to ja mało miał szkody z powodu tego parasola. O stratach na gospodarstwie co je poniosłem dlatego, że mi Zefiryńcię opętało, i o zwiększonym ekspensie nafty, co mi ją młody nasz dyrektor wypalił, nie mówię wcale, bo to przepadło! Ot można zrobić na to krzyżyk, taj już! Ale mojego nowego jedwabnego parasola com go był we Lwowie kupił, to mi go takoj żał, bo to ten stary, co mi go podrucili, to chyba tyle tylko, że piśmienny, ale zresztą nie wiele wart.

Cielątkowce d. 1. grudnia 1882.

*Bonifacy, Baltazar, Beno trojga imion
Hołobutowski.*

Przypisek Redakcji Różowego Domina.

Uwzględniwszy słuszność powyższego żądania, posłaliśmy panu Hołobutowskiemu nowy jedwabny parasol, pozostawiając mu stary do dyspozycji. Doręczony zaś — omal żeśmy nie powiedzieli — rękopis, oddajem niniejszem do druku, w nadziei, że wydając go, zdejmiem urok ciążący nad nieszczęśliwym naszym kolegą. Czytelnicy zrozumieję i oceniają nasze poświęcenie. Boże! czego by też człowiek nie zrobił dla przyjaciela!

Domino.

PAMIĘTNIKI
STAREGO PARASOLA.

§. 1. Coś nakształt przedmowy.

(Przyczynek do filozofji piękna).

Zanadto dobrze znam Galicjanów i piękne Galicjanki, abym nawet i chwilę tylke łudził się przypuszczeniem, iż pamiętniki moje mogłyby dla nich być zajmującemi, gdybym im w pierw nie powiedział kto mię rodzi, i legitymując się jako „dobrze urodzony“ nie zapewnił sobie z góry ich sympatji. W długoletnich wędrówkach moich do tem błogosławionem królestwie, kędy pod cieniem skrzydeł heraldycznej „Kawki“ żyją miliony dudków i gawronów, przekonałem się niejednokrotnie, jak wielki wpływ na losy człowieka w ogóle, a w szczególności na losy pisarza, wywiera mniej lub więcej zadowalniająca odpowiedź, którą może dać na to zapytanie. Doświadczenia moje streszczam w następujących pewnikach, które są Alfą i Omegą estetycznego kodeksu, obowiązującego w królestwie Galicji i Lodomerji wraz z Wielkiem Księstwem Krakowskiem, i księstwami Zatora i Oświęcima.

1) Każda książka napisana przez hrabiego jest arcydziełem.

2) Każda książka napisana przez nie-hrabiego jest ramotą.

3) Wyjątek stanowią książki pisane i drukowane pod wezwaniem encykliki, syllabusu i c. k. *Gazety Lwowskiej*.

4) Dzieła tego rodzaju są świętością.

§. Kto mię rodzi?

Ażeby więc z góry sobie zapewnić łaskawe względy czytelników i krytyki, stwierdzam niniejszem, iż jestem parasolem o dwunastu drutach, co w hierarchji społecznej parasolów, odpowiada dziewięciu pałkom hrabskiej korony. Jakkolwiek obecnie podupadły i lichym perkalem pokryty. (Uprasza się o łzę ciwego współczucia) miałem jednak dawniej jedwabną sukienkę, lugduńskiego wyrobu. Druty moje są z angielskiej stali; rączka z kości indyjskiego słonia; — laska z pieprzowego drzewa, i pochodzi zatem z kraju gdzie pieprz rośnie. Tyle tylko ażeby udowodnić, że w żadnej z mych składowych części nie masz ani jednego atomu „ludowego, słowiańskiego pierwiastku“, że tak samo jak „historyczna polska szlachta“ jestem żywiołem napływowym“, i że zatem pod względem rasy stoję na równi z hrabiami Ickowskimi, tudzież

z baronami Szmulowskimi i Kozołupowiczami, którzy — jak wiadomo — od Normanów początek swój wywodzą.

§. 3. Obrok duchowny dla wydawców, czytelników i krytyki.

Po tem, co tu o sobie powiedziałem, nie potrzebuję zdaje mi się dowodzić, że posiadam wszelkie w Galicyi wymagane kwalifikacje na kandydydata do najwyższych dostojenstw i zaszczytów. Mógłbym się tedy śmiało starać o to, by zostać :

- a) członkiem końskiego kasyna,
- b) powiatowym marszałkiem,
- e) posłem na Sejm krajowy,
- d) posłem do wiedeńskiej Rady państwa,
- e) członkiem Wydziału krajowego,
- f) członkiem Rady szkolnej,
- g) radcą zawiadowczym, a względnie prezesem rozmaitych banków i kolei,
- h) marszałkiem Sejmu, i ministrem rodakiem, a jako taki,
- i) mężem Opatrzności,
- h) Gwiazdą narodu i t. d., i t. d.

i nie wątpię wcale że nominacja moja nie przyniosłaby żadnego uszczerbku odnośnym instytucjom, korporacjom, opacznościom, i uczuciom, ktoreby może

nawet wcale nie spostrzegły, że nie ten lub ów J. O., iub J. W., ale stary perkalowy parasol poświęca się dla ich dobra, szczęścia i spokoju.

Tak jest najmilsi moi! będąc gołym, podupadłym, ale dobrze urodzonym parasolem, który zawsze gotów złożyć swe rogi, ilekroć tego wyższa zażąda wola, mógłbym śmiało szukać karjery, w zawodach, które dopiero co wymieniłem. Mianowicie w Wydziale krajowym, w Radzie szkolnej i w ogóle we wszystkich tych instytucjach, które są — jak wiadomo — domem inwalidów dla zbankrutowanej szlachty, mógłbym przy pewnej protekcji, komży i fartuszka jako „podupadły, stary ale dobrze urodzony parasol“, który w młodości swojej jedwabną nosił sukienkę, znaleźć bardzo przyzwoitą sinekurę. Nie chcąc jednakże leżeć w drogę szlachcicom, którzy dla wychowania dzieci zmuszeni są siedzieć w mieście, i z tego powodu wstępuję w służbę publiczną, aby się w tych ciężkich czasach dobić jakiejś intratnej posady, wolałem pójść inną drogą, i wystąpić na polu piśmienictwa, na które mnie zresztą wrodzone popchnęło zamięłowanie.

Składam więc w ręce wasze owoc mojej literackiej pracy, nie wątpiąc wcale o jego powodzeniu. Wszak wykazałem wam już patrycjuszowskie moje pochodzenie; — wszak udowodniłem wam, że magiczne „hr“ t. j. „hrabia“, przed którym zwykła czołem bić publiczność galicyjska, mógłbym pleno jure postawić przed mojem nazwiskiem... Nie ulega więc

wątpliwości, że niniejsze moje Pamiętniki są arcydziełem, które wydawca wydać, czytelnik z uwagą i namaszczeniem przeczytać, a krytyk — nawet i nie przeczytawszy — aż pod siódme niebo wychwalić powinien...

§. 4. Coś, co jest jeszcze podobniejszym do przedmowy, ale mimo to nie jest już przedmową.

Mylą się wielce powierzchowni badacze dziejów, którzy przypuszczają, że parasol jest wyłącznie tylko narzędziem, służącym człowiekowi do ochrony przed deszczem, lub też słonecznym skwarem. Zdanie to nie wytrzymuje poważnej naukowej krytyki!... Ktokolwiek z Ritterem, Marsdenem lub Klaprothem w rękę zgłębiał tę ciekawą sprawę, ten przyznać musi, że parasol jest instytucją, ściśle z dziejami cywilizacji zrośniętą, — instytucją — powiadam — której początek ginie w zmięczeniu czasów, a której przyszłość najpiękniejsze rokuje nadzieje.

W chwili, kiedy sobie człowiek po raz pierwszy powiedział: „Niech tam cały świat moknie, byle mnie się za kołnierz nie nalało!“ powstała idea parasola, czyli parasolistość... Nie potrzebuję zatem zdaje mi się dowodzić, że wielka ta cywilizacyjna idea powstała w czasie potopu, że pierwszym jej wcieleniem była arka Noego, której (obacz *Genesis*, Rozdz. VI) sam Jehowa był budowniczym, i że ludzkość istnienie

swoje wyłącznie tej wielkiej światozbawczej idei zawdzięcza....

Jakie przemiany przebywał parasol, zanim według teorii Darwina (omal żem nie powiedział przez stósowny dobór płciowy) przedzierzgnął się z kształtu korabia w kształt swój obecny. tego powiedzieć nie mogę.... Tak samo nie umiałby zaspokoić ciekawości naszej hr. Jerzy Borkowski, gdybyśmy go zapytali jakie metamorfozy przebywać musiała większa połowa galicyjskiej śmietanki. nim się pozbyła swych chamskich i semickich pierwiastków, i dochrapała tej torysowskiej niebieskiej krwi, co obecnie w jej żyłach bieży. Tak samo nie byłby nam w stanie powiedzieć najzapaleńszy nawet Darwinista jakie przemiany przechodził człowiek (*homo sapiens*) nim dobiwszy się obowiązkowej służby wojskowej, katastru, ustawy karnej, długów wekslowych, krótkiego wzroku, podagry, nagniotków, i w ogóle wszystkich tych właściwości, które go różnią od goryla, wyszedł — jak to mówią — na człowieka.

Przy obecnym stanie wiedzy jest niestety rozwiązywanie podobnych łamigłówek połączone z niepokonalnemi prawie trudnościami, a nadto może zbyt ciekawość ściągnąć łatwo bardzo zarzut niedyskrecji na badacza, oddającego się poszukiwaniom tego rodzaju. Dla tego też najlepiej i najbezpieczniej jest nieporuszać wcale tak drażliwych zagadnień, zadowalniając się tem, co nam jako fakt oczywisty pod zmysły podpada, i co nam obecny stan galicyjskiej

wiedzy jako niezbity pewnik przedstawia... Heraldikom niechaj zatem wystarczy to, że hrabowie Ickowscy, baronowie Szmulowscy i Kozołupowice legitymują swe arystokratyczne rozszczenia kartami wizytowymi, i herbami na szkarpetkach. Zwolennicy häcklowskiego transformizmu niechaj poprzestaną na oświadczeniach „wiadomego transcendentanego Edzia“, który się na wszystkie świętości zaklina, iż stworzonym został na obraz i podobieństwo Boskie. Co się zas tyczy badaczy, ciekawych jakie też przemiany mogła przebywać arka Noego, nim się przedzierzgnęła w parasol, ci niechaj się raczą zadowolnić tem, że...

§. 5. Dalszy ciąg fizjologii parasola.

..... idea parasola, czyli parasolistość, będąca syntezą dzisiejszej cywilizacji, i węgielnym kamieniem współczesnej etyki, snuje się przez dzieje wszystkich czasów i ludów, jako nić przewodnia, która ludzkość wiodła na drodze postępu, i której człowiek głównie przeto społeczne ukształtowanie zawdzięcza.

W Egipcie, a niemniej i w Azji, w tej wielkiej fabryce ludów (*magna gentium officina*) znanym był parasol w dzisiejszym swym kształcie, najdawniejszym już wiekom. Świadczą o tem wymownie egipskie, asyryjskie i staro-perskie rzeźby wykopane w Ibsambul, jakoteż w Khorsabad i Behistun, na zgliszczach dawnej Niniwy i Persepolidy, jak się o tem w atla-

sach Ravalinona, Rosseliniego i Flandrina łatwo każdy przekonać może.

Mianowicie zaś na rozwój prastarej cywilizacji w klasycznych nadgangesowych ziemiach wywarł parasol wpływ błogi a niezaprzeczony; — był on tam bowiem od wieka już uważany za godło władzy, w której przedstawicielach idea parasola czyli parasolistość znalazła prawdopodobnie najpierwszych swych i najgorliwszych wyznawców. W księgach sławnego indyjskiego prawodawcy Manu znajdujemy obszerną, a wielce zajmującą wzmiankę o tym przedmiocie. Dziejąc naród swój na kasty, i urządzając drabinę społeczeństwa, przepisał równocześnie zakonodawca ten barwę parasolów, jakiej każdy z dostojników wedle stopnia godności swej używać powinien.

Sądząc że niepotrzebnem będzie wykazywać, jak pożytecznie wpływać musiało mądre to zarządzenie na uproszczenie wszelkiej urzędowej procedury, a tem samem na pomyślny rozwój handlu, przemysłu i w ogóle wszelkich interesów. Klient, którego sprawa znajdowała się w ręku tego lub owego dostojnika, potrzebował tylko spojrzeć na barwę jego parasola, aby doraźnie a dokładnie mózgiem obliczyć wysokość łapówki, jaką dla przyspieszenia i pomyślnego wymiaru sprawy wiedliwości wypłacić powinien...

Wykazywać pożyteczność tak mądrego zarządzenia, byłoby to istotnie to samo, co nosić drwa do lasu, lub wodę do studni. Nie pojmuję też wcale, dla czego w niektórych krajach środkowej Europy nie naślado-

wano dotychczas tego pięknego przykładu, niema bowiem najmniejszej wątpliwości, i każdy to z pewnością zrozumie, że reforma tego rodzaju musiałaby wydać najpomyślniejsze owoce!...

§. 6. Upadek i odrodzenie parasola.

Świątozbawca idea parasolistości, tak świetnie przez indyjskiego prawodawcę podniesiona zmierzchała jednak niebawem, a cywilizacyjny wpływ jej ograniczył się tylko na Chiny, i niektóre azyjskie ziemie. Grecy i Rzymianie, pod których władztwo dostały się egipskie, asyryjskie i perskie ziemie, nie mieli dla filozoficznej myśli, której przedstawicielem jest parasol, nigdy należytego zrozumienia. Z wyjątkiem wyższych chyba tylko umysłów, jak Filip, jak Aleksander Wielki, jak zresztą Cezar i jego następcy, nie pojmowali oni dziejowej doniosłości tej szczytnej idei, a parasol był u nich zwykłym jeno sprzętem, zasłaniającym człowieka przed skwarem lub niepogodą.

Europejskie ludy, które podczas wielkiej wędrówki narodów odziedziczyły spuściznę starej Romy, nie rozumiały również przez długie wieki cywilizacyjnego posłannictwa parasolów. Pojmowały je wówczas chyba tylko uprzywilejowane warstwy, powołane do przodowania w narodzie, i do rządów w mniej lub więcej teokratycznie, mniej lub więcej feudalnie urządzone społeczeństwie. Do szerszego wpływu i ogólniejszego

znaczenia deszła perasolistość dopiero w najnowszych czasach, w tym wspaniałym dziewiętnastym wieku, który słusznie może być nazwany wiekiem odrodzenia się parasola.

Mianowicie królowi francuskiemu Ludwikowi Filipowi, znanemu z karykatur dowcipnego Chama, jako *l'homme à parapluie* (człowiek z parasolem, czyli człowiek parasolisty) przypada zasługa, iż stawiając znane swe *Chacun chez soi, et chacun pour soi*. (Każdy u siebie i każdy dla siebie) przywrócił popadłej w poniewierkę idei parasolistości dawną swą świetność, i ogólniejsze cywilizacyjne znaczenie... Panowanie Napoleona III nie było niczem innym jak tylko dalszym rozwojem tej wspaniałej idei, która przeniesiona dziś do Galicji, i postawiona przez Stańczyków jako najwyższe *logos* narodowe, jako najświętszy dogmat filozoficzny nowego moralnego polskiego zakonu, ogarnia powoli wszystkie arterje publicznego i prywatnego życia, i wywiera wpływ tak potężny a znakomity na kształtowanie się stosunków w tej błogosławionej dzielnicy.

§. 7. Właściwy początek pamiętników starego parasola.

Rozpisałem się z umysłu tak obszernie o wpływie parasolistości na rozwój cywilizacyjny świata. Chodziło mi z jednej strony o to, aby raz przecież spro-

stować mylne zapatrywania ogółu, bałamuconego elukubracjami tak powierzchownych badaczy, jak Buckle, Funk-Brentano, Rivet i t. d., i t. d., którzy potężny cywilizacyjny wpływ tej wielkiej idei na rozwój i ukształtowanie się dziejów świata zapoznali. Z drugiej strony pragnąłem sobie w ten sposób uprościć pisanie niniejszych pamiętników. Przedstawiłem łaskawym czytelnikom doniosłość i wysokie posłannictwo idei, której jestem apostołem. Po tym wyczerpującym wstępie, nie potrzebuje już malować uczuć, które mię ożywiały, w chwili gdy wyszedłszy z rąk robotnika, ujrzałem światło dzienne w warsztatach pp. Welch et Margetson na Cheapside w Londynie. Przeświadczony o wysokości misji, którą mi w świecie spełnić wypadło, uczulem się w tej chwili tak wielkím jak gali-cyjscy mężowie Opatrzności, kiedy ich rząd do akcji, celem pozyskania głosów polskich dla jakiegoś niepopularnego ministerjalnego projektu powoła...

Mowa ludzka jest niestety zbyt ubogą, abym mógł zimnemi wyrazić słowy bezgraniczną błogość, która duszę moją w tej chwili opanowała! A zresztą, na cóżby się to przydało. i któżby mię zrozumiał? Pojąćby mnie chyba tylko mogli Brutusowie waluty austriackiej, którzy sami tę skalę podniosłych uczuć przechodzili w onej uroczystej chwili, gdy ich — *um die Herrn Polen recht confus zu machen* — z mniej lub więcej okazałym aparatem bombastycznej reklamy postawiono na świeczniku obałamuconego narodu.

Dlatego też nie siląc się wcale na liryzm w obecnym wypadku wskazany, poprzestaną tu na krótkim rysopisie mej osoby. Nie wątpię wcale, że to dla czytelników mych będzie wielce ciekawą rzeczą, dowiedzieć się, że sukienka moja była z ciężkiej jedwabnej materji lugduńskiego wyrobu, i że wyrobnik angielski, któremu życie zawdzięczam, ozdobił rękojeść moją misternie w słoniowej kości wyrzeźbioną główką galicyjskiego żyda. Był to wybryk wesołego humoru owego robotnika, który, dowiedziawszy się, iż mi Galicję jako teren dla mej parasolistej działalności wyznaczono, chciał mi w ten sposób zapewnić łaskawe przyjęcie i obywatelstwo w nowej mojej ojczyźnie.

§. 8. Mój przyjazd do Lwowa.

W wesołym towarzystwie jedenastu bliższych i dalszych kuzynów, szczerlnie w sosnowej paczce zamknięty, przybyłem po kilkodniowej szczęśliwej podróży na miejsce mego przeznaczenia, t. j. do Lwowa, gdzie po raz pierwszy skrzynkę będącą doczesnem naszym mieszkaniem otworzono. Ciekawi cłowi urzędnicy wydobyli nas z naszego schronienia, oglądając nas pilnie po kolei, i przeszukując skrzętnie sosnowy nasz przybytek, ażali w którymś z jego rogów nie ukryto jakiegoś nie zgłoszonego, a wyższej opłacie podpadającego towaru?

Śledztwo to, podczas którego zwlekano z nas wierzchnie płócienne sukienki, próbowano wszystkie sprężyny i druty wchodzące w skład naszego organizmu i bez najmniejszej dyskrecji starano się zbadać wszystkie nasze tajemnice, było dla dumy poddanych Jej królewskiej angielskiej Mości wielce upokorzącą rzeczą. Mimo to znieśliśmy to wszystko bez protestu, ciekawi dalszych naszych losów, nie mogąc wcale pojąć, dla czego od kupca, który nas z rąk cłowych Argusów odbierał, zażądano opłaty w złocie, podczas gdy państwo wszystkie wydatki wewnątrz kraju banknotami pokrywa.

Było to zdaniem naszym wielką anomalją, iż rząd banknotom przez się w obieg wypuszczonym, i srebru w własnej wybitemu mennicy, nie przyznaje onej wartości, w której je przyjmować każe swoim poddanym. Zdawało nam się, że postępując tak, dyskredytuje państwo własną swą monetę. Niebawem jednak ochłonęliśmy z tego zdziwienia, przekonani że nas w tym ciekawym kraju większe jeszcze czekają niespodzianki....

§. 9. Pierwszy mój właściciel, i pierwsze początki mej parasolistej karjery.

W handlu kupca, który mnie i jedynastu mych towarzyszy z Londynu do Lwowa sprowadził, nie zabawilem długo. Młodszy subiekci byli właśnie zajęci otwieraniem skrzyni, w której nas z komory przywie-

ziono; — porównyując fakturę, przygotowywał własnie pryncypał z starszym swym pomocnikiem owe tajemnicze, sklepowym jeno adeptom zrozumiałe znaczki, które oznaczają istotną cenę towaru, a któremi nas miano opatrzyć, kiedy szklanne drzwi sklepu szeroko na ościerz otworzono.

Nie zamykając ich za sobą, nie zdejmując z głowy eleganckiego paryskiego kapelusika, wszedł zamaszystym krokiem młody szczupły blondynek. Rzadkie dopiero co kielkujące bokobrody, i głos jeszcze nie całkiem ustalony, a przypominający chrapliwe pianie młodego koguta w czasie gdy mutację przebywa, zdradzały scyzoryka, który dopiero co wstąpił w wiek młodzieńczej dojrzałości. Podbite oczy, blada cera, i uśmiech zadowolonego idjotyizmu, igrający mu na twarzy, stwierdzały że scyzoryk ten musiał już nie jedną noc przepędzić przy kartach i kieliszku, lub w towarzystwie mniej lub więcej kameljowych dam, używając i nadużywając swobody, której się dochrapał narazcie. Modny, kraciasty żakiet, krzycząca barwa krawatki, krótki ogromną złotą koroną i takimże herbem ozdobiony *stik*, oraz szkiełko misternie w prawem osadzone oku, świadczyły, że młodzieniec ten należy do wyższej towarzyskiej sfery, — że dziwacznym strojem usiłuje zwrócić uwagę na swą banalną osóbkę, i że na podstawie krawieckich i fryzjerskich wysileń stara się wywalczyć sobie w świecie odpowiednie swoim ideałom stanowisko. Zamaszyste jego ruchy, nie będące w harmonji z nikłym jego wzrostem i wątłą

budową, nasuwały wreszcie przypuszczenie, że przed oczyma tego młodego kandydata szyku stoi jakiś ideał żurnalowej doskonałości, — jakiś typ kasynowego koryfeusza, którego układ i swobodę stara się naśladować, nie przyswoiwszy sobie atoli jeszcze całej tego idealnego szyku tajemnicy. Słowem był to nader udały typ młodego galicyjskiego „Niby“, — tombakowy młodzieniaszek, wzdychający dopiero do awansu na — złotego młodzieńca.

— Padam do nówek pana Hrabiego! — zawołał właściciel handlu, spiesząc na przyjęcie gościa z uprzejmym uśmiechem.

— Eeee! pahasolki damskie są? — zapytał z pańska tombaczek, odpowiadając protekcyjnalnem skinieniem głowy na ukłon kupca.

— A jakżeż panie Hrabio! a jakżeż!... Nie ma artykułu, któregoobyśmy nie „prowadzili“... Pan Hrabia życzy sobie zobaczyć?...

— Eeee dobrze! — odparł paniczyk, siadając po łową ciała na komtoarze Dwóch „subjektów“ rzuciło się natychmiast ku szafładom po towar zażądany, podczas gdy pomocnik pryncypała poskoczył zamknąć drzwi na oścież otwarte, a reszta sklepowej młodzieży z szeroko otworzonymi oczyma i usty, ciekawie się przypatrywała dziwackim ruchom przybysza.

— Tylko widzisz Pan — jęło znowu cedzić Niby, wodząc po sklepie okiem zgotowanego karpia, i kołysząc nogę zwieszoną w powietrzu — ja szukam coś baħdzo eleganckiego, baħdzo *chic*!...

— Właśnie dostaliśmy świeży transport z Paryża... Przecudne rzeczy! *Haute nouveauté!*...

— Ba! ale Pan wiesz, że jestem bardzo wybredny... Z góry Panu powiadam, że to prezent, i że mi coś bardzo a bardzo niezwykłego potrzeba, — ciągnął dalej tombaczek, przypomniawszy sobie, że obowiązkiem złotego młodzieńca jest, jak najwięcej robić ambarasu.

— Spodziewam się, że się coś znajdzie podług gustu pana Hrabiego!... Przecież „pociągamy“ towar z Paryża, wprost z najpierwszych domów.

W mgnieniu oka obłożono panicza stosem parasolek, rozmaitego kształtu, rozmaitej barwy i ceny.

Wstępując do sklepu nie miało paniątko nasze zamiaru licznych zakupów. Chodziło mu tylko o kupienie damskiej parasolki; — był to prezent dzień przedtem śpiewaczce jednego z lwowskich Tingel-Tanglów przyobiecany, a gagatek nasz pragnał się „po pańsku“ wywiązać z swego przyrzeczenia. Uprzejmymi atoli uśmiechami, pochlebstwy, ciąglem spadkowaniem tytułu Pan Hrabia, i owemi na wpół uniżonemi, wpół poufałemi ukłonami, których tajemnicę posiadają lwowscy kupcy, a po za których uniżonością ukrywa się często ironja i lekceważenie, udało się sprytnemu kupcowi niebawem oszołomić i opanować swego naiwnego gościa. Nie minął kwadrans a już znalazł się scyzoryk w posiadaniu dwóch aż parasolek: jednej *mignon*, haftowanej złotem i jedwabiem, a bogatą obszytej koronką, i drugiej *fantaisie*, na której sukience

z czerwonego fularu znajdował się rysunek przedstawiający rozrzuconą talję kart. Nie minęło pół godziny, a już, ulegając namowom pryncypała, zakupiło Niby tyle perfum, mydełek, pomad, proszków, saszetów i kosmetyków, jak gdyby miało zamiar zaopatrzyć się na całe życie.

— A to wybohne! A to doskonale! Słowo honohu, bahdzo dobhe, bahdzo *chic!* — wołało Niby w zachwycie upajając się słodką muzyką pochlebstw sprytnego kupca, i kupując zawzięcie, kupując bez targu, bez rachunku, bez potrzeby, a wybierając zawsze co najdroższe. Korzystając z kredytu, który mu w tym handlu otworzono, oddawał się nasz scyzoryk z lubością rozkoszy zadawania szyku. Nie chodziło mu o to co kupuje, w jakim celu, i po jakiej cenie, lecz o to, aby właścicielowi handlu zaimponować jak największem lekceważeniem pieniędzy. Poznawszy też niebawem jakimi to się kieruje względami gość jego naiwny, stopniował też sprytny kupiec cenę coraz bardziej, i w sposób coraz bezczelniejszy, skłaniając oszomionego do coraz większych wydatków.

Nie trudno też było pryncypałowi namówić paniątko do kupienia parasola. Tombaczek zastrzegł się wprawdzie, że to mu właściwie niepotrzebne, gdyż „nie chodzi nigdy piechotą“; — kilkakrotne jednak zastosowanie wyrazu „Pan Hrabia“, którem kupiec nieustannie szpikował rozmowę, skłoniło go i do tego sprawunku. Wyborem swym zaszczycił paniczek waszego najniższego sługę, zachwyciwszy się główką

galicyjskiego żydka, wyrzeźbioną na mej rękojęści. Myśl: „zkąd ci Anglicy w Londynie mogli wpaść na koncept tak ohyginalny“ bawiła go wielce. Zapewniwszy więc raz jeszcze „słowem honohu“, że nie kupuje mię z potrzeby, lecz „dla ohyginalności“, i że spieszy do kasyna, by pokazać tak „ohyginalną akwizycję“, zabrał z sobą jeszcze dwie flaszeczki Ess-Bouquetu, dwa słoiki pomady, oraz dwa francuskie mydełka, i wybiegł prosząc kupca, by mu resztę sprawunków jak najspieszniej do Żorża odesłano. Że wybiegając nie zapomniał drzwi nie zamknąć za sobą, o tem zdaje mi się nie potrzebuję nawet i wspominać.

§. 10. Finansowe operacje mojego nowego pana.

Z niewysłowionem uczuciem wstydu i boleści wyznać tu muszę niestety, że młody pan mój skłamał, mówiąc kupcowi, że spieszy do kasyna; — nie należał on bowiem jeszcze do tego Empireum galicyjskiego *fashionu*, które wówczas było dopiero tylko celem jego tęsknot i marzeń. Spieszno mu było istotnie, lecz do lichwiarza, który mu dostarczał pieniędzy. Wskoczywszy więc do czekającej przed sklepem jednokónki kazał się zawieść na Krakowskie, gdzie w jednej z najbrudniejszych kamienic na drugim piętrze mieszkał p. Eisig Lilienduft, właściciel „handlu towarów galanteryjnych i mięszanych“, będący ministrem finansów naszego młodzieniaszka.

Ów handel „towarów galanteryjnych i mieszanych“ był właściwie dla p. Eisiga tylko rodzajem parawanu, po za którym zacny ten finansista ukrywał przed okiem policji i sądów operacje całkiem innej natury. Przeważnie bowiem trudnił się ten obywatel lichwą, pożyczając pieniądze na ogromne procenta. Dla uniknięcia atoli wszelkiej z sądami kolizji urządził p. Eisig swe operacje w ten sposób, iż dłużnikom zaciągającym pożyczkę, część jeno tejże w gotówce wypłacał, uzupełniając sumę wekslem pokrytą rozmaitemi towarami, które potem podstawieni przezeń wspólnicy, od potrzebujących pieniędzy a nie towaru nabywców, oczywiście za bezcen odkupywali. Od udzielonej w ten sposób pożyczki pobierał p. Eisig stosunkowo bardzo małe procenta, zadawalniając się zyskami poprzednio już na sprzedaży i odkupie towarów osiągniętymi. Tranzakcje tego rodzaju jako nie wychodzące po za zakres zwykłego kupieckiego interesu, nie mogły go już narazić na odpowiedzialność przed sądowniemi kratkami.

Młody mój pan widocznie dobrze już był obznajomiony z miejscowością, nie zatrzymując się bowiem, nie pytając o drogę, pośpieszył ciemnymi wschodami i brudnym gankiem wprost do mieszkania p. Eisiga. Wchodziło się przez kuchnię, którą napelniały wonie cebuli i ostry a wilgotny zapach suszącej się na sznurach bielizny. Przywitawszy się tam z panią Eisigową, która mu oświadczyła że mąż jej wróci za chwilę, podążył pan mój do „salonu“, gdzie córki gospodarza

panny Salcia i Malcia zajęte były czytaniem *Trzech Muszkieterów* w niemieckim przekładzie. Złożywszy tym paniom w darze przyniesione pachnidła, usiadł nasz bohater na przepyszej atlasowej kozetce, którą wprzód musiano uprzątnąć, przenosząc wianki grzybów i cebuli tamże leżące do drugiego pokoju, i oczekując gospodarza począł rozmawiać z pannami, wpatrującemi się oczyma gazelli w twarz młodego panicza.

Niebawem przyszedł p. Eisig, i obiedwie młode żydówki opuściły „salon“ nie bez ciężkiego westchnienia. Czy żał im było przerwanej rozmowy, czy też ozwało się może w młodych tych serduszkach uczucie litości na widok rozpoczynającego się dramatu, którego tragiczny koniec z góry już przeczuwały? Któż to może odgadnąć! W siatce pajęczej rozsnutej pomiędzy ścianą, a złożonemi ramami zwierciadła wiszącego nad kanapą ozwało się rozpaczliwe brzęczenie muchy. Na odgłos ten wyrżał olbrzymi pająk z swego ukrycia, i zatrzymawszy się chwilę nad brzegiem zapruszonej szczeliny, która mu służyła za mieszkanie, pospieszyl w stronę, zkad się odzywała trwożliwa skarga jęńca, szamocącego się w bezowocnych wysiłkach.

Słoniową kość mojej skroni oblał gorący rumieniec wstydu na widok odmiany jaka zaszła w zachowaniu się mojego pana. On który przed chwilą w sklepie tak hardo głowę nosił, stał się tu nagle niskim i maleńkim, pochlebając lichwiarzowi, znosząc z pokorą jego poufałość, i składając się jak angielski scyzoryk, byle tylko uzyskać pożyczkę, jaka mu była potrzebną.

§. 11. W siatce pająka.

Lichwiarz znęcał się widocznie nad biednym Niby. W młodym gościu swym widział on w tej chwili przedstawiciela owego znieprawionego społeczeństwa, z którymi walkę toczył podziemną, a które go przywalało brzemieniem swojej pogardy. Znając ludzi, wiedział on dobrze, iż lekkomyślna jego ofiara, uwikłana w sieci własnych żądz, tak jak owa mucha w siatce pajęczej za zwierciadłem, nie ujdzie jego drapieżnych szponów, i że się przeto nad nią znęcać może bezkarnie. Z lubością więc oddawał on się w tej chwili słodkiej rozkoszy odwetu, mszcząc się nad biednym tombaczkiem za oną zasłużoną wzgardę, której mu nie szczydziło społeczeństwo, a widok upokarzającego się wroga, podnosił go w własnych jego oczach, i napełniał mu duszę niewysłowionem zadowoleniem.

— He! he! he! — tak szydził lichwiarz rozpie-
rając się wygodnie w fotelu. — *Wie heisst* potrzeba
mi gwałtem pieniędzy? Cy to Pan ma żonę, cy
dzieci, co Pan tak je pieniądze? *Aj waj mir!* Pewnie
Pan przegrał uw karty, taj musi tera zapłacycz?...

— Ależ Panie Eisig, ja hęcę Pana...

— *Szojn git!* ja wiem! To jakasz barz wielga
potrzeba! Zapewne prezent dla kochanki z Tingel-
tangla, co wona Pana strasznie kocha, ale tylo wtedy,
jak Pan prezent przyniesze...

Paniczyk zagryzł usta nerwowo.

— A zresztą co mi do tego? — ciągnął Shyllock dalej. Naj będzie to, naj będzie tamto, to mi wszystko jedno! Ja tylo to wiem, co nie mam pieniędzy. Pan mi już i tak winien dwanaście tysięcy. Kiedy ja to odbiorę?...

— Za trzy lata z pewnością, jeżeli mię sąd piehwej jeszcze nie uzna pełnoletnim! — odparło Niby skwapliwie. Pan przecież wiesz dhogi Panie Eisig, że mam majątek, dwie wsie, i kapitał w sądowym depozycie....

— A wiele tam jest tego kapitału?...

— Sto pięćdziesiąt tysięcy...

— A wiele z tego weźmie Pański Tato?...

— Papa?...

— Tak! Kilo mu się z tego majątku należy?

— Nic! Majątek ten odziedziczyłem po matce, któha umahła lat temu dwadzieścia, a kapitał, to są właśnie dochody z mego majątku, uskładane przez lat dwadzieścia.

— Ny, jakto? Pański Tato nic nie brał z tych dochodów?...

— Papa był moim opiekunem, i bhął za to hocznie tysiąc dwieście heńskich; dwa tysiące hocznie szło na moje wychowanie. Hesztę kapitalizowano aż do mej pełnoletności.

— I to zrobiło sto pięćdziesiąt tysięcy.

— Są w tych stu pięćdziesięciu tysiącach także pieniądze za ghunt sprzedany pod kolej.

Lichwiarz znał dokładnie stosunki majątkowe swej ofiary, i ciągnął ją za język jedynie dla tego, aby usłyszeć potwierdzenie szczegółów, na których oparł swe rachuby, wchodząc z paniczem w interesa.

— Aj waj! aj waj! trzy lata! — zawołał po chwili milczenia. Dobrze mi żona powiada: Eisig ty głupi, co ty sze wdał z młodym hrabią Rabalińskim! Tera będe czekał trzy lata na moje pieniądze...

— To Pan sobie procent policzysz?...

— *Wus toigt mir* procent. Żeby ja od Pana brał lichwę, toby nie było żal czekać trzy roki. Ale ja Panu dał na zwyczajny kupiecki procent. Cy ja to Pana zdarł? Broń Boże! Ja mam przecie sumlenie! Ja jestem kupiec. a nie żaden lichwiarz!...

— Ależ kochany dhogi panie Eisig! Ja przecie wiem, że Pan nie jesteś lichwiarzem tylko kupcem. Ja się też udaję do Pana jak do przyjaciela.

— *Wic heisst* do przyjaciela? Co mi z Pańskiej przyjaźni? Kiedy bieda to do żyda, a jak po biedzie...

— Ależ Panie Eisig — przerwało paniątko rumieniając się. Ja Panu daję szlacheckie słowo honohu...

— Ny co mi z tego? Co ja zrobię ze słowem honoru? Wszystkie dają słowo honoru, jak im potrzeba pieniędzy. Guccio Żymirski to won mi także dawał słowo honoru, jak był koncepts-praktykantem i nie miał co jeść. „Kochany panie Eisig, drogi panie Eisig! Ty mój przyjaciel, ty mój ojciec! Słowo honoru ja ci tego nigdy nie zapomnę, jakim szlachcie ja ci to wszystko nagrodzę!“ — A jakem mu pomógł, co

sze bogato ożenił i wziął oszemdzesząt tysięcy, to już nie było wtedy słowa honcru; — to won już Eisiga nie znał, tylo Eisigowi groził przez adwokata, co mu zrobi proces o lichwę. — Ny, co miałem zrobić dla miłego spokoju? Musiałem się zgodzić na *siebzig procent!* — *Heisst a Geszeft* szlacheckie słowo honoru.

Pierś młodego panicza zawrzała uczuciem obrażonej dumy; oczy mu się zaiskrzyły gniewem; usta mu zadrgały konwulsyjnie. Ale żądza użycia i zaspokojenia próżności przygłuszyła niebawem szlachetne oburzenie. Co powiedzą Henio, Lunio i Toto, pomyślał jeżeli się dziś nie pojawię w Tingel-tanglu? co pomyśli *Mademoiselle* Amanda, jeżeli jej nie uraczę szampanem? — Zrzuciwszy więc pychę z serca, jał schlebiać lichwiarzowi i obiecywać mu złote góry, aż wreszcie, *post tot discrimina rerum*, udało mu się go nakłonić do „zrobienia interesu.“ Atoli ani pochlebstwa ani obietnice nie zdołały odwieść pana Eisiga od planu, który sobie z góry już zakreslił. Składając się brakiem większej gotówki, a zapewniając że czyni to jedynie „z przyjaźni“ dla mego pana, wypłacił „właściciel handlu towarów galanteryjnych i mieszanych“ tombaczkowi na sumę 3000 guldenów wekslem pokrytą, gotówką guldenów 400, pokrywając resztę towarami, i przyrzekając przed upływem tygodnia wyszukać kupca na rzeczony towary. Wedle spisu przez pana Eisiga panu memu wręzonego składała się suma wekslem pokryta z następujących pozycji:

Gotówką	400	złr.
Procent od kapitału 3000 guldenów za sześć miesięcy licząc 2% <i>pro mese</i>	150	"
12 tuzinów lalek po 5 złr.	720	"
6 sztuk kolorowego perkalu po 30 złr.	180	"
100 funtów ćwioczków do butów po 50 centów.	50	"
12 tuzinów słomianych pantofli po 50 centów	72	"
12 tuzinów łyżek pakfongowych po 50 centów	72	"
12 tuzinów kaloszy gumielastycznych po 3 złr.	432	"
12 tuzinów grzebieni po 1 złr.	144	"
12 tuzinów szczotek do włosów po 2 złr.	288	"
120 tuzinów rogowych guzików po 6 centów	48	"
12 tuzinów szczypców	144	"
	<u>Suma 3000</u>	złr.

Po szczęśliwem dokonaniu tej finansowej operacji, pospieszył nasz paniczek do swego mieszkania, gdzie już przyniesiono sprawunki nie dawno zakupione. Zaspany służący w strzeleckiej liberji czekał w przedpokoju, który napelniała aromatyczna woń tureckiego tytoniu, świadcząca że sługa nie pogardza papierosami swojego pana.

— Był tu kto, Stasiu? — zapytało Niby.

— A byli ci panowie, co tu wczoraj w karty grali... Powiedzieli, że się z Jaśnie Panem zobaczą w teatrze ...

— Eeee dobrze!...

— Był także starszy Pan — ciągnął dalej strzelec, spozierając szyderczo na panicza.

— Cóż powiedział?...

— Nic!... Pytał się gdzie Jaśnie Pan mieszka?...

Tombaczek zmarszczył brwi niecierpliwie.

— A pahasolkę przynieśli? — dodał po chwili.

— Przynieśli dwie proszę Jaśnie Pana... Przynieśli także drugą paczkę z perfumami....

— Otwiehałeś?...

— Nie, proszę Jaśnie Pana! To starszy Pan wziął sobie flaszeczkę perfum i mydelko.

— Słuchaj Stasiu! Masz tu pięć heńskich... Weźmiesz o wpół do jedennstiej fiakha, i zawieziesz te pahasolki do „Czech-pahku“.... Hozumiesz?...

— Rozumiem....

— Będziesz tam tak długo czekać dopóki nie przyjadę... Jeżelibym o wpół do jedenastej nie przyjechał, to sobie każesz każ dać kolację...

— Dobrze Jaśnie Panie!

— O wpół do jedenastej! Pamiętaj nie zapomnieć! — dodało Niby wychodząc.

— A proszę Jaśnie Pana, to pudelko z perfumami, czy ono tu zostanie? — zawołał za odchodzącym strzelec.

— Eeee tak!... Albo nie!... Weź to pudelko także z sobą; ono mi się przyda — odparł tombaczek. I pogwizdując jakąś operetkową arję pospieszył do teatru.

§. 12. Przyczynek do fizjologii galicyskiego „Niby“.

„Niby“ *oblige!* ...

Prawdziwy gentleman, prawdziwy pan może, poszedłszy do teatru, nie ubliżając swojej godności, usiąść w parterowym krześle, lub w balkonowym fotelu. Prawdziwy pan nie potrzebuje się starać o to, by zwrócono uwagę na jego osobę; — wie on dobrze o tem, że go wszyscy znają, że skoro wejdzie do sali, natychmiast zwrócą się nań wszystkie teatralne lornetki, i że go nikt nie posądzi o to, iż go nie stać by sobie kupić lożę, gdyby mu przyszła ochota. — Prawdziwy pan może być sobą, i nie potrzebuje kopywać modnych kliszów. Wolno mu przeto, usiadłszy skromnie w balkonowym fotelu, ba nawet i w parterowym krześle, śledzić spokojnie i z zajęciem grę artystów, i przebieg sztuki. Wolno mu śmiać się, rozczulać, zachwycać, unosić, i wyrażać swobodnie zapał swój lub zadowolenie.

Aliści Niby nie posiada tego przywileju. Mając się tak do prawdziwego gentlemana, jak się cykorja ma do kawy, którą udaje, a znając nicość swoją dokładnie, zrzeka się Niby swej indywidualności, i małpuje zawsze i wszędzie klisz jakiś modny, stojący wiecznie przed jego oczyma. Niby nie może się śmiać, ani rozczulać, ani zachwycać, ani unosić; — Niby się musi nudzić koniecznie, dając tem do zrozumienia, że

widziało już lepsze rzeczy, jakkolwiek często bardzo nie widziało nic prócz Lwowa, Ułaszkwowiec i Kołomyi.

To też nie uczęszcza Niby do teatru po to, ażeby duchowej użyć biesiady, lecz po to, aby się pokazać. Humor Moliera, tragika Szekspira, liryzm Szyllera nie mają dlań żadnego wdzięku; — obojętną mu jest gra artystów, obojętną akcja na scenie. Szczelnie zawinięte w nieprzemakalną kopertę głupoty i próżności, po której ześlizgują się wszelkie podnioslejsze wrażenia. śmieje się Niby tylko wtedy, gdy z ust aktora lub aktorki padnie dwuznacznik jakiś białą szyty nicią. Wtedy nie posiadając się już z radości, rzy Niby śmiechem na całe gardło, i zwróciwszy lornetkę na salę, śledzi na twarzach panien i mężatek wrażenia, jakie rubaszny ten dwuznacznik wywarł na ich umyśle. Zresztą kończy się dla niego scena tam, gdzie się dla innych zaczyna, a jedynym dlań aktorem jest właśnie ono, — ono samo, bawiące publikę bezpłatnie swoim drewnianym układem, widzące siebie zawsze w jakimś niewidzialnem lusterku i wiecznie o to dbające, ażeby nie wypaść z roli eleganckiego małpi-króla, którą sobie narzuciło.

Dla tego też siada Niby zawsze w łoży, obawiając się, aby idealny półmisek jajeczniczy, który zwykło nosić na głowie, nie spadł mu ztamtąd na ziemię, gdyby je ktoś zobaczył siedzące na innem skromniejszym miejscu. Chodzi mu o to, ażeby być na widoku, i ażeby pokazać, że je stać na taki wydatek. Wyciągnawszy na ćwierć łokcia manszety do koszuli

przypięte, opiera ono ręce na czerwonym merynosie balustrady, i wodzi niedyskretnie lornetką po sali, rozbierając wyobraźnię z sukien kobiety, lub wpatrując się w twarze nieznanomych sobie mężczyznom owym dowcipnym badawczym wzrokiem, którym — wedle ludowej przypowieści — spogląda ciele gdy ujrzy malowane wrota.

§. 13. Fiasco tombakowego młodzieńca.

Przypadkiem tylko udało się mojemu panu dostać łożę pierwszego piętra. Przedstawiano właśnie *Romea i Julję* z Ładnowskim i Woleńską w tytułowych rolach, i miejsca były zupełnie wyprzedane z wyjątkiem tej jednej łoży, zarezerwowanej dla jakiegoś protektora narodowej sztuki, który w ostatniej chwili dopiero zdecydował się zawiadomić kasjera, że Jaśnie Pan nie przyjdzie, i że można zamówionym biletom rozporządzić wedle upodobania. Już to — nawiasem mówiąc — niemasz dla ludzi sztuki i pracy cięższego w Galicji prześladowcy nad t. z. protektorów, i powinno by *Koło literackie* lub inna jaka filantropijna instytucja rozpisać konkurs na wynalezienie środka, któryby cierpiącą ludzkość uwolnił od tej nieznośnej filoksery.

Właśnie zaczynał się drugi akt w chwili, gdy młody pan mój wszedł do swej łoży, nie zapomnia-

wszy stuknąć drzwiami przy tej sposobności, jako przystało modnemu kawalerowi, który umie szanować godność własną, i wolen jest od przesądów parafianina, zacofanego w swoich pojęciach o towarzyskiej przyzwoitości. Z niemniejszym partesem i mistrzostwem udało mu się odsunąć krzesło i usiadłszy, przysunąć je z takim samym łokotem. Po szczęśliwem wykonaniu tej hałaśliwej uwertury, której zadaniem było zwrócić uwagę powszechną na tryumf młodego bożka, rozsiadło się Niby szeroko, wychylając się z łoży nieco naprzód, ażeby wygodniej mogło być widzianem przez ciekawych.

Aliści hałaśliwe to wejście nie wywołało zamierzonego wrażenia. W półmroku przyćmionych żyrandoli przeszło pojawienie się tryumfującego tombaczka niemal niespostrzeżenie. Zaledwie z kilku parterowych krzeseł ozwało się niecierpliwe „Pst!“ nawołujące młodego naszego Zulusa do przyzwoitości; zaledwie kilka roztargnionych lornetek skierowało się chwilowo w stronę, z kąd wśród powszechnej ciszy zabrzmiał łokot przesuwanych stołków, i uwaga publiczności zwróciła się znowu na widownię, gdzie się właśnie rozpoczynała znana balkonowa scena w ogrodzie Capuleta. Zawstydzony swem niepowodzeniem, niekontent z siebie, szamotał się niespokojnie czas jakiś jeszcze nasz bohater, usiłując przykuć do swej osóbki uwagę nielicznych ciekawych, którzy spostrzegli jego wejście. Aliści zabiegi jego nie osiągnęły najmniejszego skutku. Nikt nie zauważył jego

poz zwyciężkich; manszeta jego efekta nie wywołały żadnego wrażenia, żadna lornetka nie odwzajemniła zaczepki jego lornetki. Nie pozostało mu więc nic innego, jak tylko pójść za ogólnym przykładem i śledzić spokojnie grę artystów, rozwijającą się ciągle *crescendem* potęgającej się namiętności.

§. 14. Sielanka pod fryzurą.

Przymusowy ten spokój oświadczył powoli duszę młodego naszego panicza niby sen dobroczynny, i skłótył ją w marzenia pełne dziwnego uroku.

Czytelnicy moi znają z pewnością mistrzowską scenę balkonową, i przypominają sobie jak upajającym jest czar tętniący w tych wybuchach dwojga serc, porwanych fatalnym wirem trawiącej je namiętności. Jest tam coś z onej rozmarzającej duszności lipcowych włoskich nocy, gdy w powietrzu przesyconem elektrycznością czuć nadchodzącą burzę, a falujące morze z każdym wody pluskiem fosforycznymi zapala się blaskami. Nawet z dzisiejszą naszą prostotą, nieliczącą już napuszystość Romea, dobierającego słów w chwili wzruszenia, i malującego swe uczucia misternymi słów zwrotami, nie razi tu wcale oczarowanego słuchacza, i zdaje się podobną do onej namiętnej woni jaśminów, odurzającej zmysły rokoszną jakąś pieśczęcią. A wszystko to łączy się tutaj w przedziwną całość, która tak jak wino mocne upaja, i nieubłagalnie

rozmarzać musi najmniej wrażliwe umysły.

Atoli ani płomieniste słowa Romea, ani też namiętna tkliwość Julji nie były onem tłem, na którym młody nasz tombaczek snuł swoje marzenia; — kanwą na której je haftował były własne jego wspomnienia, zbudzone nagle ze snu dziwnem jakimś zaklęciem, a roztaczające się przed oczyma jego duszy pasmem tęczyowych kolorów. Przypomniawszy sobie, że i jego nazywano niegdyś Romeem, że i on znał przed laty Gjułjetę; rokoszną małą Julkę, wesołą towarzyszkę jego lat dziecińczych.

Wspomnienia te uniosły myśl jego z tej sali, gdzie przybył szukać jałowych tryumfów zadowolonej próżności, hen! hen! daleko, do cichej wioski pod Karpatami, kędy siedm lat temu, w domu dawnej przyjaciółki swej matki, spędzał wakacje, wysłany tam w towarzystwie nauczyciela przez ojca bawiącego u wód za granicą. Rosochate drzewa kulis w ogrodzie Capuleta ożywiła myśl jego liści szelestem; — teatralny księżyc, przesuwający się z wolna po szarej kurtynie, zamienił się w złote słońce, dzierżgające świetlanym haftem drzewa i kwiaty wiejskiego ogrodu. W tym ogrodzie ujrzał nasz paniczek siebie samego, harcującego na niecierpliwym osiołku, i tuż obok Julkę klaszczącą w drobne dłonie, i radującą się niezgrabnym wierzganiem złośliwego długoucha.

Jakiem to rozkosznem dzieckiem była podówczas ta wesoła Juleczka, i jakąż słodką melodją brzmiał wtedy śmiech jej serdeczny, rozpryskujący się perlową

kaskadą wpośród wiejskiej ciszy! Pleź słodkiego czaru było w jej oczach, przyćmionych długą rzęsą, a pokrewnych tym fjołkom, które razem chodzili zbierać w dąbrowie! Jak rumianemi były jej ustka, podobne do tych malin wilgotnych rosą, a ciepłych jeszcze słońca promieniem, które zwykle jadali razem pod cieniem dębu na świeżej murawie!

Juleczka bywała zawsze gospodynią tych dziecięcych godów, i rozdzielała po bratersku owoc wspólnym trudem zebrany, wkładając swemu przyjacielowi drobną rączką do ust soczyste maliny. — A u nóg ich spoczywał towarzysz ich wycieczek stary Bryś, dysząc ciężko wśród skwaru lipcowego słońca, bijąc trawę kosmatym ogonem, i poglądając na swych przyjaciół życzliwemi oczyma. A z werandy domu odzywał się piskliwy głos Julcinej guwernantki panny Bellot: *Juliette! Juliette! venez donc faire la dictée!... Ah les petits fléaux les voilà partis de nouveau!*“ — Ale Juleczka nie spieszyła na to wezwanie, i zanosząc się od śmiechu, zamykała drobną rączką usta swego towarzysza, ażeby nie zdradził jej schronienia.

O tak, o tak! Rozkoszne to były chwile! chwile pełne serdecznych uciech, pełne wesołej swobody! I nie mąciło zgody młodych przyjaciół żadne nieporozumienie. Juleczka była reżyserem wszystkich zabaw, głównym kierownikiem psot wszelkich, i organizatorem wszystkich wycieczek, a on — on słuchał ślepo jej rozkazów, ulegając jej czarowi. Podobna dwom wesołym motyłom bujała tak młoda para po wilgo-

tnych jarach, po rozkwieconych łąkach, po gajach pełnych cienia, strząsając rosę z wrzosów, i zostawiając sukien kawałki na cierniach kolczastego głogu. I było ich pełno wszędzie, a wszędzie byli razem, i panna Bellot nie nazywała ich już inaczej tylko Romeem i Giuliettą!

A jakie to dziwne oczy miewał czasami ten trzpiotek wesoły? Jak żałośny wyraz miało wtedy spojrzenie Juleczki, gdy towarzysz jej skłulił sobie palec na cierniu, usiłując zerwać różę, którą chciała wpleść do wianka! Jak troskliwie opatrywała jego ranę wtedy, gdy sobie rękę skaleczył na gałęzi, sięgając po wiśnię dla niej przeznaczoną! — Czy też oko jej zachowało ten wyraz uroczy? Czy ustka jej uśmiechają się jeszcze tak swawolnie, jak się uśmiechały przed siedmioma laty? — Siedm lat! siedm lat już jak ją stracił z oczu! Siedm lat! Boże ileż to czasu! — Trzpiotowaty podłotek musiał wyrósć tymczasem i rozwinąć się wspaniale w uroczą dziewczęcę. Ciekawa rzecz czyby ją poznał, gdyby ją ujrzał teraz w pełnym rozkwicie? Ciekawa rzecz czyby ona go poznała, a poznawszy czyby go przywitała z dawną serdecznością i swobodą?...

§. 15. „Ci panicze.“

Tymczasem rozwijała się sztuka coraz dalej. Wyczerpawszy cały różaniec słodkich wyznań i przysiąg miłośnych, nie mieli sobie kochankowie oczywiście nie już ciekawego do powiedzenia. A więc uczynili

to, co najmędrszem jest w takim wypadku, t. j. zeszli ze sceny. — Czyn ten roztropny stawia ich nadzwyczaj wysoko w mojem poważaniu; — niestety bowiem, świadkiem p. Grocholski, mało jest ludzi na świecie, umiejących się usunąć w stosownej porze.

Przyćmione w czasie balkonowej sceny żyrandole zajaśniały po odejściu kochanków żywszem światłem. Służba teatralna poprzesuwała w mgnieniu oka kulisy; zmieniono dekorację i na scenę wstąpił zgryźliwy Lorenzo, herboryzując i filozofując na temat znanego ruskiego dogmatu, według którego na świecie „*kuźdaja ricz maje swoju szatenzajtu.*“ — Zanurzony w swoich wspomnieniach nie zauważył młody pan mój zmian tych wcale. Z wzrokiem na scenę zwróconym, siedział wpatrując się w czarowne obrazy minionego szczęścia roztaczające się w jego umyśle, i lubując się rozkosznym snem, który tak niespodziewanie nawiedził jego duszę. Nawet łoskot, który wchodząc sprawili trzej jego towarzysze, przybywający by skorzystać z wygodnej łoży przyjaciela, nie zdołał go wyrwać z zadumy. Byli to ci sami trzej panicze, którzy mu przez służącego zapowiedzieli swe przybycie, a którzy zwykli byli asystować naszemu Niby wyzyskując jego próżność i marnotrawstwo.

Nazywano ich powszechnie Budrysami. W istocie jednak nie mieli nic wspólnego z bohaterami ballady Adama. Na miejscu litewskich junaków nie byłby się żaden z nich dobrowolnie puścił na wojenną wyprawę. Wysłany przymusowo byłby każdy z nich

zamiast czarnobrewej Laszki przywiózł kubel rubli do domu Nieprzemakalna powłoka głupoty i cynizmu, która otacza pancerzem skorupiaków tego rodzaju, była u nich nierównie grubszą już i twardszą niż u mojego pana. Jego umysł i serce bywały niekiedy jeszcze dostępne szlachetniejszym uczuciom i porywom; — u nich sparaliżowało już zepsucie do szczętu owe nerwy, któremi człowiek odczuwa wznioślejsze wrażenia.

Byli wszyscy trzej równie goli, równie głupi, i równie zepsuci, ale posiadali ów spryt drapieżnego zwierzęcia, którym się kieruje lis, gdy wietrzy żer gdzieś w kurniku. Świat był dla nich takim kurnikiem, a siedzibą sprytu ich był żołądek. Idealem ich było tanie i łatwe użycie, mniejsza o to jakim zdobyte środkiem, i na jakiej osiągnięte drodze. Tak szli przez życie, łakomie chwytając korzyść po drodze i żer, którymi ich darzyło dziś, a nie spuszczać z oczu jutra. Szczytem ich marzeń był posąg bogaty i świetna jakaś wydrwiczynami zdobyta karjera. Można było liczyć z pewnością, że cel ten ostatecznie zdobędą, bo byli gotowi wszystko poświęcić dla dopięcia tego celu.

Mimo to wszystko, a raczej właśnie dlatego imponowali mojemu panu trzej Budrysi. Podziwiał on ich cynizm i zepsucie, czuł że im nie dorównywa w tym względzie, i przyznawał im z tego powodu w pokorze ducha wyższe w hierarchji tombakowej stanowisko. Obcowanie z nimi napełniało go nawet pewnem uczuciem dumy i zadowolenia. Budrysi byli

od niego starsi wiekiem i mieli w świecie *fashionu* po części już wyrobione stosunki. Schlebiało mu to, że go w *carambole'a* zgrywa Toto Żymirski, będący prawdziwym hrabią, — hrabią za dyplomem, a nie tak jak on, hrabią tylko „z woli narodu“. Czuł się szczęśliwym, gdy mógł jakimś prezentem dogodzić chciwości Henia Ickowskiego, wiedzącego zawsze co się dzieje w kasynie, gdzie on — opuściwszy dopiero niedawno temu szkolne ławki — nie miał jeszcze przystępu. Z rozkoszą poił szampanem Lunia Kozolupowicza, mającego w świecie zakulisowym wyrobione już stanowisko mecenasa, i będącego „per ty“ z większą połową chórzystek. Z swej strony, traktując go lekko, protekcyjnalnie, prawie z góry, tak jak traktuje nauczyciel swego ucznia, lub sierżant swych podwładnych żołnierzy, przyjmowali Budrysi dowody jego uległości, jako rzecz całkiem naturalną, jako hołd który im się słusznie należy.

§. 16. *Dificile est satyram non scribere.*

Zaskoczony niespodziewanem przybyciem tych gości, uczuł się pan mój wielce nieszczęśliwym. Po raz pierwszy w życiu wydali mu się nieznośnymi i trywialnymi ci wykwintni panicze, — po raz pierwszy uczuł jakiś bojaźliwy wstręt przed grożącą mu ich paplaniną, która go zwykle tak wyśmienicie bawiła.

Żal mu było tych pięknych marzeń, któremi się przed chwilą tak słodko kołysał, a z którymi mu się pożegnać wypadało, żal tego wdzięcznego snu, z którego brutalnie go zbudził Henio Ickowski uderzając poufale po ramieniu i pytając z^f szyderczą ciekawością o powód tak głębokiego zamyślenia.

Znając swych kolegów, nie byłby im młody pan mój za nic w świecie otworzył serca w tej chwili. Wiedział na jak płaskie drwiny naraziłby się musiał koniecznie, — wiedział, że przyznawszy się do jakiegoś delikatniejszego uczucia, straciłby w tem szanownem gronie oną opinię, którą tak pilnie starał się zdobyć sobie, zapierając się wobec swych towarzyszków wszelkiego szlachetniejszego porywu, jak gdyby ciężkiej jakiejś i hańbiącej winy.

Z drugiej strony śmiertelną go przejęła trwoga myśl, że Budrysi gotowi przypuścić, iż musiał z ciekawem nader zajęciem śledzić grę artystów i przebieg sztuki, skoro się tak w myślach zatopił, że nawet nie zauważył przybycia swoich gości. Gorący rumieniec wstydu oblał mu czoło na samo przypuszczenie, iżby go mógł spotkać zarzut tak parafjańskiej naiwności. Przeciągając się więc, ziewając i przecierając oczy, jak człowiek ze snu zbudzony, jał pod „słowem honohu“ skwapliwie zapewniać swych kolegów, że zasnął z nudów, że nie zna nic w świecie głupszego nad Szekspira, i że wedle jego zdania najdoskonalszym wyrazem sztuki jest cyrk, Tingel-tangl, a w ostatecznym razie operetka.

Tymczasem rozgościli się Budrysi w łoży mojego pana, napelniając ją gwarem kaczek żerujących w kałuży. Jak z worka tak się zaczęły sypać nieciekawe nowinki, skandaliczne plotki i wstrętne kałumnje. A wszystko to opowiadaniem było bez najmniejszej werwy, bez życia, bez dowcipu, bez szczypty nawet owej złośliwości, która obmowę jako tako jeszcze strawną uczynić może dla wybredniejszego żołądka. — To co właściwą istotę i ozdobę życia ludzkiego stanowi, nie znalazło oczywiście wyrazu w tej brudnej powodzi. Nic, oprócz błahostek, szumowin, i najgrubszych zwierzęcych instynktów! Tylko głupia miłość brudu i skandalu, lekceważenie czci kobiecej, pogarda dla pracy i cichej zasługi, a bałwochwalcza cześć dla powodzenia, — ale cześć połączona z pewną przymieszką zazdrości, podejrzliwości i niechęci, — jednym słowem owa cześć, jaką murzyn otacza swojego fetysza, uderzając przed nim czołem dlatego, bo nie śmie go błotem obrzucić.

Opowiadano sobie o jakimś tłustym baronie, który upiwszy się na objedzie, danym przez pewnego generała dla kilku członków kasyna, rozczulił się tak dalece, że zaczął ścisnąć kelnera. Szydzono z hrabi Witolda, który złożył dwa tysiące guldenów na założenie czytelnicy dla ludu, a zachwycano się sprytem barona Augusta, który w swoim majątku wymurował kasarnię dla żołnierzy, i w ten sposób za jednym zachodem ubije prawdopodobnie dwie muchy, bo i dochody swe z propinacji znacznie podniesie, i w dodatku

order jeszcze za to dostanie. Zastanawiano się nad grubemi łydkami nowego stangreta pani X., nad czarnemi oczyma murzynka hrabiny Y. i nad faworytalnym pińczem starej szambelanowej Z. A wszystko to przeplatano komentarzami *sui generis*, podejrzeniami i skandalicznymi plotkami, — rozważając przytem z wielką ścisłością i powagą, ile szampana i koniaku wypić można bez szwanku dla zdrowia i przytomności umysłu? jak długie faworyty może nosić stangret, którego się w kamasze ubiera? czy skóra murzynów nie wydziela z siebie jakiegoś brudzącego tłuszczu? i czy oddając karty wizytowe, zaginać należy róg ich z prawej czy też z lewej strony?...

§. 17. Jo tryumphe!

Młody pan mój łowił chciwem uchem tę jałową i wstrętą gadaninę. Złoty sen jego — sen o Julce uleciał daleko, daleko! — i wspomnienie jego zatarło się w wrażliwym jego umyśle. Podobny do gąbki wciągał w siebie łakomie opowiadania i uwagi swoich gości, których cynizm, bezwzględność, wrzekoma znajomość świata, i nadzwyczajna pewność siebie wielce mu imponowały w tej chwili. — Oszołomiony powodzią ich swady, nie śmiał nawet brać udziału w rozmowie, zadawałając się tylko potakiwaniem tej lub owej perorującej powadze. To też niepospolicie go uszczęśliwił siedzący z tyłu na tak zwanym ko-

niku Lunio Kozołupowicz, gdy zwróciwszy na mnie swoją uwagę zapytał:

— Zkądże się tutaj wziął ten parasol?

Rad że raz przecie z niemej swej może wystąpić roli, począł mój pan opowiadać, jako mię kupił „dla ohyginalności,” a przyniósł tutaj aby swym towarzyszom pokazać „ohygalny koncept tych Anglików, którzy pahasol w Londynie zhobiony, opatrzyli haczką, przedstawiającą główkę galicyjskiego żydka.” Zaciekawieni tak „ohygalnym konceptem angielskiego fabhykanta” poczęli się Budrysi przypatrywać mej rękojeści, podając mnie sobie z ręki do ręki, i zachwycając się doskonałością rzeźby, którą mnie ozdobiono. Uczucie, którego doznawałem w tej chwili, podobnem jest do uczucia rekruta postawionego pod miarą, — podobnem do uczucia młodej ubogiej panielki, w chwili gdy się do niej zbliży konkurent bogaty, ale wstrętny. Pomimo licznych swych wad sympatycznym mi było to biedne Niby, używane wiecznie jako parasol, przez kupca, którego dziś poznałem, przez żyda lichwiarza, przez tych którzy się zwali jego przyjaciółmi, — nienawistnymi zaś ci panicze, wyzyskujący dobrodusność i lekkomyślność swego towarzysza. Myśl więc, że mogę się podobać któremuś z tych panów, przejęła mnie obawą bez granic; — wiedziałem bowiem, że pan mój, chociażby tylko dla tego, ażeby zadokumentować wobec swoich kolegów fakt, że „jeżdżąc zawsze dohożką nie potrzebuje pahasola”, gotów jest ofiarować mię temu z swych go-

sci, który się o to przymówi. Na szczęście jednakże moje i niniejszych *Pamiętników*, nie objawił podobnej pożądlivości żaden z tych nieciekawych kawalerów, — pomyslnym bowiem dla mnie wypadkiem zwróciła się uwaga ich w stronę łoży, gdzie się właśnie pojawiła jedna z gwiazd lwowskiego niedoświata.

Była to istotnie kobieta niepospolitej urody. Miała wzrost i kibić palm pustynnych, gors pełny zdrowia i życia, cerę świeżej brzoskwini, usta jakby dwie wiśnie, włos bujny i oczy czarne pełne piekielnego jakiegoś żaru. Strój jej nader wykwintny, lecz nie grzeszący przesadą przeciw onej mierze, którą zwykli zachowywać przyzwoite kobiety, tworzył dziwny kontrast z wyzywającym wyrazem jej twarzy. Nazywano ją powszechnie Piesią, i znaną była burzliwa jej przeszłość całemu miastu. Wydana młodem dziewczęciem za niskiego jakiegoś urzędnika, porzuciła męża przed czterema laty dla pewnego asekuracyjnego sekretarza, który naruszywszy dla niej zakładową kasę, musiał ucieczką za granicę ratować się przed śledztwem i karą. Po stracie tego pierwszego kochanka pocieszył ją adwokat, którego zdradziła dla bankiera. Temu znów odkochał ją stary jakiś obywatel z Wołynia, czy też Podola, który podróżując z nią dwa lata po Francji, Włoszech i Szwajcarji, przetrwonil cały majątek swych dzieci. Wyssawszy tego starca do szpiku, porzuciła go w Monaco, złamanego, chorego, ogolconego ze czci i wszystkich środków do życia, a mimo to bardziej jeszcze w niej

zakochanego teraz, aniżeli w chwilach szczęścia, dostatku i użycia. Powróciwszy z Monaco, zamieszkała we Lwowie, w willi подарowanej jej niegdyś przez dawnego jej kochanka bankiera, i zarzucała sieci na pewnego autonomicznego dostojnika, bawiąc się wesoło i bez troski, a nie myśląc wcale o biednym starym Wołyniaku, który nazajutrz po jej odjeździe w łeb sobie palnął z rozpaczy.

Odurzająca woń skandalu, która otaczała tę kobietę, a która tak dziwnie nęcić zwykła półgłówków swym zatrutym jadem, była właśnie onym potężnym czarem, który jej pomiędzy lwowską tombakową młodzieżą licznych a gorących zdobywał wielbicieli. Jak ómy nocne tak się zwracali do tego słońca, do tej znakomitości zepsucia, nie zważając na to, że słońce to spalić może ich wątłe skrzydełka. Niestety jednak, a raczej szczęściem dla nich polowała Piesia tylko na grube ryby, i nie raczyła wcale zwracać uwagi na hołdy gołych i zależnych jeszcze tombaczków. — To też skoro się w łoży swej pojawiła natychmiast zwróciły się w jej stronę ciekawe lornetki Budrysów.

— Ach, słowo wam daję! — zawołał Toto Żymirski, wychylając się z łoży, ażeby na siebie zwrócić uwagę kameljowej damy. — Gdybym mógł się jeszcze kochać, tobym się w nikim nie kochał tylko w jednej Piesi.

— *Chic, chic!* kobietka! — zawtórował Henio Ickowski. — Patrzcie co za gust! co za elegancja!

— Jak to zaraz widać że wraca z Paryża.

— Ale wiecie co? — zapytał pan mój. — To dziwna rzecz! Czy nie uważacie do kogo Piesia podobna, ale to tak jak dwie khople wody podobna?...

— No do kogoż Fredziu, mów! — zawołali wszyscy ciekawie.

— Do Loli Szmulowskiej. Słowo honohu! kubek w kubek!

— Prawda! — zatwierdzili Toto i Henio. — Wiesz co, żeśmy tego nie zauważyli.

— Ale cóż znowu? — zaprzeczył Lunio Kozolupowicz swym śpiewającym kołomyjskim akcentem. — Piesia ma nosek jak z cukru, a Lola ma nos jak ogórek.

— No, no, no! — zawołali chórem tamci. — Przecież Loli nie można odmówić piękności i rasy.

— Ta co za piękność! ta co za rasa! — odparł Lunio skwapliwie. — Żebyście tak i z jednej i z drugiej „szkórę“ zdjęli, tobyście widzieli która ma rasę i która piękniejsza?

Oryginalny ten sposób badania kobiecej piękności wydał się tombeczkom naszym tak dowcipnym i zabawnym, że wszyscy głośnym rzeć poczęli śmiechem. Na scenie zęgnął właśnie Romeo Juljettę, swą potajemną żonę, złorzecząc świtowi wschodzącemu na szarem niebie, złorzecząc piosnce skowronka budzącej świat do życia, a wieszczącej nieszczęśliwym kochankom, że już nadeszła ciężka chwila rozstania. Wśród poważnej ciszy, która zalegała salę, zabrzmiał dziki ten wybuch śmiechu wstrętnym dyssonansem, i z ła-

wiek zniecierpliwionego parteru, z fotelów, z krzeseł, z łóż nawet zawtórowało mu gniewne „precz!“ połączone z głośnym i przeciągłym sykaniem. Przerażeni tą burzą niechęci rzucili się Budrysi w głąb łoży, kryjąc się przed spójrzeniami pełnymi gniewu i pogardy. Na widoku pozostał mój pan sam jeden, wpośród tego huraganu nieprzyjaznej wrzawy, podobny do samotnej gruszy na łanie w czasie grudniowej zawiei.

Słyszałem niejednokrotnie od ludzi, którzy bywali w bitwach, że trwoga upaja, i że właściwą pobudką czynów, zadziwiających nas śmiałością swoją i bohaterstwem, jest po większej części dziwne, a grozą jeno spowodowane rozprężenie nerwów, paraliżujące władze refleksyjne człowieka w chwili wielkiego niebezpieczeństwa. Niejeden, który oślep bieży na armaty, lub szarżując rozbija czworoboki nieprzyjacielskiej piechoty, czyni to niemal bezwiednie, pod wpływem jedynie gorączkowego, a trwogą spowodowanego szału i nie uczyniłby tego nigdy, gdyby przestrach nie był go pozbawił możliwości zastanowienia się nad niebezpieczeństwem, na które się naraża. Jest to bez wątpienia wielce niepochlebne dla próżności człowieka, ale mimo to nie da się zaprzeczyć, że ostateczną przyczyną jego odwagi jest częstokroć nic innego, tylko trwoga.

Podobna właśnie gorączka opanowała nerwy mojego pana w chwili, gdy, z natury nieśmiały, ujrzał się osamotnionym przez swych towarzyszy, pod

gradem tysiąca spojrzeń pałających gniewem i niechęcią. Trzymając mnie właśnie w rękę, bezwiednie więc, i nie zdając sobie sprawy z tego co czyni, rozpostarł skrzydła me ponad sobą skwapliwym ruchem, tak jak człowiek, który się zasłania przed ulewą. Uczynek ten, na pozór zuchwały i w obecnym zbiegu okoliczności wyzywający, a jak już wiemy właściwie bezwiednym jeno wykonany ruchem, byłby w każdym innym mieście bez wątpienia spotęgował oburzenie publiczności. We Lwowie atoli jest parter wielce pobłażliwym dla gburskich wybryków, któremi mniej lub więcej uperfumowane prostactwo stara się niekiedy zadokumentować swe lekceważenie dla „hołoty.“ Podobny do silnego brytana napastowanego zjadliwym szczekaniem małego pieska, trzyma się on zawsze zasady, że mądry, chociażby nawet drażniony, powinien głupiemu ustąpić, i nie posuwa nigdy objawów swego oburzenia aż do ostatecznej granicy. Stali goście parterowych fotelów mogliby z skandalicznych kronik lwowskiej sali teatralnej przytoczyć niejednen fakt na moje poparcie. Tutaj wystarczy wspomnieć tylko o pamiętnem „Cicho bydło!“ które publiczności rzucił pewien dygnitarz autonomiczny przywoływany sykaniem do porządku, w chwili, gdy, rozmawiając głośno w swej łoży podczas zajmującego przedstawienia, uniemożliwiał całej sali upragnioną rozrywkę, ażeby stwierdzić, że ten pocziwy, barani ludek lwowski daje zawsze za wygranę temu, który okaże stały zamiar wytrwania w burdzie i skandalu.

Pozornie wyzywająca postawa naszego tombaczka nie zdołała i tym razem wyprowadzić pobłażliwego parteru ze swej baranej cierpliwości. Czy to zadowolona tem, że osiągnęła spokój chwilowy, (gdyż jak powiedziałem zamilkli Budrysi przerażeni wrzawą i sykaniem) czy też nie chcąc się wdawać dłużej w jałową walkę z upartym scyzorykiem, zwróciła publiczność uwagę swoją znowu na scenę, ruszywszy jeno ramionami nad głupotą wybryku mojego pana, i nie troszcząc się dłużej jego demonstracją. Tylko redaktor *Warowni*, rewolwerowego pisemka, żyjącego burdą i skandalem, protestował ze swego fotelu jeszcze czas jakiś w imieniu „obrażonej moralności publicznej,” przeszywając mego pana piorunującym wzrokiem, i miotając się w pozornem oburzeniu, w gruncie serca rad jednak z nadarzającej się sposobności do bombastycznej filipiki przeciw „społecznej gangrenie.“ Natomiast z łóż zajętych przez ową część płci pięknej, której nie bawi Szekspir, a która ucześnie do teatru jedynie po to, aby się pokazać i widzieć tych, co w podobnym celu przybyli, zwróciły się ciekawe spojrzenia w stronę mojego pana, z niedwuznacznym wyrazem sympatji i zadowolenia. Mianowicie zaś spoczęła lornetka Piesi z szczególniejszem zajęciem na twarzy młodego panicza, który zasłaniając się mojami skrzydłami, siedział nieruchomy z obróconemi w słup oczyma, z tętniącemi skroniami, z ściśniętem gardłem, nie ochłonawszy jeszcze całkiem z wrażenia dopiero co przebytej burzy.

— Djabelnie bogatym musi być ten Fredzio Rabaliński, skoro bieda taka zuchwała! — pomyślały starsze i lepiej świat już znające panny na wydaniu, oblewając swojego pana księżycowem spojrzeniem.

— Muszę się przez Leimsera dowiedzieć co to za małpikrólik, i czy go warto skokietować? — rzekła do siebie doświadczona Piesia, przesyłając młodemu scyzorykowi uśmiech zalotny i zabójcze spojrzenie, ażeby sobie zdobyć strategiczną pozycję na wszelki wypadek.

Jednym słowem w onym świecie, o który mu zawsze głównie chodziło, wywołał nierozważny wybryk swojego pana jak najlepsze wrażenie. Nawet i Budrysi, jakkolwiek tak blisko siedzący, nieodgadli właściwej pobudki, która ich towarzysza skłoniła do tak wyzywającego wystąpienia, przypisując zuchwalstwu to, co było jeno dziełem nieśmiałości i przestachu.

— A wiesz co Fredziu! — zawołał Toto wychylając się znowu naprzód, podczas gdy pan mój przyszedłszy do siebie nieco, zwijał skrzydła swoje, przed chwilą jeszcze opiekuńczo nad nim rozpostarte. — A wiesz co? Dzielny z ciebie chłopiec! Nie spodziewałem się, że potrafisz zadać takiego szyku!

— Eeee! Czyż cię to tak strasznie dziwi? — zapytało Niby, któremu ta pochwała niezmiernie pochlebiała i które od razu pojęło, jakie korzyści wyciągnąć będzie mogło z pomyłki swego kolegi.

— No wiesz! dziwić mnie to nie dziwi! Ale

zawsze muszę ci oddać tę sprawiedliwość, żeś się spisał doskonale. Mnieby to może na myśl nie przyszło!

— Słowo honohu wam daję! Wybohny sobie jest Toto! — odparł mój pan skromnie. — Cóż tak wielkiego? Trzymałem właśnie w hęku pahasol.

— Ależes zaimponował „kanalji“ co się zowie! — przerwał Henio Ickowski wysuwając się również naprzód z pewną ostrożnością.

— Co zaimponował, to zaimponował! — dorzucił sentencjonalnie Lunio.

— Patrz, patrz! jak się na niego patrzy Rębosz! — wtrącił Toto. — *Parole d'honneur!* zazdroszczę Fredziowi tego tryumfu. Zobaczycie co o nim napiszą w *Warowni*.

— Tylko pamiętaj nie kapitulować przed Ręboszem, jeżeli by ci przyniósł odbitkę swego „narodowego katechizmu“ i proponował, że będzie milczał jeżeli mu zapłacisz! — pouczył Henio swego towarzysza.

-- Oczywiście, że nie! — dodał Toto. — Za drzwi panicza jeżeliby przyszedł. A jeżelibyś mu miał zapłacić, to chyba za to, ażeby cię jeszcze porządniej osmarował.

— Nie! wiecie co? to tryumf prawdziwy! to prawdziwe *éclat!* — zawołał Henio, rozglądając się śmieiej już po sali. — Patrzcie co tu lornetek wyceLOWANYCH na naszą łożę.

— Prawda! — potwierdził Toto. — To strach!

Winszuję ci Fredziu! szczerze ci winszuję! Patrz jak się słodko patrzy na ciebie Kola Borzycka.

— I Muszka Zawirska.

— I Belka Niedrzycka.

— Chachacha! winszujemy ci konkiety! szczerze winszujemy!

— Et co tam takie konkiety starych i gołych panien! — zauważył Lunio. — Patrzcie jak się do niego słodko uśmiecha Piesia! To więcej warte niż konkiety panien co tylko myślą o ślubnej obrączce.

— Słowo honoru! prawda! — zawołali Toto i Henio. — Ani na chwilę nie spuści lornetki z jego twarzy!

— Nie! wiesz co Fredziu? — dodał Henio. — To tryumf jakich rzadko. Zrobiłeś wrażenie. Jesteś lwem dzisiejszego wieczoru! *Le coq du vilage*.

— Powinieneś to oblać szampanem! — dorzucił Lunio.

— Oczywiście, że obleję! — odparł mój młody pan. — Po teatrze pojedziemy do Małeckiego na kolację, a z tamtąd do Tingelku.

I w taki sposób rozmawiali dalej nasi panicze, zazdroszcząc w duszy swemu koledze niespodziewanego sukcesu, podczas gdy tenże, lubując się rozkoszą swego tryumfu, wodził lornetką po sali, pełen dumy i zadowolenia.

Niestety jednak nie trwał tryumf ten długo. Przeworna Piesia, spostrzegłszy, że dostatecznie już zaintrygowała mego pana, a nie chcąc się z scyzo-

rykiem dłużej „kompromitować na niepewne“, zwróciła swą lornetkę i uśmiechy swoje w inną stronę. To samo uczyniły Kola Borzycka, Muszka Zawirska i Belka Niedrzycka, niezadowolone, iż niezdolały przykuć do siebie uwagi roztargnionego swem powodzeniem młodzieńca. Wyciągając co chwila manszety, co chwila poprawiając kołnierzyka, ziewając i wierćąc się bezustannie w swem krześle tak jak mucha w ukropie, usiłował pan mój czas jakiś jeszcze odzyskać teren utracony, i rozgrzać oziębione dla swej osóбки zajęcie. Przekonawszy się jednak o bezowocności swych wysiłen, przypomniał swym kolegom zrobione im zaprosiny, i że czas już udać się na kolację. Budrysi przyjęli tę propozycję z szczerem zadowoleniem, i tombaczkowe nasze towarzystwo opuściło lożę z hałasem, spiesząc do Małeckiego, gdzie nasze „Niby“ zamierzało ugościć swych przyjaciół, i szampanem oblać swoje sukcesy.

Chodnikiem przed Angielskim Hotelem przechodziły właśnie dwie grubym welonem osłonięte kobiety, w chwili gdy młody nasz tryumfator wysiadał z swej dorożki, tuląc mnie pieśczośliwie w swem ręku, jako trofea swych dzisiejszych powodzeń. Po ubiorze ich starannym i wykwinnym, ale nieco już z mody wyszłym można było poznać, że to wieśniaczki. Jedna z nich zdawała się trocha przygarbiona wiekiem, i miała ruchy ociężałe właściwe starszym osobom; — druga przypominała kibicią smukłą i wyniosłą postawą nadwiślańskie topole, a chód jej zgrabny i elastyczny

zdradzał dorodną i młodą w wiejskiej swobodzie wychowaną dziewczę. Spostrzegłszy mojego pana, zatrzymały się obiedwie, przypatrując mu się z ciekawością i życzliwym zajęciem. Oszołomiony swoim tryumfem nie zauważył nasz tombaczek tego objawu sympatji, i rozprawiając głośno a wesoło, podążył do restauracji z swymi towarzyszami, odprowadzony długiem spojrzeniem i westchnieniem młodszej z wieśniaczek.

§. 18. W Tingel-tanglu!...

Służący mojego pana oczekiwał już w Czech-Parku jego przybycia w chwili gdyśmy tam przybyli. Ujrzawszy nas pospieszył wręczyć przyniesione sprawunki naszemu bohaterowi, który dobrze już podochocony zajął wraz ze swymi towarzyszami miejsce przy stoliku najbliższym estrady Tingel-Tanglu. Na estradzie kończyła właśnie jakąś rozpoczętą francuzką piosenkę Mademoiselle Amanda, będąca *Divą* tej jarmarcznej szopki, a zarazem celem westchnień naszego panicza.

Była to kobieta co najmniej lat trzydziestu, przypominająca kolosalnym wzrostem i niezwykłą tuszą potężne wdzięki Heinowskiej Hamonji. Róż i blansz, któremi wytynkowaną była gruba jej cera, nie dodawały jej powabu, ani też nie podnosiły blasku jej spojrzenia krople, któremi zwykła była zapuszczać

oczy, sztucznie powiększone malowaniem. Występując na scenach Tingel-tanglów, ubierała się zwykle w jakieś fantastyczne, na wpół mekkie reductowe kostiumy, których obcisłością starała się uwydatnić swoje nieprzyzwoite wdzięki. Wydekoltowana — *en veutu? en voilà!* — pełna jakiegoś potwornego zdrowia, które, zdawało się, że lada chwila pożrywać musi wszystkie szwy jej ciasnego ubrania, budziła w widzu raczej niesmak i obrzydzenie, aniżeli przyjemne i życzliwe uczucie. Ale miała ową efronterję, która się nie wzdraga przed żadną sprośnością, — ów za czasów drugiego cesarstwa w modę wprowadzony *chic canaille*, który zawsze oczarowywa starych lampartów i checiwych użycia niedorostków. Słowem była to piękność, jakby umyślnie na Wenerę dla lwowskich tombaczków stworzona, a jeżeli do tego wszystkiego dodam jeszcze, że udawała Francuzkę, to nie będę już potrzebował mówić, że przybywszy do Lwowa szturmem sobie zdobyła hołdy wszystkich miejscowych Don Iwanów, złotego, poślacanego i tombakowego autamentu.

Historja tej nowej Beatryczy mojego młodego pana jest istotnie wielce ciekawą. Powiedziałem wyżej, że udawała tylko Francuzkę; — winienem tu jeszcze dodać, że się nie nazywała Amanda. Jejmość ta była Żydówką, urodzoną w Hamburgu, a na imie było jej właściwie Rebeka. Matka późniejszej *Divy* Tingel-tanglu odumarła ją małym dziecięciem; — ojciec zaś, niepocieszony po stracie swojej małżonki,

wstąpił z rozpaczą do kryminału. Pozostawioną na bruku sierotę przygarnęła jakaś podejrzana kwieciarka, spekulując na urodę młodego dziewczęcia. Przez pięć lat zimą i latem wysyłała małą Rebekę jej opiekunka z kwiatami na stójkę przed portalem giełdy. Sprzedając koryfeuszom repostu gwoździki i fijołki, wyuczyla się niebawem Rebbi — tak ją wówczas nazywano — wszystkich sztuczek kokieterji, a rozmowa i obcowanie z cynicznymi giełdźiarzami oswoiły niebawem myśl jej z rozpustą i frymarką. W dwunastym roku życia umiało już młode dziewczę dotrzymać w rozmowie cynicznym giełdowym szulerom, odcinając się z efronterją i strzelając przytem zalotnymi uśmiechami i spójrzeniami pełnymi obietnic. Z niedalekiego ukrycia śledziła stara kwieciarka manewra swojej pup ilki, jawiąc się zawsze po zamknięciu targu, ażeby wypróżnić jej kieszenie. W dniach pogody i zwyżki kursów bywało żniwo niekiedy nader obfitem; — wyuzdani giełdźiarze lubowali się zachwalstwem urodziwego potworka i płacono jej czasem po kilka i kilkanaście sylberów, niekiedy nawet i talara za jeden kwiatek. W dniach zniżki mniejszemi bywały zyski; — wtedy biła i głodziła chciwa kwieciarka swoją wychowanicę, karząc ją za to, iż nie dość była zalotną i obcesową. W tej dziwnej szkole zepsucia zaprawiała się Rebbi do życia, oswajana powoli z rozpustą i występkiem, przymuszana gwałtem i karami do zalotów i frymarki, które miały później służyć jej jako rzemiosło, jako broń skuteczna

w walce o byt i chleb powszedni.

Tak minęło lat pięć. Pomimo poniewierki i częstego głodu, rozwijało się młode dziewczę coraz piękniej w tej niewoli. Wreszcie wykupił ją z tego jarzma pewien już niemłody finansista, — jeden z tych co to w pierwszym roku zarabiają miliony, w drugim zostają baronami i orderowymi panami, a w trzecim kończą swoją karierę w więzieniu. Otoczywszy ją owym niby-wykwintnym przepychem, który na odległość mili cuchnie już mistyfikacją, zajmował się nowy opiekun Rebeki zaniedbanem jej wychowaniem, poruczając licznym nauczycielom i nauczycielkom kształcenie wrodzonych zdolności pojętnej dziewczęcia. Rebbi przyswoiła sobie w tej szkole oprócz najpotrzebniejszych elementarnych wiadomości, początki śpiewu, jakoteż jeszcze i pewną ogładę, i był pobyt w domu śmiertelnie w niej zakochanego giełdjarza, dla młodej żydówki niejako rehabilitacją, w stosunku do życia które prowadziła do tej chwili.

Niebawem jednak uległ nowy opiekun Rebeki swojemu losowi. Straciwszy cały majątek, i popadłszy z powodu podejrzanego jakiegoś przedsięwzięcia w kolizję z karną ustawą, znalazł się ryzykowny nasz finansista w położeniu, z którego dwa jeno prowadzą wyjścia: jedno na cmentarz, gdzie chowają samobójców, drugie do więziennej celi. Dowcipny giełdjarz wybrał trzecią drogę, t. j. umknął do Ameryki, obrabowawszy swoją pupilkę ze wszystkich klejnotów i kosztowności, któremi ją niegdyś obsypał. Pozosta-

wiona po raz wtóry w swem życiu bez środków do życia na bruku, pospieszyła Rebeka do raju wie-
trznic całego świata, do rokosznego Eldorado mię-
dzynarodowej kokoterji, do Paryża. Tam przecho-
dziła z ręki do ręki, niby marka preferansowa na
zielonym stoliku, to żyjąc w nędzy, to znowu opły-
wając w dostatki i rokosze, aż wreszcie po kilku le-
ciech, mieszkając właśnie z jakimś angielskim *pick-
pocketem*, który udawał milionera, dostała się do wię-
zienia, posadzona o współwinę w kradzieży brylantów,
dokonanej w jednym z najpierwszych jubilerskich
sklepów stolicy.

Wyszedłszy z więzienia, a wydalona z Paryża,
powróciła Rebeka do swej ojczyzny, ciesząc się na-
dzieją, że wzbogacona doświadczeniem zdoła nieba-
wem dojść do szczytu kariery tak świetnie rozpo-
czętej, a z której wyżyn tak niefortunne strąciły ją
wypadki. Aliści otyłość właściwa kobietom semickiej
rasy, gdy dojdą do wieku dojrzałego, i więdnące
już wdzięki nie pozwoliły jej osiągnąć celu swych
marzeń. Z rozpaczny tedy poświęciła się sztuce, —
wstępując do towarzystwa podróżnych niemieckich
tingel-tanglowych śpiewaków, jako „*Mademoiselle
Amanda, Pariser Chansonetten - Sängerin*,» i w spółce
z niemi objeżdżała większe miasta Europy, popisując
się repertoarem Teresy, śpiewając jej najtłustsze pio-
senki złamanym już nieco kontraltem, a ilustrując
je tak wymowną mimiką, iż najniedomyślniejszym nie
pozostawiała żadnej już do rozwiązania zagadki.

Spostrzegłszy mojego młodego pana, przywitała go Mademoiselle Amanda uśmiechem i skinieniem figlarnym głowy, nie zważając na to wcale, że ruch ten i uśmiech nie licowały wcale z charakterem ckliwo-sentymentalnej romancy, którą właśnie deklamowała. Była ona pewną, że jej tego za złe nie weźmie publiczność, która z małemi wyjątkami składała się z Niemców i niemieckich żydów, nie rozumiejących wcale po francuzku i prawdopodobnie dla tego właśnie oklaskujących każdą zwrotkę jej piosenki. Mianowicie Żydzi, odczuwszy w śpiewaczce instynktem córkę Izraela, nie szczędzili jej swego uznania, unosząc się zapałem, ilekroć Mademoiselle Amanda bardziej nieprzyzwoitym ruchem podkreślała jakiś białą nicią szyty dwuznacznik w swej deklamacji.

Niecierpliwiąc się, że nie może przywitać swej Beatryczy, kazał pan mój podać kilka butelek onego obrzydliwego trunku, króry za drogie pieniądze sprzedawanym bywa w Tingel-tanglach pod nazwiskiem szampana. Kelnerzy poskoczyli uczynić zadość żądaniom panicza, a przebiegła Mademoiselle Amanda, która przed chwilą kokietowała jakiegoś pruskiego comis-voyageur'a, zwróciła cukrowe swoje spójrzenia i zalotne uśmiechy w stronę mojego pana, poznawszy po butnej jego minie, że scyzoryk nasz jest przy flocie i że się opłaci poświęcić mu skąpego i austriackie jakieś wino pijącego Prusaka. Skończywszy tedy swą szansonetkę, zamierzała *Diva* pospieszyć do

naszego tombaczka, aliści brawa i oklaski zachwyconej publiczności nie pozwoliły jej wykonać tego zamiaru. Niecierpliwiąc się tą zwłoką, porozwijał mój pan przyniesione sprawunki, rozkładając je ostentacyjnie na swym stoliku, który stał się podobnym do stragana. Na widok ten przebiegł złośliwy uśmiech po licu śpiewaczki; — nie chcąc atoli zdradzić swej myśli, zmieniła Mademoiselle Amanda w mgnieniu oka wyraz swej twarzy. Ażeby za jednym zachodem zadość uczynić żądaniom publiczności a pocieszyć niecierpliwiącego się panicza, zaintonowała nową piosnkę, której przygrywkę *C'est l'amant d'Amanda!* podkreślała w ten sposób, iż zwracając się w stronę mojego pana wskazywała cukrowym uśmiechem i niedwuznacznym ruchem ręki, że tytuł ten jemu się należy.

§. 20. *C' est l' amant d' Amanda.*

Manewry Mademoiselle Amandy zwróciły uwagę tingel-tanglowych gości na uszczęśliwionego tombaczka. Dzień dzisiejszy był dlań widocznie dniem powodzenia i tryumfów. Podnosząc w górę kieliszki ilekroć piosnka dobiegała do końcowej przegrywki, poczęli podochoceni Budrysi wtórować w głos zalotnej śpiewaczce. Niewykwintna publiczność mordowni, której się podobał wybryk paniczów, poszła za tym przykładem, i niebawem zabrzmiał rozgłośnym chórem idjotyczny okrzyk: *C' est l' amant d' Amanda*

budząc echa drzemiące w zaciszu gajów rozwieszonych na stokach „Zamkowej góry.“ W każdym innym razie byłaby może ta owacja dotknęła nieprzyjemnie naszego panicza; — tym jednak razem po świeżym tryumfie w teatralnej sali, po licznych toastach u Małeckiego, nie czuł on już wcale brutalności tej reklamy odzierającej go z figowych listków, stawiającej go na szynkowej widowni, i wcielającej go niejako do zastępu tingel-tanglowych pajaców. Śmiejąc się na całe gardło i trącając kieliszkiem o kieliszki swych kolegów, lubowało się owszem uradowane Niby tym nowym tryumfem. To też wdzięczny inauguratorce tej karczemnej owacji, pospieszył nasz paniczyk za kulisy, by przywitać swą Beatrycę i powinszować jej sukcesu.

— *Bon jour mon p'tit choux!* — zawołała śpiewaczka, nadstawiając usta swemu wielbicielowi.

Panna Amanda wymawiała „*choux*“ nadzwyczaj twardo, tak jak Hanoweranie wymawiają ów wyraz, który w niemieckim języku trzewik oznacza.

Scyzoryk nasz nie był przygotowanym na tak obcesowe przywitanie; — *Diva* trzymała go dotychczas, pomimo licznych prezentów, jakie jej składał co chwila, i pomimo westchnień, które ku niej wysyłał, zawsze jeszcze w oddaleniu. Niedowierzając więc swojemu szczęściu, nieśmiało jeno przytknął usta do ust swej kochanki. Nieśmiałość tombaczka nie uszła baczności doświadczonej śpiewaczki.

— *Vieux pignouf!* — zawołała więc, szczypiąc mu

rubasznie policzki obiedwiema rękami, i wpatrując mu się w oczy z udaną czułością.

— *T'es l'amant d'Amanda! t'es l'amant d'Amanda!*
— dodała żartobliwie, zmieniając w ten sposób przygrywkę dopiero co skończonej piosenki.

A potem jak gdyby szalem uniesiona Menady, porwała go za szyję silnem ramieniem, i wpiła mu w wargi swe usta z udaną namiętnością.

§. 19. Dwie muchy w jednym sidle

Mademoiselle Amanda była tego wieczora w szczególnej wesołem usposobieniu. Heca do której dała powód przed chwilą swoją piosnką, nastroiła umysł jej na wpół sentymentalnie a na wpół dytyrambicznie. Rzekłbyś spensjonowana Bachantka zasiadająca przy godowym stole na własnem weselu i marząca o słodyczach małżeńskiego pożycia z romantycznym jakimś Filonem. Pełna jakiegoś dobrodusznego *laisser-aller bon aifaut* nie przystała na propozycję mojego pana, który ją pytał, czy by jej nie było przyjemniej udać się do przyległej kawiarni, aby tam zjeść kolację w towarzystwie Budrysów, z dala od niewykwintnych tingel-tanglowych gości. Oświadczyła, że wieczór jest zbyt pięknym, aby się zamykać pomiędzy murami, że publiczność dziś właśnie w ogrodzie będąca jest wielce sympatyczną, że nie wymaga dla siebie nic takiego, coby mogło być powodem ambarasu, i

że czując dziś we krwi *un tic rigolo*, pragnie raz przecie poznać, jak też z tej strony kinkietów wygląda owa heca, której dotychczas nie poznała jeszcze, urządzając ją zawsze tylko dla zabawy innych, a która bądź co bądź musi być wielce ciekawą i wesołą, skoro tak wyśmienicie bawi szeroką publiczność. W istocie nie chodziło doświadczonej śpiewaczce ani o wdzięk wieczoru, ani o sympatyczną publiczność, ani też o przyjemność skosztowania jakiegoś wrzekomo niedoznanego uczucia, lecz o to, aby pozostając w ogrodzie, módz dalej kokietować owego pruskiego *comis-voyageura*, z którym piła wino przed chwilą, a który od razu zdobył sobie pełny szacunek tingeltanglowej *Divy*, zamigotawszy przed jej oczyma brylantowym pierścieniem.

Naiwność, którą Mademoiselle Amanda starała się upozorować kaprys swój dzisiejszy, była tak dobrze udaną, że byłby się nią z pewnością dał wywieść w pole największy niedowiarek. Nic więc dziwnego, że młody pan mój upojony winem i licznymi swemi dzisiejszemi tryumfami, dał się złowić na tę wędkę. Usadowiwszy więc śpiewaczkę przy swym boku, złożył jej w ofierze przyniesione sprawunki, które *Diva* z oznakami dziecięcej przyjęła radości, przypatrując się im, rozkładając je, składając i przyciskając ostentacyjnie do ust, do serca, tak aby na siebie zwrócić uwagę ogrodowej publiczności. Tombaczek nasz był w siódmym niebie. Przywoławszy garsona, kazał podać pieczonego kapłona z sałatą, i

kilka świeżych butelek szampana, ażeby godnie uraczyć ową Beatrycę.

Stósownie do raz przyjętej roli, nie szczydziła *Diva* oszołomionemu seczorykowi zaczepek i pieszczoty. Zajadając żylastą, pod firmą kapłona podaną kure, która w kuchni od trzech dni już czekała na amatora, wpychała mu co chwila do ust to kąsek mięsa, to listek sałaty, nadgryzłszy je poprzednio perłowemi ząbkami. Kieliszek, który jej szampanem nalał garson, odsunęła z oburzeniem, oświadczając, że pić będzie tylko z naczynia, którego się dotknęły usta jej kochanka. Nasyciwszy wreszcie głód i pierwsze pragnienie, wyrwała papierosa z ust mojego pana i śmiejąc się do rozpuku, pociągnęła kilka dymów; — potem wetknęła mu w usta znowu cygaretkę przed chwilą wydartą, powtarzając zalotnie: *T'es l'amant d'Amanda! t'es l'amant d'Amanda!* wedle słów dopiero co skończonej piosenki. Jednem słowem zachwycającą była tingel-tanglowa *Diva* w swej przybranej roli, pełna rozkosznej jakiejś pieszczoty, rozlatana w namiętnych wybuchach, na pozór nie widząca nikogo na świecie oprócz swojego kochanka i podobna do szalonej rozkoszą oblubienicy, ucztujucej swobodnie sam na sam z swym oblubieńcem.

Atoli pomimo tego pozornego zapomnienia się, i tych z góry obliczonych wybuchów umyślnego bachanckiego szału, nie zaniedbywała Mademoiselle Amanda ani na chwilę drugiego swego wielbiciela, zerkając zalotnie w stronę pruskiego *comis-voyageura*

i przesyłając mu wśród pieszczot, któremi czarowała mego pana, uśmiechy pełne słodkich obietnic i pokusy. Ośmielony tą wyzywającą grą, począł Prusak niebawem odwzajemniać *Divie* jej zaczepki, odstrzeżliwując się to cukrowymi uśmiechami, to zabójczemi spojrzzeniami, to znowu mniej lub więcej dwuznacznemi apostrofami, które zręcznie, i niby nie w tę kierując stronę, wplątywał do rozmowy z towarzyszami siedzącymi przy jego stoliku. Niebawem jednak w miarę zażytego trunku, i coraz większej zachęty, jaką mu poddawała śpiewaczka, począł się zalotny syn Merkurego ożywiać coraz bardziej, aż w końcu z wojny podjazdowej, prowadzonej dotychczas tylko bronią spojrzeń i uśmiechów, przeszedł wprost już w bardziej energiczne działanie, i jał rzucać na śpiewaczkę pestkami z pomarańcz, które kupił u żyda, krzątającego się właśnie pomiędzy gośćmi z koszem włoskich bakalji. Tyralljerka ta trwała czas jakiś ograniczając się tylko na strony wojujące, gdyż Mademoiselle Amanda, przeszedłszy z roli gruchającej gołąbki w rolę swawolnicy, zwracała Niemcowi jego pociski, to występując zaczepnie, to znowu szukając schronienia na łonie młodego tombaczka, który nie gorszył się wcale zachowaniem swej Beatryczy, lecz owszem czuł się szczęśliwym, ilekroć *Diva*, kryjąc się przed strzałem Prusaka, głowę swą na jego składała łonie.

Niestety jednak chybił celu jeden z rzuconych przez Niemca pocisków i minąwszy mego pana,

ugodził boleśnie w oko rozmarzonego winem hrabiego Tota. Zbudzony tem niemiłym dotknięciem z swojej kontemplacji, spojrział Budrysik gniewnie na niezręcznego artylerzystę, — ten jednakże, czy to nie zauważywszy skutku swej strzelaniny, czy też nie poczytując to za rzecz potrzebną, nie pospieszył przeprosić obrażonego tombaczka. Oburzony tem lekceważeniem przywołał młody hrabia garsona i dobywszy kartę wizytową z pularesu, kazał mu ją wręczyć Prusakowi.

— *Graf Cymirski?... Ich kenne keinen Grafen Cymirski!... Kommt bei mir nicht vor!... Was geht mich ein Graf Cymirski an?* — zawołał widocznie zaniepokojony syn Merkurego. I starając się pokryć swój niepokój, rzucił śmiejąc się kartę Tota swym towarzyszom.

Podając sobie z ręki do ręki kartę wizytową młodego hrabiego, i śmiejąc się na całe gardło, poczęli rubaszni ziomkowie Prusaka ze zwykłą szczerpowi temu arogancją, drwić z rycerskiego porywu Budrysa i mierzyć tombaczków wzrokiem pełnym nienawiści i pogardy. Zniecierpliwiony wyzywającą postawą Niemców Lunio Kozołupowicz, odpowiedział na jeden z licznych docinków, któremi naszych scyzoryków zasypywali butni Prusacy, głośną obelgą, i rozpoczęła się od stolika wymiana zdań nie pochlebających wcale wojującym stronom, ku wielkiemu oburzeniu naszych młodzików, którzy nie władając niemieckim językiem, nie mogli dosadnością wyrażen sprostać swym przeciwnikom. Kto wie jak długo

byłaby trwała, i na czem by się była skończyła ta polemika. Prusacy byli już winem i kłótnią mocno rozgrzani, a butne ich postawy i wyzywające spojrzania, świadczyły wymownie, iż zamierzają bądź co bądź doprowadzić do bójki i skandalu. Szczęściem zdołał Toto, który jakoś najwcześniej ochłonał, powściągnąć popędlliwość swych kolegów i powstrzymać ich od udziału w dalszej kłótni. Przywoławszy gospodarza opowiedział mu całe zajście, i zażądał natychmiastowego wydalenia Prusaków, grożąc że jeśli żądaniu jego nie stanie się zadość, nie tylko sam nigdy z swem towarzystwem ogrodu już nie odwiedzi, lecz jeszcze wszelkiego przyłoży starania, aby powstrzymać innych od uczęszczania do tak nieprzyzwoitego zakładu. Słowa swego jeneralnego mowcy poparli nasi młodzieńcy, i gospodarz chcąc nie chcąc musiał podążyć do swych niemieckich gości, aby ich skłonić do ustąpienia. — Pokorna prośba gospodarza doprowadziła rozjendycznych Niemców do wściekłości. Miotając się i wrzeszcząc w niebogłosey, oświadczyli, że pod żadnym warunkiem nie ustąpią młodzikom, i kto wie, może by uporem swym zwyciężyli byli zbyt uprzejmego i lęklivego gospodarza, gdyby Budrysi mniej byli okazali energii. Gospodarz widząc, że tombaczki, należący do stałych gości jego zakładu, powstali już i zabierają się do wyjścia, obliczył w mgnieniu oka, jaka mu z tej strony grozi strata, i postanowił stałą swę klientelę poświęcić wędrownym Prusaków. Przywoławszy więc kilku parobków, za-

trudnionych w pobliskiej kawiarni, zajął się przy pomocy garsonów wyświeceniem butnych *Culturträgerów*, ku wielkiej ucieście publiczności, która szczerze przyklaskiwała temu nowemu Grunwaldowi.

§. 20. Głu-głu i Kukuryku.

Wyrzucenie pruskich *comis-voyageurów*, do którego także przyłożył ręki Staś, służący mojego pana, nie obeszło się bez hałasu i zamieszania. Opierając się, złorzecząc, krzycząc na całe gardło i częstując pięścią wykonawców zapadłego na nich wyroku, walczyli zajadli Niemcy do upadłego, na zgliszczach połamanych stołów i na czerepach potłuczonego szkła. W krótko jednak pokonała ich przemoc; — parobcy i garsoni wynieśli srodze poturbowanych na ulicę, przy odgłosie wiwatów oburzonej publiczności. Czeski fortepianista, zwykły akompaniator śpiewaczek i śpiewaków, pospieszył na estradę, i uderzył w klawisze rozbitego klawicymbała akordami uroczystego tuszu. Ironiczna ta owacja podobała się wielce Budrysom. Śmiejąc się do rozpuku przyklasnęli złośliwemu wirtuozowi, a za ich przykładem poszła cała publiczność zgromadzona w ogrodzie. Nie mniej uradowaną była Mademoiselle Amanda. Zorjentowawszy się szybko, nie miała *Diva* dosyć słów potępienia dla prostactwa wyrzuconych Prusaków. Widocznie nie pamiętała już o tem wcale, że pomiędzy nimi znaj-

dował się ten, którego spójrzeniami i uśmiechami zachęcała niedawno temu jeszcze do wybryku, i że wyzywającem swem zachowaniem, sama dała główny pochop do skandalu.

Młody pan mój nie posiadał się z radości. Uważając porażkę niemieckich *comis-voyageurów* jako tryumf osobisty, postanowił godnie uświęcić mniemane swe zwycięstwo. Zaprosiwszy tedy do swego stołu wszystkich śpiewaków i wszystkie śpiewaczki tingel-tanglu, kazał podać kolację dla całego towarzystwa i postawić kosz szampana dla swoich gości. Czeski pianista spostrzegłszy na co się zanoszą, i odgadłszy w tej chwili pobudki, które skłoniły mego pana do tego wystąpienia, jał nie tracąc czasu, bębnić na fortepianie jedną z najbardziej popularnych narodowych pieśni, aby zadokumentować udział swój w tej rozdobędzie, i zapewnić sobie w ten sposób roszczenie do szczudroblowości wspaniałego fundatora. I tak tedy wśród toastów, które na cześć naszego tombaczka wznosili śpiewacy, wpośród wesołego śmiechu Amandy i jej towarzyszek, wpośród tonów starego legjonów mazurka, rozkoszował młody pan mój jak Bachus otoczony orszakiem Menad i Satyrów. Cały ruch tingel-tanglu, zoigniskował się około jego osoby, zamieniwszy się w jakąś korybancką owację, której Dyonizosem było nasze w siódme niebo unisesione Niby.

Nie będę opisywać dalszych epizodów tego bankietu, wszelakoż nie myślcie, że pióro moje powstrzy-

muje przyzwoitkowatość. Milczę jedynie dla tego, że niebawem straciła uczta cały charakter zwykłych ludzkich godów. Podniecone winem towarzystwo utraciło niebawem wszelką równowagę, i wśród coraz żywszego, alkoholem podsycanego nastroju, uronili pojedynczy jego członkowie właściwą sobie cechę. Wszyscy byli równo pijani, wszyscy rozmawiali razem, nie wiedząc co mówią, i nie słuchając tego co do nich mówili ich towarzysze, — wszyscy jednakim rzeli śmiechem, wszyscy krzyczeli na całe gardło i spływała się ich wrzawa w jedną wielką kocia muzykę, dla której odmalowania nie posiadamy pisarskich znaków.

Czas jakiś przypatrywała się ogrodowa publiczność tej dziwnej biesiadzie; — zadowolony wreszcie do syta swą ciekawość, rozeszli się tingl-tanglowi goście, pozostawiając tombaczków z ich towarzystwem w opuszczonym ogrodzie. Spostrzegłszy to a pragnąc ożywić usypiającą już kompanję, i rozgrzać chłodną dla swej osoby zajęcie, zaproponowała Dwa przedstawienie jednej z tych sztuczek, które stanowiły bukiec jej repertoaru, jednej z tych wyuzdanych *specialtés*, którą zwykła była przedstawiać tylko w pofnem kole wybrańców. Sztuczka ta nazywała się *Glou-glou et Cocorico!* i została wedle zapewnień *Divy* umyślnie dla niej napisaną przez jednego z bulwarowych humorystów. Tematem jej była rozmowa kury z kogutem, a Grévin miał sam rysować kostiumy do tego przedstawienia potrzebne. — Tombaczkowie

przyklasnęli z zapalem temu programowi, spodziewając się biesiady pełnej owego pieprznego *haut-gout*, którego tak łaknęły ich ciekawość i smak zepsuty. Zabrawszy więc z sobą przyniesione przez mego pana podarunki, udała się Mademoiselle Amanda z drugą jeszcze śpiewaczką do garderoby, celem scharakteryzowania się w sposób do tego przedstawienia potrzebny. Niebawem wróciły z tamtąd w szerokich aż po kostki sięgających płaszczach, z zarzuconemi na głowę kapturami, i podażyły spiesznie na estradę, mijając ciekawych tombaczów, ażeby nie zdradzić tajemnic swego kostiumu, i zapewnić sobie powodzenie, ukrywając niespodziankę aż do ostatniej chwili. Czeski wirtuoz uderzył w klawisze, — podniesiono kurtynę, i na estradzie pojawiła się Mademoiselle Amanda w stroju — koguta.

Ubiór jej był istotnie efektownym. Miała na głowie piórkami wyszytą, a wzdłuż karku i pleców spływającą kapuzę, którą pod czołem zakończył rodzaj dziuba odpowiednich rozmiarów. Duże, po obu stronach tej kapuzy umieszczone, czerwone atlasowe, a czarną aksamitną żrenicą opatrzone guzy, przedstawiały oczy; — koralowe aksamitne kokardy przypominały grzebień i podbródek. Jednem słowem strój ten naśladował dość wiernie głowę kogucią, nie podobny do niej tylko o tyle, iż ją oczywiście znacznie przewyższał rozmiarami. Dalsza część ubrania *Divy* była, również stosownie do koguciego upierzenia, piórkami naszytą, i świeciła zielono-metalicznym połyskiem.

Głęboko na piersiach wycięty stanik kończył rodzaj fraczka, który na drutach rozpięty, a długimi ubrany piórami przedstawiał ogon koguci. Ramiona i ręce maskowały rękawy w kształcie skrzydeł. Ubranie to uzupełniały obcisłe puchem naszyte majtki, czerwone pończochy i buciki tego samego koloru.

Diva przedstawiła się jako *Maitre Cocorico*, wszechwładny sułtan podwórka, podbijający serca wszystkich kwoczek wesolem swem „kukuryku!” i kierując się w życiu filozofją Don-Juanów wszystkich wieków i czasów, przetłómaczoną oczywiście na język koguci i na kogucie pojęcia. Z wielką swadą i zarozumiałością, opowiedział *Maitre Cocorico* przy tej sposobności wszystkie swoje dotychczasowe zwycięstwa; przeplatając powieść swą pianiem, któremu *Diva* nadawała wyraz to sentymentalny, to dytyrambiczny, to znowu ironiczny, stósownie do treści opowiadania które pianie to ilustrowało. W istocie przyznać trzeba iż rzecz sama była dość krotocwilnie pomyślana, a nawet było przeprowadzenie jej wcale szczęśliwem, i objawiało niezaprzeczną satyryczną intencję. Widać było, że autor tego żartu wyposażony był od natury niepospolitym zmysłem spostrzegawczym i dowcipem, — a tylko mimika śpiewaczki nadawała jego satyrze oną wyuzdaną cechę, która czyniła przedstawienie tej krotocwili możebnem jeno w zamkniętem kółku łakomych skandalu rozpustników.

Niebawem pojawiła się na widowni druga śpie-

waczka — *Mademoiselle Glou-glou*, rodzaj naiwnej kurzej pensjonarki. Strój jej był całkiem podobny do stroju *Divy*, z tą tylko różnicą, że opierzenie jej było białem jak niewinność, i że fraczek jej również na drutach rozpięty naśladował ogon kurczęcia. *Mademoiselle Glou-glou* objawiła się jako osoba wielce naiwna i niewinna, nieznająca jeszcze świata i kogucich podstępów, ale marząca o jakimś nieokreślonym coś, o jakimś nieznanym szczęściu, ku któremu ciekawość i tęsknota rwą dusze młodych niedoświadczonych kurcząt nieubłaganym porywem. Usłyszawszy to naiwne wyznanie, pospieszył *Maitre Cocorico* do tęskniącej, i jął jej wykladać swe teorie o szczęściu, i o bratnim dusz kurzych sojuszu, oświadczając jej przytem swoje afekta. Atoli *Mademoiselle Glou-glou* była dobrze wychowaną osobą, i pojmowała szczęście jeno w cnotliwym małżeńskim pożyciu na wzór gołębi i turkawek. Podziwiając więc wspaniały grzebień i przepyszny ogon swego wielbiciela, oświadczyła mu wśród rzewnych gdakań, że hołdów jego przyjąć nie może, i że, kierując się przestrogią matki, serce swe odda takiemu jeno kogutowi, który wyparłszy się brzydkich narowów, zechce szukać szczęścia w małżeńskim związku, uświęconym wiernością, stałością i cnotą.

Rozdrażniony tym oporem *Lowelas* jął ścigać skromną swą bogdanę, pragnąc ją gwałtem nakłonić do innego sposobu myślenia. Aliści cnotliwa *Mademoiselle Glou-glou* uchodząc trwożliwie pogoni swego

wielbiciela, i wymykając się zręcznie z jego objęć namiętnych, nie chciała żadną miarą słyszeć na to ucho, pomna przestróg swej matki, która jej zakazała wierzyć miłośnym przysięgom kogutów. Wreszcie po długiej gonitwie znikły obiedwie śpiewaczki za kulisami, z kąd po chwili wyszedł *Maitre Cocorico* trzepiąc skrzydłami i ogłaszając tryumfalnym pianiem świeże swe zwycięstwo.

Brutalne to rozwiązanie intrygi, które *Diva* z prawdziwym uwydatniła mistrzostwem, napełniło naszych tombaczków zapalem bez końca. Szturmem rzucili się na widownię, i porwawszy na ramiona otyłą śpiewaczkę, znieśli ją z estrady wśród wiwatów i okrzyków zadowolenia, których echem zabrzmiały gaje wiszące na stokach Zamkowej góry. *Mademoiselle Amanda* zdawała się również wielce uradowaną dowodami uznania i sympatji, które jej składali nasi panicze. Postawiono ją na stole, i napełniwszy kufle szampanem, pito kolejno jej zdrowie, a ona dziękując składała pocałunek na ustach każdego z toastujących na jej cześć tombaczków. Gdy przyszła kolej na mojego pana, zarzuciła mu ręce na szyję i przytknąwszy mu usta do ucha szepnęła:

— *T'es l'amant d'Amanda!*

— *Le serai-je?* — zapytał paniczyk drżącym głosem.

— *Certes!* — odparła śmiejąc się. — *Aujourd'hui Renvois tes camerades! Tu me reconduiras...*

— *Et?...*

— *Et tu resteras avec moi!...*

I zeskoczywszy zgrabnie ze stołu, pobiegła do garderoby, ażeby złożyć swój kostium i ubrać codzienne suknie.

Uszczęśliwione, nieposiadające się z radości, przywołało nasze Niby gospodarza i kazało sobie podać rachunek, na którym właściciel liryczno-gastronomicznego zakładu nie omieszkiał oprócz rzeczy do stołu mojego pana na jego żądanie podanych, zamieścić szkodę przez wyrzuconych Prusaków w szkle i naczyniu wyrządzoną, oraz wszystkie przez tingel-tanglowych artystów niezapłacone rachunki. Pan mój zapłacił niebadając wcale prawdziwości podwójną krédką spisanych liczb. Potem rozrzucił jeszcze kilkadziesiąt guldenów pomiędzy służbę i parobków, śmiejąc się do rozpuku na widok walki, którą z sobą staczali, łapiąc latające w powietrzu banknoty.

Na widok ten pospieszył skorzystać z nadarżającej się gratki także i czeski wirtuoz, przypominając swoje zasługi. Nie mniej też poczęły się przymawiać o podarunki tingel-tanglowe śpiewaczki niższego rzędu, pozostałe przy stole mojego pana po odejściu *Divy*. Tombaczek rozrzucał pełną garścią piątki i dziesiątki, i kto wie na czem by się był skończył ten deszcz banknotowy, gdyby na szczęście naszego Niby nie była wróciła Mademoiselle Amanda w płaszczu i kapeluszu, gotowa już do podróży. — Przywoławszy swego służącego oddał mnie pan mój jego opiece, zalecając mu, aby się udał do domu, i oświadczając

że nie potrzebuje czekać jego powrotu. Potem wsiedli nasi oblubieńcy do czekającej przed bramą dorożki, pożegnani hucznymi wiewatami pozostałego towarzystwa.

§. 22. Parasol w obronie parasola.

Winienem tutaj wytłumaczyć dla czego tak długo rozpisałem się o wypadkach, które miałem sposobność widzieć w pierwszym dniu służby mej u mojego pana, i dla czego z taką drobiazgowością rozbierałem wszystkie jego wrażenia w ciągu tego dnia, nie mniej szczegółowo i sumiennie badając jego otoczenie. Dla powieściarzy z rzemiosła, i dla psychologów metoda analityczna, której tu użyłem nie potrzebuje usprawiedliwienia; — zrozumieją oni od razu, że nie powodowało mną gadulstwo, lecz, że studjując życie, którego ruch cały wiruje tylko około drobnostek, musiałem należycie przypatrzeć się tym drobnostkom, i zaznaczyć dokładnie jaką rolę one w tem życiu odgrywają, aby dojść do prawdy. i mózż podać dokładny psychiczny portret mojego bohatera, i obraz jego wszelkiej dramatyczności pozbawionego żywota. Szerzszemu ogółowi, który w tego rodzaju monografiach lubi syntetyczne rzuty, i ostre szkice malujące jedną kreską osobę lub sytuację, powiem że są białe ściany, na pozór całkiem gładkie i jednostajne, o których by nic więcej nie można powiedzieć, gdyby się za po-

mocą mikroskopu nie zbadało dokładnie ich wypukłości, zagłębień i plamek, któremi są pokryte. Równocześnie winienem tu odpowiedzieć na pytanie, które w ciągu mego opowiadania prawdopodobnie sobie nie raz postawić musiał czytelnik, mianowicie jakim się to dzieje cudem, że parasol może z taką dokładnością opisywać wrażenia osób będących w jego pobliżu, odgadywać ich myśli i wnikać niejako w skrytość ich duszy? Zaręczam słowem uczciwego parasola, że wszystko co tu powiedziałem o osobach, z którymi się zetknąć miałem sposobność, jest szczerą prawdą, że nie zmyśliłem ani jednego ich wrażenia, ani jednej ich myśli, ani jednego ich uczucia, będąc jedynie wiernym zwierciadłem tego co dostrzegłem. A nie działało to się żadnym czarem, że tak dokładnie czytać mogłem w ich umyśle, lecz skutkiem prostego przyrodzonego prawa, którego ludzie dotąd nie znają, lecz które nie mniej przeto jest oczywistem, chociaż jego istnienie niejeden może uczony zaprzeczyć, nie poznawszy dotychczas jego tajemnicy.

Zasadą tego prawa jest, że istotą istoty tworów żyjących jest nic innego, jak tylko elektryczność, której ogniskiem jest mózg, a której prądy są ostatecznym biologicznym czynnikiem, i całem życia wytłomaczeniem. Owe to prądy pędzą krew przez żyły i tkanki kapilarne, kurczą i wyciągają mięśnie, wytwarzają myśl i przerzucają takową w dalekie strony i czasy, będąc ostateczną sprężyną wszelkiego

fizycznego i psychicznego życia. Prądy te są nadzwyczaj słabe, można wszelakoż dziś już za pomocą nadzwyczaj czułego elektro-dynamometru, sprawdzić istnienie tych, które rządzą muszkulami żyjących tworów. Elektro-dynamometra, który by tak był czułym, iżby za jego pomocą sprawdzić można istnienie słabych prądów, rządzących psychicznem życiem, nie posiada dotychczas żaden gabinet fizykalny. Nie mniej jednakże przyjdzie czas, w którym ludzie za pomocą nader czułych elektro-dynamometrów mierzyć będą napiętość myśli genjuszu, lub siłę uczucia zakochanej dziewicy z tą samą łatwością, z jaką dziś mierzą łokciem sukno, lub ważą funtem cynamon.

Atoli jakkolwiek słabemi są elektryczne prądy, które są pobudką myśli i uczuć tworów żyjących, nie mniej jednak odczuwają je pewne kruszce, na działanie siły tej wrażliwe. Mianowicie zaś odczuwają je bardzo żywo żelazo, stal, tudzież wiele innych jeszcze, które wymieniać tutaj było by zbędną rzeczą. Zrozumiecie więc teraz, że mając w składzie mego organizmu dwanaście drutów z angielskiej stali, odczuwałem wszystkie prądy ożywiające mego pana i jego towarzyszy, i że dzięki mojej wrażliwości czytać mogłem w ich duszy, jak w otwartej księdze.

§. 23. Wierny sługa.

Nazajutrz — zegar ratuszowy wydzwaniał właśnie dwunastą, gdy do pokoju mojego pana wszedł wykwintnie, lecz nieco ekscentrycznie ubrany mężczyzna lat około pięćdziesięciu.

Strój jego nie licował wcale z zmarszczkami jego twarzy i okrągłym tatusiowatym brzuszkiem. Szpiczaste, nader wolno stojące kołnierzyki, odsłaniające żółtą, chropowatą szyję, — zabójczo do góry podkrecony farbowany wąsik, — pretensjonalnie w tył szczesane rzadkie bokobrody, i czarna atlasowa, z umiejętną niedbałością w olbrzymi fontaż związana, a w duże czerwone podkowy haftowana krawata, znamionowały starego młodzieńca — zamarynowanego Don Iwana, który żadną miarą nie chce się przyznać do swoich lat.

Krótki *stick*, opięte i jakby do konnej jazdy kuse ubranie, i niski, miękki, słomczem piórkiem ubrany, a z fantazją nieco na bakier wsunięty kapełusik, zdradzały wiejskiego szlachcica, czyli, jak go lwowska *plebs* nazywa, „obewatela.“ Zdradzały go jeszcze bardziej zamaszyste ruchy, ton mowy jakby do wydawania rozkazów dostrojony, i butna rzekłbys żołnierska postawa. Nie da się bowiem zaprzeczyć, że wiejski szlachcic galicyjski posiada pewien rys typowy, pewne niby-arystokratyczne piętno, które go już na pierwszy rzut oka odróżnia od mieszczucha.

Atoli odrębna cecha ta nie jest, tak jak u naszych lordów, wynikiem rasy i dystynkcji, lecz tylko skutkiem nawyczek. Mieszkając wpośród chłopów, i obcując zawsze tylko z ludźmi, którym „panuje,“ przyzwyczajają się szlachcic wiejski do rozkazywania, i przyswajają sobie pewną rogatą butę, która na jego osobie piętno swoje wyciska. Buta owa jest u niego tem, czem są rogi u ślimaka. Wobec podwładnych, wobec równych mu społecznem stanowiskiem, wobec wszystkich, którzy go przewyższają inteligencją, jeżeli tylko wedle jego widzenia rzeczy jako ludzie pracy nie zasługują na jego uznanie i szacunek, wystawia galicyjski szlachcic natychmiast swoje rogi. Doktor, technik, adwokat, artysta, literat stoją w jego oczach daleko niżej od cyrkowego jeźdźca. Natomiast chowa galicyjski szlachcic wiejski, jak się przekonałem, w tej chwili swoje rogi, gdy stanie przed hrabską koroną, przed książęcą mitrą, przed złotym kołnierzem starosty, przed wertheimowską kasą dyrektora banku, ba nawet przed żydowską jarmułką, jeżeli chodzi o pożyczkę pieniędzy, lub przedłużenie zapadłego weksłu.

Wchodząc do pokoju, gdzie właśnie Staś dobierał się do papierosów swego pana, nie zdjął nieznanomy swego kapelusika.

— Jest Pan? — zapytał w progu.

— Nie ma proszę Jaśnie Pana!

— A gdzież poszedł?

— Nie wiem proszę Jaśnie Pana — odparł Staś uśmiechając się znacząco.

— Jakto nie wiesz? — zapytał nieznajomy, spostrzegłszy uśmiech Stasia, i poznawszy, że go język świerzbi niepospolicie, by zdradzić jakąś tajemnicę.

— Słowo honoru, że nie wiem!... Pan Hrabia wsiadł z Francuzką do powozu, z tą „że“ śpiewa w Czechparku, taj gdzieś pojechali; — nie wiedzieć gdzie, chi, chi, chi!...

— Jakto więc ta Francuzka była tutaj!...

— Ale gdzie tam — ciągnął dalej poufale Staś. — Takoj z Czechparku wyjechali w nocy o trzeciej... taj Pan Hrabia dotychczas nie wrócił!...

— A zkądże ty to wiesz?

— Bom przecie był w Czechparku z panem Hrabią chi, chi, chi!... Nosilem tam te parasolki, taj perfuny, że ich pan Hrabia kupił wczoraj dla tej Francuzki. Taj zostałem się tam het aż wszyscy wyszli!...

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się nieznajomy siadając na fotelu. — Dajże mi papierosa.

Staś podał pudełko cygaret.

— No i cóż tam widziałeś w Czechparku? — pytał nieznajomy dalej, zapalając wonne La Ferme.

— A proszę Jaśnie Pana kumedja, heca że jaż strach!...

— No gadaj!...

— Najsamprzód jakim tam pojechał z parasolkami taj z perfunami, to Pana hrabiego jeszcze tam nie było. A ta Francuzka, że z nią Pan Hrabia później pojechał, to ona tam wtedy siedziała z jakimiś Niemcami, taj piła z nimi wino... Ale to proszę Jaśnie

Pana fest baba, jakurat taka jak ten piec chi, chi, chi! A pić umie że aż strach!...

— No i cóż było dalej?...

— Ano, potem peszła śpiewać na teatr, ta niby to na te deszczki że tam są. Taj furt śpiewała po francuzku różne różności, a naród się cieszył, że aż gwałt.

— A Pan kiedy przyjechał?...

— Ta właśnie wtedy jak ona śpiewała, przyjechał pan Hrabia z temi panami, że tu na karty chodzą, ale już byli wszyscy niby trochę tak... Jak że ta Francuzka zobaczyła, że Pan Hrabia przyjechał, taj porozkładał przed sobą na stole parasolki taj perfumy, tak dawaj że się teraz śmiać do Pana Hrabiego, taj śpiewać do niego: „Salamanda! Salamanda!” A furt na niego pokazywała rękami.

— Jak? — zapytał nieznajomy.

— O tak, o tak! Salamanda! Salamanda! — odparł Staś naśladując ruchy śpiewaczki.

— Chachacha! — zaśmiał się nieznajomy.

— Ale to proszę Jaśnie Pana heca była potem, że aż strach!...

I rad, że może zrobić plotkę, opowiadał Staś w tym tonie dalej wszystkie szczegóły nocnej wyprawy swego pana, naśladując mimikę tingel-tanglowej *Divy*, i przeplatając opowiadanie swoje uwagami pełnemi rubasznego humoru, ku wielkiemu zadowoleniu nieznajomego, którego nadzwyczaj bawiła ta naiwna satyra.

§. 24. Arendarz narodowego katechizmu.

Właśnie kończył Staś swoje opowiadanie, gdy zapukano do drzwi pokoju.

— Proszę! — zawołał nieznajomy, który widocznie musiał mieć pewne prawa do wystąpienia w roli gospodarza domu.

Drzwi się otworzyły i do pokoju wtoczyła się potwornie otyła postać w wysokich zrudziałych butach i mocno zaolejonej czamarce, którą na około bioder ścisnął szeroki pas skórzany, tombakową klamrą spięty. Postać ta przypominała tuszą, i podstępny a tchórzowski wyrazem twarzy szekspirowskiego Falstaffa. Drobne jak gdyby świderkiem wywiercone oczy tonęły w obrzękłych policzkach; — niekształtny, wichrowatemi włosami pokryty łeb osadzony był na krótkiej lecz wólowatej szyi, — szyja tonęła w piersiach, piersi w opasłym brzuchu, — i prawdopodobnie służył pas jeno w tym celu, ażeby oznaczyć miejsce, gdzie się piersi kończą, a brzuch zaczynać powinien, gdyż właściwie tworzyła postać przybyłego jedną tylko bryłę łożu, w której rysunku części pojedynczych ciała rozpoznać nie było sposobu. Był to osławiony Gębosz, redaktor *Warowni* rewolwerowego piśmidła, żyjącego brudem i skandalem, — osobistość we Lwowie powszechnie znana, pogardzana i nienawidzona, ale mimo to zawsze używana przez

ludzi w broni nieprzebiegających, jako kwacz, którym porządnie osmarować można przeciwnika,

Ujrawszy wchodzącego redaktora, uśmiechnął się ironicznie nieznajomy. Postać rewolwerowca była powszechnie znaną na lwowskim bruku. Widocznie odgadł więc nieznajomy cel jego przybycia.

— Hrabia Alfred Rabaliński? — zapytał redaktor *Warowni* nieśmiało. Niewątpliwie nie na rękę mu był niespodziewany widok starszego mężczyzny, którego wprawdzie nie znał, ale o którym mógł przypuścić, iż był ojcem lub krewnym naszego Niby, i że w danym wypadku może wystąpić w jego obronie.

— Nie ma go w domu! Wyszedł! — odparł powstając nieznajomy, i idąc na spotkanie stojącego przy drzwiach rewolwerowca z uprzejmym uśmiechem.

— Aaaa, a kiedyż go można zastać? — pytał dalej pismak widocznie zmieszany

— Tęgo nie wiem! Nie mówił kiedy wróci!... Czy Pan Dobrodziej ma jaki interes?

— Tak jest...

— A czy pilny?...

— Pilny, bardzo pilny!... — odparł pan redaktor, nieco już uspokojony uprzejmością nieznajomego.

— To może mi Pan zechce oświadczyć o co chodzi.

Rewolwerowiec łypnął podejrzliwie okiem; — ale twarz nieznajomego była tak pełną wyrazu dobroduszości, ale uśmiech jego był tak uprzedzająco

uprzejmym, że usunęły z umysłu pismaka wszelką podejrzliwość.

— Kto wie może to i lepiej, że nie zastałem mego scyzoryka — pomyślał rewolwerowiec. Ten tutaj zdaje się być człowiekiem wytrawnym, a potulnym. Może być, że lepszy z nim zrobię interes.

— Ale to sprawa całkiem osobista — dodał po chwili namysłu.

— Czy może pojedynek? — zapytał śmiejąc się nieznamy.

— O nie, bynajmniej! — odparł redaktor jowialnie rozbrojony tą dobroduszną swobodą.

— W takim razie, możesz mi Pan Dobrodziej powiedzieć o co chodzi... Jestem ojcem pana Alfreda Rabalińskiego. Gustaw Rabaliński z Zalesiniec.

— Jan Nepomucen z Obelgowa Gębosz, redaktor *Chorągwi i Warowni polskiej*.

— Nazwisko Pańskie jest mi dobrze znanem — odparł p. Rabaliński ściskając rękę rewolwerowca. Znam pisma pańskie, znam! I podziwiam Pańską odwagę cywilną, pańskie szlachetne zasady!... Tak jest pisma Pańskie są istotnie narodową chorągwią, i warownią polskiego ducha... Jakże się cieszę, że mam sposobność poznać tak zacnego luminarza...

— Czy kpi, czy o drogę pyta — pomyślał rewolwerowiec.

— Niechże Pan łaskawie siada!... Może służyć papierosem?...

Redaktor *Warowni* zapalił cygaretkę.

— Tak, teraz zechciej mi Pan Dobrodziej powiedzieć, co Pana do mego syna sprowadza?

§. 25. Papa Machiawel.

— Sprawa to Panie Dobrdziejju bardzo drażliwa, a przytem sekretna! — odparł rewolwerowiec, rzucając okiem z podełba na krzątającego się po pokoju Stasia. Resztki podejrzliwości nie pozwalały mu rozpocząć swych wynurzeń w obecności świadka.

— Idź sobie Stasiu! — rzekł p. Rabaliński. — Możesz wyjść na godzinę do miasta. Ja tutaj zostanę do twego powrotu.

Staś wyszedł. Za chwilę dał się słyszeć łoskot zamykających się za nim drzwi przedpokoju.

— Wiecie ojcze, takeście mnie za serce wzięli — jął mówić pan redaktor — że słowo uczciwości daję, przykrą mi jest sama już myśl, iż zasmucę Was mojem opowiadaniem.

Rewolwerowiec miał zwyczaj mówić „Ojcze“ i „wy“ do każdego, którego zamierzał obedrzyć, a dawać „słowo uczciwości“ każdym razem, ilekroć z ust wypuszczał jakieś kłamstwo. Rabaliński nieprzyzwyczajony do tak obcesowej poufałości, uśmiechnął się ironicznie, usłyszawszy taką przemowę.

— Pozwól kurze w grzędę — pomyślał — to ona zechce wszędy! Ale cóż robić? muszę znosić ka-

nalję!... Kto chce psa uderzyć, temu się po kamień nieraz i schylić wypada...

— Na honor, przestraszasz mnie kochany redaktorze — zawołał więc skwapliwie, ażeby pismakowi nie dać poznać swych myśli, i udaną dobroduszością zachęcić go do dalszej poufałości. — Cóż mi tak smutnego możesz powiedzieć?...

— Jakto ojeze, więc wy nic nie wiecie?...

— Na Boga, cóż takiego?...

— Skandal powiadam wam, awantura!... Całe miasto oburzone!... Syn wasz zrobił wczoraj w teatrze paskudną awanturę... Od rana było już u mnie w redakcji z dwadzieścia osób, domagając się sprawiedliwej chłosty...

I z namaszczeniem moralisty, a z świętem oburzeniem proroka jał rewolwerowiec opowiadać wszystkie szczegóły wybryku mojego pana. — Rabaliński wiedział już to wszystko dokładnie. Wczoraj jeszcze opowiadał mu wszystkie szczegóły tej burdy przy kolacji w kasynie stary Finio. Obydwaj panowie uśmieśli się serdecznie z tego dziecinnego wybryku, a pobłażliwy papa wypił nawet z swym przyjacielem butelkę szampana „za zdrowie tego dzielnego chłopca,” który tak gracko zadrwił sobie z kanalji. — Mimo to słuchał stary Rabaliński opowiadania redaktora *Chorągwi* i *Warowni* z pozornem zajęciem, to wzdychając, to udając zdziwienie, to gniew, to smutek ojca stroskanego lekkomyślnością swojego dziecięcia.

— I to jest młodzież nasza! — wołał kończąc

rewolwerowiec. — I to jest nadzieja naszej ojczyzny! Owa szlachecka młodzież, która dzięki wolności dozwolonej nam dzisiaj pod austriackimi rządami, powołaną jest do przodowania narodowi, do piastowania autonomicznych urzędów..

— Ach tak, tak — odparł wzdychając i kiwając głową Rabaliński.

— Zrozumiecie ojcze, że jako redaktor pisma stojącego na straży narodowego katechizmu, nie powinienem płazem puścić takiego zgorzenia

— Oczywiście! oczywiście! — potakiwał stroskany ojciec.

— Takiej społecznej gangreny...

— Masz słuszość redaktorze, to prawdziwa gangrena społeczna!... Chłuszcz kochany redaktorze, chłuszcz!... Nie żałuj cięgów!... Bóg ci to kiedyś nagrodzi...

Rewolwerowiec spojrział na Rabalińskiego z zdziwieniem.

— Tak ojcze, z pewnością! W tej też nadziei pracuję. *Chorągiew* i *Warownia* stoją tem jeno, że rżnę prawdę, a o resztę nie pytam! I dziś na przykład było u mnie z dwudziestu abonentów domagając się, bym schłostał waszego syna. Wiem, że jeżeli nie uczynię zadość temu żądaniu, to przestaną abonować, i poniosę materialną stratę...

— Ach, nie rób tego szanowny redaktorze!... Chłosta twoja może tylko poprawić mojego syna... Serdecznie ci wdzięcznym będę kochany redaktorze...

— Cóż to za bałwan? — pomyślał rowolwero-wiec. — Mnie tam djablo chodzi o poprawę twego gagatka i o twoją wdzięczność!...

— Tak — rzecze po chwili namysłu. — Tylko widzicie ojcze, chłosta w publicznem piśmie, to jak rozpalone żelazo. Chłosta podobna wypala na czole niezatarte piętno...

— Ach! — westchnął Rabaliński, kiwając głową.

— *Primo impetu*, gdy mnie ze wszech stron o to zaczęto nagabywać, napisałem siarczasty artykuł o wczorajszej awanturze. Ale potem żal mi się zrobiło młodzieńca, bo...

— Bo?...

— Bo widzicie, i ja mam dzieci — odparł arendarz narodowego katechizmu, ocierając palcem z oka łzę, której tam nigdy nie było. — Myślę sobie: chłopiec młody, niedoświadczony!... Może się poprawić; może się ustatkować!... Poprawiwszy się i ustatkowawszy, może zechcieć się ożenić, a tu ścigać go będzie potępienie rzucone nań przez pismo publiczne... A tu zacieży nad nim brzemię młodociannej winy...

Rewolwerowiec wygłosił tę uwagę z niezrównaną tkliwością, przeplatając pojedyncze jej ustępy artystycznymi pauzami. — Rabaliński kiwał pobożnie głową.

— Więc pomyślałem sobie: pójdę do hrabiego Rabalińskiego, a jeżeli on, lub któryś z jego krewnych wynagrodzi mi stratę materialną, którą skutkiem

ubytku abonentów w takim razie niezawodnie poniosę, to cofnę z pod prasy artykuł..

— A nie możnaby ten artykuł przeczytać?..

— I owszem! — odparł rewolwerowiec, dobywając z zanadru szczotkowe odbicie, i podając je Rabalińskiemu.

Artykuł zredagowany był jak to mówią od siekiery. Napisany w celu wymuszenia okupu, był on dla mojego pana w najwyższym stopniu obrażającym, a zarówno pełnym niegramatyczności jak i bombastu. Mimo to zdradzał on autora znajdującego na wskrós zepsuty smak lwowskiej publiczności, zamiłowanej w skandalu, i można było liczyć, że wielkie, a dla czci osoby nim dotkniętej, wysoce ujemne wywoła wrażenie.

— Doskonale! wybornie! — zawołał Rabaliński przeczytawszy tę elukubrację. — Jedną tylko rzecz musisz zmienić kochany redaktorze. Nazwiska mego syna i jego towarzyszków są oznaczone tutaj jeno początkowymi literami. Otóż zrób to dla mnie, i wypisz je w całości.

Rewolwerowiec otworzył szeroko gębę patrząc na Rabalińskiego z zdziwieniem.

— Czego on właściwie chce? — pomyślał. — Widocznie chce skompromitować swojego syna. W takim razie musisz mi ptaszku także zapłacić i to grubo, ho! ho! grubo!

Papie mojego pana nie uszedł wyraz, który przebiegł po twarzy pismaka.

— Tak, tak! — zawołał z ciężkiem westchnieniem, to jedynie może syna mego skłonić do zmiany trybu życia. Chętnie ci zapłacę sto reńskich za tę przysługę!.. Ach szanowny redaktorze, ty nie wiesz co ja cierpię z powodu lekkomyślności mego syna! Ty nie wiesz, ile razy mu robiłem z tego powodu wyrzuty, jak go nieraz ze łzami w oczach błagałem, ażeby zerwał z swymi towarzyszami, którzy go wyzyskują, i do złego prowadzą, ażeby raz przecież zaczął myśleć poważniej!.. Wszystko daremnie!.. Dobrze to chłopczyko, a nawet i zdolne! Kraj mógłby mieć z niego pociechę; — nazwisku mógłby przynieść zaszczyt!.. Cóż kiedy lekkomyślność wszystko psuje!.. Jedyna więc nadzieja, że sprawiedliwa chłosta w piśmie twojem nakłoni go do poważniejszego myślenia, i błogosławię chwilę, w której tu przyszedłeś, jako anioł pocieszyciel. Bolesnem to jest dla ojca, gdy musi uciekać się do takich środków, ale cóż robić wobec nieubłaganej konieczności!.. Wolę niech syn mój przeboli teraz słuszną chłostę, aniżeli później!.. Wolę niech teraz dozna wzdury, gdy jeszcze możliwa jest poprawa, a niżeliby miał, brnąć dalej w zepsucie, stać się zakałą rodziny, pasożytem społeczeństwa, i zginąć marnie bez pożytku dla ojczyzny...

Słowa te wyrzeczone były z takim wyrazem prawdy, z taką siłą przekonania, a zarazem z takim bolem, że usunęły z umysłu rewolwerowca wszelkie podejrzenie.

— Ha — pomyślał sobie — być może, iż ten

bałwan istotnie wierzy w to, co powiada. A zresztą co mi do tego, skoro płaci?..

I wzięwszy setkę w zamian za przyrzeczenie skutecznego żądanej zmiany w przygotowanym do druku artykule, a wlepiwszy Rabalińskiemu w dodatku dwa całoroczne abonamenty na *Chorągiew* i *Warownię* pożegnał pismak swego klienta, obiecując że wiadomy artykuł pojawi się dziś jeszcze w *Warowni*.

Po wyjściu rewolwerowca przybrała twarz Papy-Machiavela wyraz całkiem odmienny. Oczy jego zabłysły szatańską złośliwością i zadowoleniem.

— Cha, cha, cha! — szepnął zacierając ręce — wyborny sobie, wyborny ten prorok!... W każdym razie skandal jest, i to rozmazany porządnie... Moją rzeczą będzie skorzystać z tego, jak należy.

— Stasiu! — zawołał po krótkim milczeniu, usłyszawszy skrzypnięcie drzwi w przedpokoju.

— Słucham Jaśnie Pana! — rzekł wchodząc służący.

— Pamiętaj-że mi teraz uważać na Pana, i donieść mi zawsze o wszystkim, co spostrzeżesz..

— Dobrze Jaśnie Panie..

— Tu masz tymczasem piątkę za tve usługi... Jak mi się będziesz dobrze sprawował, to dostaniesz więcej...

— Całuję nogi Jaśnie Pana!.... O, ja zaudy pilnuję..

— Cóż to? czy deszcz pada? — zapytał Rabaliński, spostrzegłszy kilka kropel na surducie Stasia.

— Pada! proszę łaski pańskiej — ale nie wielki.

— A nie ma tu jakiego parasola?...

— A jest, ten że pan hrabia wczoraj kupił..

— Ten? — zawołał śmiejąc się Rabaliński, przypomniawszy sobie wczorajszy wybryk mojego Pana. — To dajże mi go; — powiesz Panu, że go wziął, i jutro odniosę.

I skinąwszy głową Stasiowi dobrotliwie, wyszedł Papi-Machiavel zamaszystym krokiem.

§. 26. Historia Papy - Machiavela.

Stary Rabaliński był przejściowym typem pomiędzy wygasłym już u nas rodzajem tężyzn i bałagulów, a nowem pokoleniem galicyjskich Niby. Syn urzędnika jakiejś nadgranicznej komory, który łapówkami, i — jak złe języki podówczas twierdziły — kontrabandą na własny prowadzoną rachunek, znacznego się dorobił majątku, przyniósł on z sobą niemal już na świat hipokryzję, cynizm i lekceważenie obowiązków. Oddany dzieckiem do konwiktu Jezuitów w Tarnopolu pomnożył on te przymioty jeszcze nowonabytym zmysłem, mianowicie zaś znakomitym talentem do intryg i kabały. Opuszcwszy konwikt, gdzie się podówczas wychowywała niemal cała galicyjska szlachecka młodzież, umiał on znakomicie wyzyskać zawarte tamże stosunki. Pielęgnując starannie

przyjaźń dawnych swych kolegów, polując z nimi, pijąc, hulając, grając w karty i włócząc się po jarmarkach, potrafił młody Gustaw wyrobić sobie przystęp do wesołego towarzystwa bałagulów, gdzie mu zuchwałość jego, hulaszczność, cynizm, rozrzutność i dziwaczne, najczęściej płaskie, czasem jednak dość krotochwilne pomysły, niebawem wielki mir wyrobiły i znaczenie.

Młody bałagula był, jakkolwiek wyrazu tego wówczas jeszcze nie znano, w całym tego słowa znaczeniu blagierem. Opowiadając wiecznie o sobie, umiał wyrobić sobie sławę niepospolitego tężyzny. To prawda że znakomicie strzelał z pistoletu, i wybornie się bił na pałasze, jednakże nie umiał nikt powiedzieć, gdzie też właściwie Gustaw się dorobił sławy pogromcy Filistynów. Wszystkie jego pojedynki odbywały się za granicą. Tak samo miała się rzecz z jego miłośniami awanturkami. Oprócz kilku chłopek, panien garderobianych, ekonomówien i leśniczówien, nikt nie był w stanie wskazać w wyższej sferze jakiegokolwiek ofiary tego Don Iwana. Mimo to opowiadano sobie tak o pojedynkach jak i o romansach tego nowego Lowelacé niestworzone rzeczy. — Dowcipnym w właściwym tego słowa znaczeniu nie był Gustaw wcale; — jednakże umiał on przy danej, a często umyślnie sprowadzonej sposobności zręcznie zastosować dowcip jakiś, koncept lub kalembur zasłyszany, lub też wyczytany w Webera *Demokrytosie*, który podówczas mało był jeszcze znanym w Galicji,

a zawiera — jak wszystkim wiadomo — krocie uicnków na każdy dzień w roku, na każdego patrona, i na wszystkie w życiu możliwe zdarzenia. Tanim tym kosztem zdobył sobie młody nasz bałagula sławę zawołanego dowcipnisia. Niebawem zaczęto na rachunek jego przepisywać wszystkie kalendarzowe koncepta, i wszystkie sprytne odpowiedzi niewiadomych autorów. I tak rosły wziętość i popularność naszego bohatera z dniem każdym coraz bardziej; — Hrabia Koniecpolski nie mógł żyć bez towarzystwa Gustawa, Książę Świdrygiełło zachwycał się jego humorem i zaliczał go do swych przyjaciół, a naród pokazywał go sobie na ulicy: „Patrz, patrz! Widzisz tam idzie Rabaliński, ten sam co to księciu Rabs-Chaps-Drabs-Bukstehude-Sikste-Widubiste powiedział: Mości Książę kto ma tyle nazwisk, tego łatwo nazwać po imieniu!“

Atoli w miarę tego jak rosły wziętość i popularność młodego bałaguly, w miarę tego tajał jego majątek. Hulaszcze życie w wesołym towarzystwie bałagulów, jarmarki, szampan, djabełek i aktorki, liczne mu wyrządziły szcerby. Lata płynęły, trzeci krzyżyk drugiem już swoim ramieniem począł przygniatać barki wesołego panicza; — czas było więc pomyśleć o żeniacze, ażeby posagiem żony odrestaurować nadszargany majątek, a świetną koligacją ustalić zdobyte w świecie stanowisko. Pukał więc Rabaliński tu i owdzie do drzwi pałaców swych jarmarkowych przyjaciół, ale daremnie. Siostry towarzyszków jego, mniej od swych braci czule były na hołdy we-

sołego bałaguly, i mniej od nich do uznania jego zalet pochopne. Wreszcie na głuchem Podolu udało mu się znaleźć to, czego szukał. Panna była majątna i młodziutka, istne dziecko; ojciec zaś wdowiec, hulaka i fantasta. Smaląc cholewki teściowi, i schlebując jego dziwactwom, zdobył Rabaliński rękę panny, a co ważniejsze jej posag: dwie wsie na Podolu oraz znaczne kapitały, któremi po części oczyścił nadszargany swój majątek. Nadto wyposażyła go świetna kolidacja ostatecznem towarzyskiem namaszczeniem, i wprowadziła go stanowczo w ów świat arystokratyczny, do którego tęsknił od lat dziecinnych, a z którym go dotychczas luźne tylko wiązały węzły.

Ożeniwszy się, nie zmienił wesoły bałagula swojego trybu życia, hulając, zwłaszcza po śmierci teścia, która niebawem nastąpiła, tak jak hulał za dawnych dobrych kawalerskich czasów. Jarmarki i polowania, polowania i jarmarki były jak dawniej główną treścią jego życia. Nie zrzuciwszy z siebie dawnej skóry Don Iwana gonił jak przedtem za łatwemi miłośkami, szukając ofiar nie tylko za domem, ale i w domu — w garderobie młodej swej żony. Wybryki męża były długi czas dla młodej pani tajemnicą; — wreszcie doniosły jej sługi o wszystkim. Zaczęły się dla opuszczonej dnia smutku i zgryzoty, w których jedyną pocieszycielką osamotnionej była matka Julci, serdeczna przyjaciółka żony hulaszczego bałaguly, i stary doktor Niemiec, który panią Rabalińską odwiedzał w czasie jej słabości. Wśród tych

okoliczności przyszedł na świat Fredzio, dziecko wątłe i mizerne, którego życie matka śmiercią przypłaciła. Umierając zabezpieczyła pani Rabalińska majątek swego syna testamentem, którego egzekutorem ustanowiła niemieckiego doktora.

W interesie prawdy stwierdzić tutaj wypada, że wesoły nasz bałagula, który właśnie wtedy z księciem Świdrygiełło w Karpatach polował na niedźwiedzie, gdy mu o tym wypadku doniesiono, odczuł śmierć swej młodej żony, aczkolwiek w swój sposób, ale mimo to bardzo głęboko. Wychowany u Jezuitów w zabobonnym kwietyzmie, nosił on od lat dziecięcych szkaplerz i medalik Matki Boskiej zawsze na szyi, i żył w tem przekonaniu, że mu się nic złego stać nie może, jak długo talizman ten łaski i opieki Boskiej nosić będzie na piersi. Cios bolesny więc który nań spadł jak piorun z tego pogodnego nieba mistycznej łaski i miłosierdzia, wydał mu się również niespodziewanym, jak i niezasłużonym. Wiara w skuteczność cudownego amuletu, jedyna którą posiadał, została zachwiana. Rozczarowanie to usunęło z pod nóg jego kardynalną moralną podwalinę; zdawało mu się, że rozbitkiem rzucony został na rozszalałe morze, bez steru, bez wiosła i bez kotwicy!

Bolesniej jeszcze przygnębił go kilkunastoćwiartkowy list nieboszczki, który mu wręczono, gdy powrócił domu. Był to rodzaj pamiętnika zmarłej, pisany krwią i łzami, a wyjawiający wszystkie jej zranionego serca tajemnice. Oświadczając mu, że

wiedziała o wszystkim, i że mu wszystko przebaczyła, tłumaczyła mu w liście tym żona spokojnie, dla czego bez żalu i bez zemsty postanowiła go usunąć od opieki nad majątkiem dziecka, i dla czego w testamencie przepisała wszystkie szczegóły odnoszące się do jego wychowania. — Zagrobowe to potępienie spadło mu na duszę nieznośnym ciężarem. Czas jakiś szalał i rozpaczał, czując słuszność wyrzutów, które mu tak łagodnie czyniła nieboszczka; — czas jakiś borykał się z swoim sumieniem, nie mogąc go uspokoić, wreszcie poszedł do spowiedzi. Otrzymawszy rozgrzeszenie uczuł się znowu czystym, jak lilje w dolinie Hebron, i białym jak śnieg na Libanie, a jedynym skutkiem doznanego nieszczęścia i walki przebytej, był żal do żony za jej nieufność, oraz nienawiść do Julcinej matki, i do niemieckiego Eskulapa, których uważał za głównych sprawców swej mniemaney krzywdy i swego upokorzenia.

Niebawem powrócił hulaszczy bałagula do dawnego trybu życia, nie krępując się teraz już żadnemi względami. Młodziutkie nasze Niby rosło tymczasem pod opieką bon i guwernantek, które w domu ojca więcej niż dwuznaczną odgrywały rolę. Hulając, biesiadując, i jeżdżąc co roku do Homburga lub Wiesbadenu, aby tam dzięki jakiejś wynalezionej, a wrzekomo niezawodnej martyngalacji z gruzów dźwignąć swoje mienie, stracił starzejący się już hulaka niebawem resztki swojego majątku. Nie pozostało mu nic prócz rocznej pensji, wyznaczonej mu testamentem

żony, i „oszczędności“ na dotacji syna, które umiał powiększać skąpiąc mu nauczycieli, a zaliczając sądowi grube sumy tytułem kosztów wychowania, oraz tytułem kuracji niebywałych jakichś słabości.

Mizerne te skrawki atoli nie byłyby mu wystarczyły na prowadzenie życia, do którego był przywykły, a którego nie zaniechał ani na chwilę. Niedostatek i głód użycia wydoskonaliły w nim ów spryt zwierzęcia, które łaknie żeru, ową parasolistość, która jest dogmatem etycznym człowieka XIX. wieku. Tak jak niegdyś użył żony swej jako wygodnego parasola, mającego mu dać ochronę, aby mu się za kołnierz nie naląło, — tak jak później używać począł w tym celu swego syna, tak samo postanowił użyć przyjaciół swych i towarzyszy. Korzystając tedy z doświadczeń w ciągu hulaszczego życia swego nabytych, jał stary Rabaliński handlować winem i *cognac*'em, otrzymawszy zastępstwo jakiegoś francuzkiego domu handlowego w Bordeaux, który pragnął interes swój rozszerzyć w Galicji i Bukowinie. Handelek ten niekoncesjonowany i nieopodatkowany, a ku wielkiej krzywdzie miejscowych, podatki opłacających kupców prowadzony, szedł mu ręką; — wyzyskując bowiem rozległe swoje stosunki, i zdobyte w świecie stanowisko, narzucał stary wyga towar swój panom i szlachcicom, pomiędzy dwoma taljami kart, pomiędzy dwoma kieliszkami szampana, lub dwoma wesołemi dykteryjkami, liżąc się zawsze panom a imponując szlachcicom, których wielce uszczęśliwiała przyjaźń i poufałość

tak znakomitego światowego kawalera.

W ten sposób niby-pański, a niby-kramarski i parasolista, zarabiało stare nasze „Niby“ co roku dwanaście do piętnastu tysięcy franków, — atoli pieniądze nie trzymały się jego kieszeni. Co Maciek zarobił, to też i Maciek zjadł, — zjadając owszem zawsze daleko więcej, a niżeli mu się zarobić udało na winie i *cognac*'u, — albowiem poczciwi żydkowie, widząc jak znaczne sumy przechodzą przez jego ręce, nie skąpili mu kredytu. — Co roku jeździł też stary Rabaliński najprzód do Wiesbaden i Homburga, później zaś do Monaco, próbując tu i tam niezawodnej swej martyngalacji, która zawsze jakoś zawodziła. W tem Eldorado kokotek i szulerów, mentorując młodym paniczom, i ułatwiając im kredyt u szwajcarskich i francuzkich bankierów, dorobiło się stare Niby wkrótce niepospolitego znaczenia, jako jeden z głównych filarów ruletki, jak jedna z pierwszych powag kosmopolitycznej rozdobędy.

Tymczasem płynęły pieniądze tak jak woda; długi rosły z każdym dniem, i w chwili gdyśmy go poznali, wynosiły pasywa starego hulaki czterdzieści tysięcy guldenów, nie mających innego pokrycia oprócz dożywotniej renty w kwocie tysiąca dwóchset złotych reńskich, zepewnionych mu testamentem żony, która pragnąc pozostawić dziecku majątek zupełnie czysty, potrafiła na rzecz przypadającej mężowi legitymy, sumę posagową na własnych jego, dziś już sprzedanych dobrach zaintabulowaną. — Pokrywając

stare weksle nowemi, podtrzymywał nieodrodny papa mojego pana dotychczas kredyt swój z ciężką tylko biedą, starając się wszelkimi siłami odroczyć grożącą mu katastrofę. Atoli zdawało się, że wskazówka jego zegara dobiegała już do tego punktu, który przez Rabélais'go został nazwany fatalnym kwadransiem dłużnika. Żydkowie niepokoiли się coraz bardziej, i coraz cięższem stawało się zdobycie nowego kredytu na pokrycie starych długów.

§. 27. Spotkały się dwie Marysie, i mówiły sobie...

Z mieszkania mojego pana udał się troskliwy o syna swego ojciec na zwiady, aby zbadać dokładnie stan długów lekkomyślnego naszego scyzoryka. Wycieczka niebyła w skutkach swoich jałową. W hotelu, w sklepie gdzie mnie pan mój kupił, u fryzjera, u krawca, u szewca znaleźliśmy zalegające rachunki, ogółem jakie półtrzecia tysiąca guldenów. Papa-Machiavel zdawał się mocno zagniewany. Narzekając na lekkomyślność swego syna, oświadczył każdemu z wierzycieli, że „dziecko to jest jeszcze małoletniem,“ że nie ręczy za wypłatę, i że panowie kupcy i rzemieślnicy sami sobie będą musieli przypisać możliwe straty. Wreszcie mięknąc na pozór, dał im radę, aby nie otwierając więcej już kredytu młodzieńcowi, zaczęli mu przypominać swe długi, które zostaną oczy-

wiecie zapłacone, jeżeli panowie wierzyciele nie zdradzą przed swym dłużnikiem, że własny ojciec skłonił ich do natarczywości.

Po dokonaniu tej Odyssei wskoczył stroskany ojciec do jednokónki, i kazał się zawieźć na Krakowskie do znanego nam już mieszkania p. Eisiga Liendufta „właściciela handlu galanteryjnych i mięszanych towarów.“ Z niemałym zdziwieniem przekonałem się, że ojciec również dobrze jak mój pan był obznajomiony z miejscowością, nie zatrzymując się bowiem, nie pytając o drogę, pospieszył stary Rabaliński, tak samo jak to wczoraj uczynił syn jego, przez ciemne wschody i brudny ganek wprost do mieszkania pana Eisiga. Kuchnię, którędy się wchodziło, wypełniały te same co i wczoraj wonie cebuli, i ten sam ostry, a wilgotny zapach szuszącej się na sznurach bielizny. Przywitawszy panią Eisigową lekkim skinieniem głowy, podążył ojciec mojego pana do „salonu,“ gdzie pan Eisig, z drugim jakimś żydem, na pokątnego pisarza wyglądającym, porządkował jakieś rachunki. Na kanapach i fotelach leżały lalki, gumielastyczne kalosze, szczotki do włosów, słomiane pantofle, i inne jeszcze dla naszego scyzoryka przygotowane towary.

— Jak się masz panie Eisig? — zapytał Rabaliński z pod oka patrząc na pokątnego doradcę.

— Dziękować Bogu! dobrze! — odparł „właściciel handlu towarów galanteryjnych i mięszanych,“ wciśkając swemu towarzyszewi do rąk sporą paczkę li-

stów, czy też weksli, i wypychając go z lekka za drzwi, które zamknął za wychodzącym.

— A „koło“ Pana Hrabiego co szlychacz? — dodał poufale wróciwszy do swego gościa, i usadowiwszy go na kanapie.

— Był tu w tych dniach Fredzio? — zapytał siadając Rabaliński.

— Ny prawda, co był!... Był wczoraj!... *Aj! waj!* co to za kochanyj pan!... A jakij mądry! ts! ts! ts!... — wyszwargotał jednym tchem właściciel towarów galanteryjnych i mieszanych.

— Dałeś mu znowu pieniędzy panie Eisig?...

— Ny prawda, com mu dał!... Ktoby mu nie dał?... Jabym dla niego dał nawet *mein Blit*, moje krew!...

— Wieleż mu dałeś?...

— Trzy tysiacyów....

— A to nieszczęście!

— Co za nieszczęście? Jakie nieszczęście?... Pan Hrabia przecie sam powiedział, co ja mogę dać synowi kredyt, jak będzie potrzebował..

— Jak będzie potrzebował..

— Ny wón powiedział, co mu strach potrzeba!.. Wón tak pięknie prosił!.. Wón mówił, co to bars pilnyj jenteres...

— Śliczny interes!.. Poleciał do Tingel-tanglu, i siedzi tam od wczoraj wieczora..

— Ny, co ja mogłem wiedziez na co mu potrzeba?...

— Aj, aj, aj! — zawołał trąc czoło Rabaliński.

— Co jest?... Wielkie nieszczęście!... Wón od tego jest młody!... A te drugie panowie to woni robią inacy?... A Pan Hrabia robił inacy, jak był młody? — pocieszał właściciel handlu towarów galanteryjnych i mieszanych.

— I to gotówką dałeś mu Pan trzy tysiące? — zapytał stroskany ojciec.

— *Wie heisst* gotówką?... Pan Hrabia przecie wie, co Eisig Lilienduft nie jest żaden lichwiarz, tylo kupiec... Ja jednemu tylo Panu Hrabiemu pożyczyłem pieniądze, ale to było z przyjaźni;... dalibóg co tylo z przyjaźni!... Zresztą to ja nikomu nie pożyczam... Ja tylko handluję z towarem!...

Rabaliński rzucił okiem na leżące na kanapie rupiecie.

— Więc to może dla syna mego te rzeczy?...

— Ny prawda, co to dla niego... Ja mu wybrał co najlepsze! sam dobry towar, *extrafein*!

— Na jakiegoż mu się to diabła przyda? — zawołał zrywając się z kanapy Rabaliński, któremu żal ścisnął serce na widok tego oczywistego rabunku.

— *Wie heisst* na co mu sze przyda? — odparł z pozorną dobroduszością Schyllock, spostrzegłszy rozdrażnienie starego bałaguly, który mocno zafrasowany szerokimi krokami mierzyć począł „salon“ lichwiarza. *Wie heisst*, na co mu sze przyda?... Będzie handlowacz;... może na tim zarobiesz, może stracisz... cy ja wiem?...

— Któż mu co za to da?...

— *Aj waj*, kto mu co za to da?... za takij ślicznyj towar, ts, ts, ts!... Jak ja zaczynał handlowacz, to ja nie miał i połowy tego, co tu jest!...

— Ależ on przecież nie będzie kupcem!...

— Ny, kto to może wiedziecz!... Nie trzeba się niczego zarzekacz.... A pan hrabia, jak był młody, wiedział o tem, co kiedyś będzie handlowacz z winem i *cognac*'em... Lepiej niech sze syn tera nauczy, dopóki młody!... Potemu na starość, jakby mu wypadło handlowacz, no to już będzie wszystko umiał, akurat tak jakby znalazł!...

Oczywista ironja tych słów boleśnie drasnęła dumę starego bałaguły. Krew mu strzeliła do głowy oczy mu się gniewem zaiskrzyły.

— Słuchaj żydzie, ty sobie ze mnie drwisz — zawołał stając przed lichwiarzem, i mierząc go zagniżowanym wzrokiem.

— Ja? Broń Boże! — odparł spokojnie Shyllock, mało sobie ważąc gniew swego gościa, i nie wstając nawet z fotelu. Ja tyło widzę, co sze pan hrabia gniewa, ale nie wiem za co i na kogo?... Przecież dobrze pamiętam, co mi pan hrabia powiedział, jakem sze pytał, cy mam synowi dać kredyt, bo przyszedł prosić, coby mu pożyczyć. „— Słuchaj Eisiq! możesz mu nawet trocha krwi upuścić, to nic nie szkodzi! Im więcej mu upuścisz, tem lepiej!“ — Tak było, cy nie?... Ny, cy ja wiem na co to panu hrabiemu było potrzeba?...

— A tera, ni ztąd, ni zowąd, to sze pan hrabia gniewa! dodał „właściciel handlu towarów galanteryjnych i mieszanych“ po umyślnej dłuższej pauzie. — *Wie heisst?*... To akurat tak, jakby sze pan hrabia bał, co Eisig gotów zabrać wszystko, taj nie już dla pana hrabiego nie zostawi!...

Celny ten strzał w samo sedno najskrytszych myśli Papy-Machiavella wymierzony, przejął serce jego trwożą bez granic. Zadłużony, pozbawiony dalszego kredytu, znajdował się stary bałagula w położeniu bez wyjścia. Jedyłą nadzieją jego było, że zdoła skłonić syna do zapłacenia długów, których brzemień go przygniatało. Wobec przenikliwości Shyllocka, która zdawała się czytać w najtajniejszych skrytościach jego duszy, jak gdyby w otwartej księdze, uczył się stary wyga bezbronnym i bezradnym. Z ściśniętym gardłem, z skronią wstydem opłomienioną podszedł ku oknu, i jał palcami bębnić w szyby, nie wiedząc co począć wobec wytwarzającego się zawiłania, które mogło pokrzyżować jego plany. Poznał, że „właściciel handlu towarów galanteryjnych i mieszanych“, przeniknąwszy jego zamiary, może mu się stać niebezpiecznym, że przeto ani walczyć z nim nie może, ani też użyć go jako bezwiedną sprężynę swej intrygi, lecz bądź co bądź koniecznie musi się starać, pozyskać go sobie jako sojusznika. Przyszło mu na myśl, że niebyłby doznał obecnego upokorzenia, gdyby żona testamentem nie odsunęła go była od opieki nad synem, a myśl ta nappełniła serce jego

goryczą i żalem ku nieboszce. Pod wrażeniem tego żalu z przyjemnością niemal rozważał w myślach, że zamiaru żouy jego nie uwieńczy skutek tak pomysłny, jaki by go uwieńczyć powinien. Chciwy Shylock, wyciągający szpony po mienie jego dziecięcia, wydał mu się niemal mścicielem onych krzywd, które mu w mniemaniu jego swym testamentem z za grobu wyrządziła nieboszczka.

Po chwili dumania i pod wrażeniem tego nastroju nie czuł już Rabaliński w sercu swem onej ku lichwiarzowi niechęci, którą obelżywe przypuszczenia Shylocka zrazu wywołały były w jego umyśle. Miłość ojcowska, litość nad losem syna, oburzenie, wstyd, gniew; — słowem wszystkie te uczucia, które przed chwilą jeszcze mniej lub więcej silnie grały w jego duszy, ustąpiły tam miejsca jakiejś demonicznej pożądliwości zemsty, jakimeś wandalskim zacheiankom niszczenia. Szczerze więc i niemal serdecznie zbliżył się pod wpływem tych uczuć do pana Eisiga, ażeby go powiadomić o swych zamiarach, i na podstawie wspólności interesów wciągnąć do wspólnej roboty.

— Nie, kochany panie Eisig — zawołał podając rękę lichwiarzowi. — Pan się mylisz! Gdzieżbym ja się miał gniewać na Pana!... Ja owszem przyszedłem tutaj, ażeby Panu powiedzieć, że interesa nasze wspólne są, i że musimy sobie wzajemnie pomagać...

— Ny, tak to rozumiem! — odparł Schylock. Ręka rękę myje, a noga nogę podpira...

— Wiele Panu winien Fredzio? — zapytał

Rabaliński siadając znowu na kanapie.

— Wszystko razem: Piętnaście tysięcy....

— Bagatelka!..., za pół roku!...

— Ny, co jest?... To w takiego Pana tyło, co u mnie szóstaczek....

— No mniejsza o to!... Fredzio winien Panu piętnaście tysięcy, które w zwykłym porządku rzeczy zostaną dopiero zapłacone wtedy, gdy Fredzio zostanie pełnoletnim....

— Za półtrzecia roku....

— Za trzy... Otóż chcesz Pan, aby Panu te pieniądze prędzej, dajmy na to za pół roku zostały wypłacone?...

— Ny, czemu nie?... Trzy lata to długo czekacz!... Każdy woli pierwiej przyjsć do swoich pieniędzy....

— Wtedy musisz Pan zamknąć kredyt Fredziowi z dniem dzisiejszym.

— Wón odemnie ma jeszcze dostać....

— Wiele?...

— Nie wiele!... Może za cztery sta reńskich....

— Mniejsza o to!... Wypląć mu Pan te cztery sta reńskich, ale potem już ani centa....

— Ny, a pan Hrabia daje słowo, co ja za pół roku dostanę swoje pieniądze....

— Słowo Ci daję!...

— A tych dwadzieścia tysięcy, co mi Pan Hrabia winien?...

— Także!... Ale musisz się ostro u mego syna

upominać o zapłatę tych weksli, które tymczasem będą płatne!...

— A u Pana Hrabiego także?..

— Nie, u mnie nie potrzebujesz!... Wszak Ci powiadam, że za pół roku dług mój będzie zapłaconym.

— Kto go zapłaci?..

— Mój syn....

— Ale wón nie ma jeszcze dwadzieścia cztery lat...

— Zrobię go pełnoletnim....

— A jak wón nie zechce?..

— To ja go zmuszę!... Dlatego właśnie proszę Cię panie Eisig, abys się ostro dopominał pieniędzy, jeżeli ci jakie winien?..

— *Schoin git!... Ale wie heisst, Pan go zmusi!...* Jak go Pan Hrabia będzie mógł zmuszyc?..

— To już moja rzecz!..

— Aha! *Ech verstai schoin!* — zawołał pan Eisig po chwili namysłu.... Już rozumiem!... *Kimmst du mir a soi, so kimm ech dir soi!...*

— *Jnd kimmste mir soi, so kimm ech dir a soi!* — odparł śmiejąc się Rabaliński, do którego specjalności należała znajomość żydowskiego szwargotu.

I zadowoleni z siebie podali sobie obaj spiskowcy dłonie do serdecznego uścisku.

§. 28. Gorzkie żale.

Trzeciego dnia dopiero późnym już wieczorem powrócił Pan mój do domu ze swej wycieczki, rozstrojony fizycznie i moralnie, tak jak organy starego jakiegoś zegaru. Zdawało mu się, że chłodny wiatr wschodni, który skutkiem spadłych gradów wiał tego dnia bezustannie, zasypując piaskiem „Łysej góry“ ulice miasta, na wskrós go przewiewa, wygrywając na kościach jego, tak jakby na piszczałkach eolskiej lutni żałośnie jakieś popielcowe kolendy. Bezsen i nadmiar użytych trunków, rozdrażniły nerwy jego. W gardle paliła go nieznośna zgaga, piekące wspomnienie wypitego fałszowanego szampana; — w głowie czuł dziwną jakąś próżnię, nie mniejszą też próżnię w kieszeni, której radykalnie splondrować nie omieszkała tingel-tanglowa *Diva*. Ta ostatnia okoliczność dolegała mu najboleśniej. Rozstawszy się ze swą Beatrycą, której rozmaite poczynił był obietnice, pospieszył nasz paniczyk jak w dym do swego ministra finansów, ale pan Eisig oświadczył mu, że nie znalazł jeszcze kupca na przygotowane towary, a nie mając gotówki nie może mu żadnym sposobem dogodzić. Wszelkie nalegania, proźby i zaklęcia nie odniosły najmniejszego skutku. Właściciel handlu towarów galanteryjnych i mieszanych nie chciał żadną miarą słyszeć na to ucho. Owszem dziwnie jakoś dziś kwaśny i twardy, przypomniał Shyllok paniczowi, że za

trzy dni przypada termin zapłaty wekslu na pięć tysięcy guldenów, oświadczając zarazem, że czekać nie myśli, gdyż mu gwałtownie potrzeba pieniędzy, na zapłacenie towarów, które dlań z Wiednia i Lipska nadejść mają niebawem.

Nie mniej przykrem brzemieniem ciążyła na umyśle młodego naszego panicza niepewność, w którą go wprowadziło zdarzenie wcale dlań niezrozumiałe, jednak napełniające go dziwnym niepokojem. Mianowicie spotkał pan mój, wracając do domu z swej nieśczęśliwej wyprawy po złote runo, na rogu ulicy matkę Tota, hrabinę Żymirską w towarzystwie ojca Henia Ickowskiego, a państwo ci, którzy dawniej zawsze dla niego mieli, grzeczne jakieś słówko, lub też uśmiech uprzejmy, nie odwzajemnili nawet jego ukłonu. — Czy go stary Ickowski poznał, i czy zauważył jego powitanie, tego nie był pewnym, ale że Hrabina, spostrzegłszy ukłon jego, z widoczną niechęcią odwróciła twarz w przeciwną stronę, o tem nie mógł wcale wątpić niestety! — Cóż było powodem tak naglej a niespodziewanej zmiany w usposobieniu tej zacnej matrony, która powszechnie znaną była z tego, iż miłym okiem patrzeć zwykła na młodzieńców? Czy puścił może ktoś na niego w obieg jakąś plotkę, kompromitującą go w oczach rodziców jego przyjaciół? Dla czego niepowrócili Budrysi nazajutrz do Tingel-tanglu pomimo danego „słowa honoru?“ — Wszystko to niepokoiło naszego scyzoryka napełniając myśl jego rojem nieokreślonych ale niewesołych przeczuć.

Z tych czarnych myśli, które go dręczyły, wyrwał go na chwilę liścik wonny, na welinowym papierze nie znaną mu ręką pisany, a wczoraj jeszcze do mieszkania jego przez posługacza miejskiego przyniesiony. Był to list Julcinej matki. Pani ta zawiadamiała go, że wraz z córką przybyła na jeden dzień do stolicy, i że powracając wieczornym pociągiem do domu, bardzoby rada po tylu latach niewidzenia ujrzeć przed odjazdem syna dawnej swej, a nigdy niezapomnianej przyjaciółki. Według daty i brzmienia listu nie było więc nadziei odszukania tych pań, które o tej porze z pewnością powróciły już były do swego podgórskiego ustronia. Mimo to popędził nasz scyzoryk lotem strzały do „*Angielskiego Hotelu*“, by się dowiedzieć, czy przypadkiem nasze wieśniaczki nie przedłużyły swego pobytu we Lwowie. Niestety — potwierdziły zwiady te jeno wiadomość w liście zawartą. Juleczka z matką opuściły już były stolicę.

Zły więc na świat cały i na siebie samego powrócił pan mój po raz wtóry do domu, przeklinając Mademoiselle Amandę i jej wdzięki, których ponęta, usidliła go kłamliwemi obietnicami błogości i rozkoszy, a rzetelnego pozbawiła szczęścia, — szczęścia, o którym śnił tak lubo przedwczoraj jeszcze w łoży, nim go z tego uroczego snu zbudzili Budrysi. Przyszło mu na myśl, że właśnie w tej chwili, kiedy on marzył o Juleczce, w tej samej chwili właśnie myślała o nim i ona, a dziwny ten zbieg okoliczności, którego list Julcinej matki był dowodem, stwierdzał

w jego umyśle błogie przypuszczenie, że duszę Juleczki z jego duszą łączyć musi jakaś nić sympatyczna, jakieś tajemne pokrewieństwo, nawiązane dłonią łaskawej dłoń Opatrzności. Z niewysłowionem więc uczuciem szczęścia przyciskał do ust ten wonny liścik, którego monogram, artystycznie splecione „J“, dowodził, że papier, na którym był pisany z Julcinych pochodził listowych zapasów, a myśl, że się tej ćwiartki Jej dotykała ręka, upajała go lubością bez granic.

Atoli było powiedzianem, że błogie uczucia te, któremi się nasze Niby orzeźwić starało w swem znekaniu, tak jakby cudownym balsamem leczącym wszelkie troski, zamaconemi zostaną nowemi kłopotami, — i że niewesołe przecucia, które go dręczyły niedawno przybiorą dotykalne, a dla naszego scyzoryka istotnie groźne kształty. W chwili gdy się pan mój w najlepsze błękitnym snem swoim rozmarzał, oddano mu numer *Warowni* pozostawiony dłoń u portiera przez niewiadomego oddawcę. Przypomniawszy sobie jowiszowe spojrzenia, któremi go w teatrze piorunował rewolwerowiec, w czasie gdy pod cieniem skrzydeł mych siedział w łoży, przerażony burzą sykań i nawoływań oburzonego parteru. Zaciekawiony więc rozdarł opaskę piśmidła, i jał skwapliwie czytać artykuł czerwonym zakreślony ołówkiem, a omawiający pod krzykliwym nadpisem „*Gangrena społeczna*“ szczegółowo wszystkie epizody przedwczorajszych jego wybryków. W istocie przyznać trzeba, że rewolwerowiec tym razem nie oszukał swego klienta, i że

chciwemu skandalów Papie-Machiavellowi co się żowie dogodził w zamian za otrzymaną zapłatę. Nie tylko było tam opisanem zajście w teatrze, nie tylko były tam wymienione nazwiska wszystkich naszych paniczów, ale w dodatku jeszcze — kto rowolwerowcowi o tem doniósł? niewiadomo! — opowiedzianemi tam były z odpowiednią przedmiotowi temu dosadnością, wszystkie szczegóły wybryków mojego pana w „Czech-parku“. Teraz dopiero zrozumiało biedne nasze Niby, dla czego pomimo danego słowa nie powrócili Budrysi nazajutrz do Tingel-tanglu, i dla czego stary Ickowski udał że go nie widzi, a Hrabina Żymirska, spostrzegłszy ukłon jego odwróciła z widoczną niechęcią twarz w przeciwną stronę.

Po raz może pierwszy dopiero w swem życiu zadał sobie młody mój pan pytanie, jakim też właściwie okiem patrzy świat na lekkomyślne jego wybryki, a odpowiedź na to pytanie napelniła go trwogą bez granic. Zrozumiał że niebo jego czarnemi się zasnęło chmurami, i że chmury te muszą być istotnie groźnemi, skoro go w stanowczej chwili odbiegli jego towarzysze, unikając gromów zawieszonych nad jego głową. Instynkt zachowawczy kazał mu szukać ratunku i oparcia, a myśl jego zwróciła się oczywiście w stronę ojca.

— Stasiu! — zawołał zerwawszy się gorączkowo z kanapy, i chodząc szerokimi krokami po pokoju.

— Słucham Jaśnie Pana! — odparł wchodząc służący.

— Był tu Papa?...

— A był proszę Jaśnie Pana wczoraj rano dwa razy...

— Cóż mówił?... Nie powiedział kiedy przyjdzie?...

— Powiedział, co się przyszedł pożegnać, bo jedzie na pięć dni na wieś — odpowiedział famulus wedle otrzymanej od starego Rabalińskiego instrukcji.

— Co-o-o-o? — zawołało blednąc i zatrzymując kroku Niby, któremu wiadomość ta usuwała z przed oczu ostatnią deskę ratunku.

— A tak proszę Jaśnie Pana!... Mówił co jedzie na wieś, tyło co nie mówił gdzie... Żałował tak co strach, co Jaśnie Pana nigdy zastać nie może...

Młodemu panu memu serce ścisnęło się z żalu, i rozpaczy. Szerokimi krokami jał znowu mierzyć pokój, bijąc się z czarnemi myślami, które tłumnie cisnęły mu się do głowy. Z podełba patrzył nań służący, starając się przeniknąć myśli swego Pana.

— A Panowie tutaj nie byli? — zapytało znowu po chwili Niby, które przerażone swem osamotnieniem, szukało wbrew oczywistości zaprzeczenia powodów swej obawy.

— Nie proszę Jaśnie Pana!... Był tylko krawiec z rachunkiem i pytał się, kiedy Jaśnie Pana zostanie?... Ze sklepu takoj przynieśli rachunek, taj fryzjer był coś trzy razy...

— Zrób mi łóżko! — zawołał nasz scyzoryk coraz bardziej znękany, czując potrzebę wypoczynku.

— Nie wyjdę dziś z domu; jestem cierpiący!...

I melancholicznem okiem spojrzął na palec lewej swej ręki, osierocony ubytkiem odziedziczonego po matce brylantowego pierścionka, który wraz z złotym *remontoirem* zatrzymała tingel-tanglowa *Diva* jako zastaw, dla zapewnienia się, że panicz niechybnie powróci do niej dzisiejszego wieczora, i wywiąże się z poczynionych obietnic.

§. 29. Finansowe kłopoty mojego Pana.

Pomimo niezmiernego znużenia nie mógł nasz paniczek usnąć, wierząc się w swem łóżku, i susząc sobie głowę myślami, jakimby sposobem zdołał odwrócić ową burzę, która nad nim zawisła. Aliści mózg jego ptasi nie był przyzwyczajonym do ćwiczeń podobnego rodzaju; — pomysł zbawczy nie przychodził, i położenie wydawało mu się tem rozpaczliwszem, im więcej się w nim rozpatrywał. Ażeby więc odpedzić czarne myśli, i zażegnać trwogę, która go w samotności opanowywała, przywołał Stasia i kazał sobie bajki do snu opowiadać. Monotonny głos opowiadającego ukołysał go istotnie w sen po jakimś czasie, ale sen ów nie był wcale pokrzepiającym, rozgorączkowana bowiem wyobraźnia jego snuła dalej przedzę wrażeń, na jawie doznanych, i widzenia senne naszego panicza, były tylko w fantastyczną szatę

przybraniem powtórzeniem przeżytych uczuć, obaw i niepokojów.

Śniło mu się, że w majątku Julcinej matki leżał na kwiecistej murawie wpatrzony w błękit podkarpackiego nieba, i zasluchany w piosnkę słowików, gdy w tem otaczać go zaczęły wezbrane fale górskiego potoku. Uchodząc grożącej mu powodzi, zerwał się pełen trwogi, i biegł zdyszany łąką, dążąc ku górze, na której dawniej przed laty siadywał nie raz z Juleczką patrząc na błękitne dymy rozłożonej w kotlinie wioski, na kwitnące po sadach jabłonie, na stare wierzby dumające nad brzegiem strumienia. Aliści powódź ścigała go hucząc coraz dalej, i coraz bliżej docierały fale, grożąc mu zatrata. Zmęczony dopadł wreszcie podnóża góry; tam go czekała Juleczka, której głos perłowy rozbrzmiewał w powietrzu, wymawiając jego nazwisko; tam już mógł spocząć bezpieczny przed powodzią. Atoli fale, które go ścigały, zamieniły się w stado olbrzymich kogutów, podobnych wzrostem i opierzeniem do koguta, którego widział w Tingel-tanglu. Piejąc i trzepiąc skrzydłami ścigały go dalej ptaki te, uzbrojone w dziuby i szpony potężne. I coraz bardziej okrażały go potwory one, i czuł że mu siły słabną, i że nie zdąży na szczyt góry, gdzie go woła Juleczka, a drapieżne ptactwo prześladowające go, i czyhające na jego zgubę, miało twarze Amandy, Piesi, Eisiga, Budrysów i jego ojca. Zmęczony ostatecznie tem widzeniem, usnął nareszcie nasz paniczny twardym snem, z którego

się przebudził z ciężkim bólem głowy dopiero nazajutrz blisko już południa.

Razem z kawą podano mu z rana rachunek hotelowy, wynoszacy przeszło kilkaset reńskich, a niemiłe przypomnienie to przywołało mu znowu na myśl finansowe jego kłopoty. Ubrał się więc czempredziej i pobiegł do pana Eisiga Liliendutta, aby spróbować czy mu się nie da zmiękczyć lichwiarza, i nakłonić go do nowej większej pożyczki, którąby pokryć można długi w sklepie i w hotelu, oraz rachunki krawca i fryzjera. Atoli „właściciel handlu towarów galanteryjnych i mieszanych“ okazał się zimniejszym od lodu i twardszym od głazu. Kupca na sprzedać się mające towary jeszcze nie było, a nieubłagany Shyllok nie chciał na ten rachunek żadnej udzielić zaliczki.

Rozpoczęły się więc dla panicza dni smutku i kłopotów. Co dnia po kilka razy jawili się w jego mieszkaniu wierzyciele, domagając się coraz natarczywiej zapłaty. Lichwiarscy faktorowie, którzy mu dawniej co chwila narzucali swe usługi, odmawiali mu jej obecnie w chwili potrzeby. Codzienne pielgrzymki jego do Eisiga nie przynosiły żadnego skutku. Budrysi unikali widocznie jego spotkania, a znajomi, którzy dawniej narzucali mu swe towarzysztwo stronili go jak gdyby zapowietrzonego, ulegając niewątpliwie naciskowi opinii publicznej, która z taką zawziętością zwróciła się przeciw niemu. Położenie jego wydawało mu się nawet o wiele rozpaczliwszem,

niżeli było w istocie. Poddając się wpływow przestachu i rozgorączkowanej wyobraźni, widział wszędzie niechęć, gdzie właściwie była tylko obojętność; — zdawało mu się, że świat cały wie o jego kłopotach; że wszyscy szyczą z jego niepowodzeń, i że go powszechna otacza pogarda. Zapożyczając się u swego służącego, żył tak młody mój pan chlebem troski i upokorzenia, unikając swych znajomych, kołacząc na próżno do drzwi wszystkich lichwiarzów, i wyczekując jak zbawienia powrotu ojca, który ciągle nie wracał. Jedyłą jego pociechą w owym czasie był list Julcinej matki, który odczytywał codziennie po kilka razy, marząc o towarzysze swych lat dziecinnych, o owych chwilach pełnych błogości i dusznego spokoju, które spędzał przy jej boku, i tęskniąc coraz bardziej do tego minionego szczęścia, tak niepodobnego do dzisiejszej jego doli. W tym też duchu napisał list do pani Chrzanowskiej — tak się bowiem nazywała Julcina matka — uniewinniając się dla czego nie przybył na jej wezwanie, i tłumacząc jej swoją dla dawnych przyjaciół życzliwość, swe na wstępie do życia doznane zawody, i swą serdeczną tęsknotę.

Czwartego dopiero dnia po powrocie mego pana z owej znanej nam wycieczki, oświadczył p. Eisię, że mu się nareszcie udało znaleźć kupca na sprzedać się mające towary. Pełen nadziei, iż uzyska fundusze potrzebne na częściowe przynajmniej pokrycie swych długów, pospieszył nasz młodzieniec dobieć interesu. Atoli kupiec przez właściciela handlu towarów galan-

teryjnych i mieszanych podstawiony, korzystając z przykrego położenia mojego pana, ofiarował mu tak niską cenę, że panicz nasz, rachując się po raz pierwszy w swem życiu, postanowił zająć się osobiście spieniężeniem swych towarów. Zaopatrzywszy się tedy w próbki, począł w spółce z swym służącym objeżdżać rozmaite handle, ofiarując tutaj lichtarze, tam szczotki do włosów i grzebienie, ówdzie kalosze lub ćwiczki do butów. Próba ta nie udała się oczywiście, jak najzupełniej. Kupcy lwowscy tak uprzejmi gdy chodzi o sprzedanie własnych swych towarów, dziwnie szorstcy bywają dla tych, którzy im przychodzą narzucać jakoweś kupno. Wszędzie poznano w mgnieniu oka że paniczek nasz dyletantem jest w kupieckim zawodzie, więc też i odpowiednio temu przyjmowano go wszędzie, drwiąc z nieświadomości jego, krytykując lichotę towarów, odsyłając go z niemi na tandetę, ofiarując mu ceny śmieszne, lub też żądając kredytu. Zrażony tem niepowodzeniem, i przekonawszy się, że krom upokorzenia nic nie zyszcze, powrócił tedy młody pan mój ze wstydem do właściciela handlu towarów galanteryjnych i mieszanych, postanowiwszy zdać mu się na łaskę lub niełaskę. Pan Eisig, czyli raczej podstawiony przez niego kupiec, nie omieszkał skorzystać z tego w sposób sobie właściwy, to jest — obniżając jeszcze bardziej cenę kupna. Przyparty do muru musiał młody pan mój zgodzić się i na to, sprzedając za trzysta pięćdziesiąt pięć reńskich wszystek towar, za sumę dwóch tysięcy

czterechset pięćdziesiąt reńskich nabyty. Z pieniędzmi temi pobiegł nasz paniczek do Mademoiselle Amandy, aby odebrać pozostawiony u niej w zastawie zegarek i brylantowy pierścionek; — aliści *Diva* opuściła już była stolicę. Artykuł *Warowni*, opisujący znane nam już zajście w Czech-Parku, i spowodowane tym artykułem wdanie się policji, było przyczyną nagłego wyjazdu śpiewaczki i całego jej towarzystwa. Nikt w opuszczonym Tingel-tanglu nie umiał naszemu bohaterowi powiedzieć, gdzie się udali ci koczownicy. Że zaś Mademoiselle Amanda, wyjeżdżając nie pozostawiła ani zegarka, ani też pierścionka, tego nawet i mówić nie potrzeba.

§. 30. Kot i mysz.

Dziesiątego dnia dopiero po swym wyjeździe powrócił stary Rabaliński, rad wielce ze swej podróży. W Ułaskowcach na jarmarku, i w Tarnopolu, gdzie trafił właśnie na zjazd członków towarzystwa kredytowego ziemskiego, udało mu się sprzedać kilkanaście beczek wina, co mu znaczne przyniosło zyski. Wprawdzie pokryła szlachta zakupy swe w przeważnej części weksłami tylko, ale weksle te były dobre, i można je było w każdej chwili zeskontować bez straty i trudności. Kilkaset butelek szampana i *Cognacu*, które równocześnie sprzedał za gotówkę, przysporzyły mu wcale okazały fundusik gotowych pie-

niędzy, a fundusik ten udało mu się znacznie jeszcze pomnożyć szczęśliwemi operacjami dokonanemi pod wezwaniem błogosławionej Damy pikowej i Kierowego króla. Zadowolony z wyniku swej wycieczki pospieszył stary wyga do kasyna, aby zasięgnąć języka, co się też w mieście dzieje. Spotkawszy tam starego Ickowskiego, przekonał się z radością, że opinja artykułem *Warowni* podburzona, ciągle jeszcze wrogo się zwraca przeciw jego synowi. To samo powiedziała mu stara baronowa Rzepińska, ciotecznie rodzona babka mojego pana, zostająca pod wpływem Jezuitów, czyhających na jej sukcesję.

Zadowolony ze skutku swych zabiegów, pospieszył stary Rabaliński do swego syna, ułożywszy sobie już w głowie cały plan kampanji. Spotkawszy po drodze Stasia, dowiedział się o niefortunnych operacjach finansowych naszego panicza, o jego rozpaczach i przygnębieniu, a wiadomość ta posłużyła mu do powzięcia ostatecznej decyzji co do taktycznych ewolucji, mających rozstrzygnąć walkę, do której się gotował, a o której pomyslnym dla siebie wyniku nie wątpił już wcale w obecnej chwili. Z twarzą więc pełną smutku, i łagodnej pobłażliwości wszedł Papa-Machiavell do pokoju swego syna, zajętego właśnie czytaniem listu Julcinej matki, którego się już był wyuczył na pamięć, odczytawszy go pewno sto razy.

— Papo! papo! hatuj! — zawołało Niby rzucając się ojcu na szyję i zalewając się rzewnemi łzami.

Stary wyga przycisnął syna w milczeniu do

piersi, tak jak to czyni przyjaciel, który chciałby pocieszyć przyjaciela, wielkiem dotkniętego nieszczęściem, a który nie mogąc znaleźć rady, ni pomocy, milczy aby banalną pociechą nie zranić nieszczęśliwego.

— Jestem zgubiony!.. Świat cały zwhócił się przeciwko mnie!... Toto, Henio i Lunio mnie opuścili!... Wszyscy mną gahdzą!... Wszysey mnie nienawidzą!...
— Ikało biedne Niby, tuląc się do piersi ojca.

— Wiem, wiem o wszystkim, moje biedne dziecko, i dla tego przyszedłem natychmiast do ciebie, aby cię ratować... Któż ci poda rękę w nieszczęściu, jeżeli nie ojciec, jeżeli nie przyjaciel...

— O tak Papo kochany, dhogi, jedyny! — Niephawdaż papo ty mnie nie opuścisz? ty mnie wyha-tujesz? — zawołał paniczyk, wpatrując się ojcu w oczy.

Papa-Machiavel nastroił twarz swą do jeszcze posepniejszego wyrazu.

— Opuścić, nie opuszczę cię z pewnością, i wszelkich sił dołożę, by cię wyratować z tego położenia, ale czy mi się to uda tak prędko, za to nie ręczę. Wielkie zrobiłeś głupstwo, a ten nędzny Gębosz roztrąbił to na wszystkie strony. Całe miasto o niczem nie mówi, tylko o twoich wybrykach. Położenie moje jest istotnie bardzo trudnem. Wracam od twej babki; — możesz sobie wyobrazić jak jest zgorszona, i rozgniewaną na ciebie!...

— Co? Babcia także?...

— Oczywiście!... Dla kobiety jest życie zawsze

haftem. W młodości patrzają na nie z prawej strony. Na starość oddają się bigoterji, i przewracają kanwę na drugi bok... Zresztą wiesz przecie, jaki na nią wywierają wpływ Jezuici; — możesz więc sobie wyobrazić, że nie zaniedbali tej sposobności aby ci stołka przystawić, i odsadzić cię od sukcesji...

Biedne Niby słuchało tych słów patrząc na ojca osłupiałym wzrokiem.

— Ale mniejsza już o sukcesję! — ciągnął dalej Papa-Machiavel. — Ta i tak nie bardzo jest pewną, bo jak wiesz ma Baronowa licznych jeszcze dalszych krewnych, którzy się jej starają przypodobać, podczas gdy ty ją zaniedbujesz. Stara obiecuje wszystkim, dla tego, że chce aby jej nadskakiwano. Prawdopodobnie jednak próżnemi są te umizgi, bo Baronowa, jak sądzę, zapisze wszystko Jezuitom, aby sobie zapewnić koronę niebieską, której posiadanie, nawiasem mówiąc, djabło zakwestjonowała swem postępowaniem w młodych latach. Co dla mnie i dla ciebie nierównie ważniejszem, to mianowicie ta okoliczność, iż ktoś babie doniósł, że masz bardzo znaczne długi.

— Ach! — westchnął ciężko paniczek.

— Otóż Baronowa twierdzi, że obowiązkiem moim jest ogłosić cię niepoprawnym marnotrawcą, i wyrobić w sądzie administrację twego majątku, tak, abyś doszedłszy nawet do pełnoletności, nie zarządzał twem mieniem, leez używał tylko części twych dochodów, dopóki długi twoje nie zostaną spłaconemi. A że babka twoja jest głową familji, i że dybiący na

jej sukcesję bliżsi i dalsi krewni pójdą niezawodnie za jej głosem, więc...

— Więc? — zapytało Niby rozpaczliwym głosem.

— Więc obawiam się by mnie familja nie zmusiła do tego kroku.

— Jestem zgubiony! — zawołał nasz scyzoryk nerwowym wybuchając płaczem.

— No, no, no! — jął pocieszać Papa-Machiavel — nie rozpaczaj! Wprawdzie postawiła mnie matka twoja swym testamentem w takim położeniu, że liczyć się muszę z opinią familji, zwłaszcza w obecnym wypadku. Jeżelibym nie zapobiegł twemu marnotrawstwu, tak jak tego żądają, a tybyś dalej prowadził twój tryb życia obecny, tobym się naraził na ogólne potępienie, żem zaniedbał mych obowiązków. Testament twej matki, jak powiedziałem, stawia mnie moralnie w tem fatalnem położeniu.. Mimo to nie rozpaczaj... Może się wynajdzie jaki inny sposób wyjścia.

— Jestem zgubiony, ach, ach, ach! zgubiony — jęczało nieszczęśliwe Niby.

— Ależ powiadam ci nie rozpaczaj!... Całe nieszczęście leży w tem, żeś się dopuścił tak głośnego skandalu.. Mniejsza e wybryk twój w teatrze, to dzieciństwo, ale mówią o jakiejś orgji w Tingel-tanglu, o jakimś kogucim balecie... Podobno się w to wdała nawet ze względów moralności policja...

— Ach ta Amanda, ta Amanda!... To ona wszystkiemu winna, a nie ja!...

— Eh, eh, eh! nie zapieraj się! — odparł z żartobliwą dobroduszością stary bałagula. — Kto tego nie lubi, kto tego nie pragnie, i nie szuka?... Czy myślisz że ja sam nie byłbym ciekawy takiego koguciego baletu?... He, he, he! Ślina mi już idzie do gęby na samą myśl!... Chodzi tylko o to, by to robić rozumnie, tak aby nie wzbudzić publicznego skandalu, zwłaszcza jeżeli się jest tak młodym, jak ty jesteś...

— Tam nikogo nie było! — szepnęło Niby. — Publiczność wyszła wtedy...

— Jak to nikogo niebyło?... A któż to wszystko opisał w *Warowni*?

— Nie wiem!

— Może któryś z twych przyjaciół?...

— To być nie może! wszkże wymienione tam są hówniej ich nazwiska...

— Ach prawda!...

— Zhesztą opis jest niedokładny... Widocznie pisał to ktoś, co tam nie był wcale.

Papa-Machiavel przygryzł węża, powstrzymując uśmiech złośliwy.

— Mniejsza o to — jał mówić po chwili milczenia. Chodzi teraz o to, aby ludzie czas jakiś o tobie zapomnieli. Musisz koniecznie zapłacić twoje długi, i wyjechać na wieś, lub za granicę... Bogu dzięki mam właśnie trochę pieniędzy; mogę więc być twoim bankierem... Nie będzie mi to wprawdzie przyjemnie pozbyć się mych funduszków, ale czegożbym nie zrobił dla ciebie, mój Boże?...

Scyzoryk rzucił się w objęcia swego ojca, który się uśmiechnął zadowolony, przekonawszy się że gra na nerwach syna, tak jak na fortepianie.

— A wieleż tam jest tych długów?

— Koło dwudziestu tysięcy...

— Co-o-o-o? — zawołał stary wyga z udaniem przerażeniem, zrywając się jakby pod naciskiem sprężyny z fotelu.

Delinkwent spuścił oczy upokorzony.

— Dwadzieścia tysięcy w przeciągu pół roku! dwadzieścia tysięcy!... Ach to nieszczęście! ach to nieszczęście! — powtarzał stary komedjant, chodząc szerokimi krokami po pokoju. — Co tu robić? co tu robić! Dwadzieścia tysięcy...

— Ha — rzekł zatrzymując się w końcu przed synem — tu nie ma już innej rady. Ze Lwowa musisz wyjechać na jakiś czas, i długi muszą być zapłacone koniecznie. Muszę więc ogłosić cię marnotrawcą, i wyrobić administrację twego majątku, albo też hm, hm!...

Nieszczęśliwe Niby milczało ciągle, utraciwszy znowu resztkę, dopiero co zaczerpniętej otuchy.

— Albo też wyrobić w sądzie twą pełnoletność, aby dojść do funduszów potrzebnych na zapłacenie twych wierzycieli!

— Ach Papo, Papciu kochany, dhogi! zhób to zhób na miłość Boską!

— Ba! — odparł stary wyga. — To rzecz nie tak łatwa! Co na to powie familja, co świat na to

powie?... I co pocznę wtedy ja, którego kredyt zostałby tem zabitym?...

Wymówiwszy te słowa, jął Papa-Machiavel znowu chodzić po pokoju. Paniczek nasz patrzył na niego obłąkanym wzrokiem milcząc, i nie mogąc zrozumieć.

— Jakto, phosze Papci? — ośmielił się zapytać w końcu. — Jakto khedyt Papci zostałby zabitym? W jaki sposób?...

— Słuchaj mnie Fredziu — odparł stary wyga, siadając na kanapie i nastrajając twarz do łagodnego, lecz posepnego wyrazu. — Usiądź tu naprzeciwko mnie na fotelu, i słuchaj mnie... Masz już lat dwadzieścia jeden, i jesteś w wieku w którym nie potrzebuję dłużej ukrywać przed tobą pewnych tajemnic... Masz rozum, i dosyć już doświadczenia, byś to mógł zrozumieć. Nie potrzebuję też lękać się, by to co ci wyjawię, zachwiało w umyśle twoim cześć twą dla pamięci matki, nieprawdaż? Była to osoba święta, ale zawsze tylko kobieta, i kobieta chora w dodatku... Trudno ją winić za to, co uczyniła pod wpływem słabości, i podszeptu intrygantów...

Młode nasze Niby rozwarło oczy szeroko, nie mogąc pojąć do czego zmierzał stary wyga.

— Ach mój drogi — ciągnął dalej komedjant wdychając i opierając głowę na ręce — za nic w świecie nie chciałbym zaćmić w umyśle twoim jej obrazu, i tylko głębokie przekonanie, że ją zrozumiesz i wytłómaczysz, ośmiela mnie do wyjawienia ci tego, co ci dotychczas ukrywałem, a czego ci z powodu

okolicości, które sam wytworzyłeś dłużej ukrywać nie mogę. Otóż powiem ci, że z matką twoją żyłem zawsze w najszcześniejszym pożyciu. Ona była pierwszą i ostatnią moją miłością. Nikt z ust jej nigdy skargi na mnie nie słyszał... Nie mniej jednakże, kiedyś się miał urodzić, wpłynęła słabość na jej usposobienie. To zwykle tak bywa. Kobiety brzemiennie stają się nadzwyczaj drażliwymi, przystępnymi wszelkiego rodzaju czarnym myślom, pochopnemi do najdziwniejszych, a z usposobieniem ich najsprzeczniejszych czynności, i nie sposób ich żadną miarą winić za to, co w tym stanie uczynią... Ach, ona ta święta, ten Anioł w ludzkim ciele, gdzież by ona będąc zdrową, uczyniła była to, co uczyniła? Gdzieżby ona nie będąc chorą, i nie ulegając wpływom intrygantów, wyrządziła mi była tę krzywdę? Ona, która mnie tak kochała!...

Papa-Machiavel uczynił tu artystyczną pauzę, wpatrując się wzrokiem smętnym w dal, i siłąc się wycisnąć łzę z źrenicy, co mu się jednak mimo wszelkich wysiłków nie udało.

— A jednak patrz moje dziecię! — ciągnął po dłuższym przestanku komedjant dalej. — Korzystając z jej, słabością spowodowanego rozdrażnienia, nakłonili ją moi nieprzyjaciele do tego, iż mi swym testamentem najoczywistszą wyrządziła krzywdę... Trzeba ci bowiem wiedzieć, że matka twoja, wychodząc za mąż, miała oprócz Zalesiniec i Józefówki jeszcze trzydzieści tysięcy reńskich gotówką w posagu. Pieniądzy

tych użyłem na urządzenie domu, i na zagospodarowanie Zalesiniec, gdyśmy tam zamieszkali. Była to wtedy straszna rudera gdyśmy się tam sprowadzili. Ani domu, ani gospodarskich budynków, nic, nic!... Od snopka do kołka, od drzwi do kłódki wszystko trzeba było kupić, i nie tylko tam utopiłem całą gotówkę twej matki, ale w dodatku jeszcze bardzo znaczne sumy z majątku mego, z Warszyna wyciągnięte. I nic dziwnego, myślałem że się w Zalesińcach urządzam na długie lata, bo czyż mogłem się spodziewać że tak krótko żyć będziemy razem!?

Stary komedjant przerwał w tem miejscu ponownie swe wynurzenia, jak gdyby przywalony nadmiarem boleści, i wzruszenia.

— Owoż trzeba ci wiedzieć dziecko moje — jął mówić po chwili dalej — że prawo stanowi, iż w razie śmierci jednego z małżonków, pozostający dziedziczy po zmarłym jedną czwartą część majątku, zwłaszcza jeżeli razem mieszkali, i majątek tak jednego jak i drugiego pod wspólnym zostawał zarządem. Jest to rzecz całkiem słuszną, bo w razie, gdy majątek jednej i drugiej strony znajduje się pod tym samym zarządem, łatwo się zdarzyć może, iż z jednego majątku na drugi przeniesione zostaną pewne sumy, pewne remanenta, pewne dochody, tak jak to ja właśnie uczyniłem, wkładając w Zalesińce sumy, które z Warszyna wyciągnąłem. Jakże w takim razie zabezpieczyć inaczej prawa tego, który sobie w sposób podobny postąpi, jeżeli nie w tej formie, że mu

się przyzna prawo do pewnej części spadku, któraby mu zwrot włożonych funduszów, zapłatę zresztą wniesionej pracy zapewniła? Czy słusznie?..

— Słusznie — odparło Niby machinalnie.

— Tymczasem matka twoja wzięwszy asumpt z tego, iż wychodząc za mąż miała trzydzieści tysięcy w gotówce, a zapomniawszy najzupełniej, że gotówkę tę na zagospodarowanie Zalesiniec użyłem, przekazała mi tę sumę testamentem swym w spuściźnie, utrzymując że pieniądze te zużyte zostały na spłatę długów Warszyna, podczas gdy ja przeciwnie Warszyn obciążylem, ażeby w Zalesiniecach zaprowadzić porządek. Czy rozumiesz jak dalece w ten sposób pokrzywdzony zostałem?

— Hozumiem — odpowiedziało Niby głosem szkolnego żaka.

— Przeciw temu rozporządzeniu twej matki mogłem zaprotestować, i byłbym niezawodnie obalił cały testament bez najmniejszej trudności. Nie uczyniłem tego szanując wolę nieboszczki. Pamięć jej nadto mi była drogą, abym występował przeciw rozporządzeniom, które mnie pokrzywdziły w mych prawach. Za nadto ją kochałem, abym się sprzeciwiał jej woli, choć wiedziałem, że postanowienia te powzięła pod wpływem słabości, i podszeptów nienawistnych mi ludzi... Nie zaprotestowałem, ale też i zrujnowany zostałem najzupełniej. Obciążywszy Warszyn sumami, które w Zalesiniec włożyłem, nie mogłem już przyjść do równowagi. Czas jakiś walczy-

łem — wreszcie musiałem się wyzuć z majątku. Pozostały mi w dodatku długi, znaczne długi, których jakkolwiek ciężko pracuję, i dużo zarabiam, spłacić nie zdołałem do tej chwili. Zaledwie mogę opłacić z zysków moich procenty; — zaledwie mogę skłonić mych wierzycieli do czekania... Tu urywam, a tam znowu sztukuję, utrzymując cały ten ciężar tem jeno, że mam kredyt jeszcze, a kredyt mój stoi tem, iż moi wierzyciele sądzą, że doszedłszy do pełnoletności wypłacisz mi to, co w Zalesińce włożyłem... Ja utrzymuję ich ciągle w tem mniemaniu, licząc zawsze na to, iż pracując tak gorzko, jak pracuję, potrafię zapłacić me długi w przeciągu kilku lat.. Jakiś rok dla szlachty lepszy, jakiś interes większy. jakieś w danym razie kolejowe przedsiębiorstwo, i wszystko uratowane! Ale możliwe byłoby to tylko wtedy, gdybym nie stracił kredytu...

— A dlaczegoż by Papa miał khedyt sthacić? — zapytało Niby patrząc na ojca dowcipnym wzrokiem zgotowanego karpia.

-- Dziecko! — odparł stary komedjant z boleśnym uśmiechem. — Czyż nie *pojmujesz, że kredyt mój stoi na urojeniu? że w tym samym dniu, w którym bym cię ogłosił pełnoletnim, zlecieli by się jak głodne kruki wszyscy moi wierzyciele, żądając zwrotu swych pieniędzy? że mnie wtedy nieodzownie czeka bankructwo, i co gorzej hańba? że musiałbym sobie chyba w łeb strzelić, aby uniknąć wstydu?... Ba, gdyby jeszcze śmierć starła hańbę, to mniejsza o to,

nie wahałbym się i chwili życie poświęcić dla twego szczęścia!... Ale czyż krew zmyje w tym razie zakłąę?... Czyż nie powiedzą moi wierzycciele, że ich oszukałem? że wyludziłem im pieniądze, przyrzekając, że naprawisz krzywdę wyrządzoną mi przez twoją matkę, i zapłacisz moje długi?... I czyż jest jakie możliwe wyjście z tego położenia, któreście stworzyli, dawniej twoja matka, a teraz ty twojemi wybrykami?... Czy mimo najszczerzej chęci mogę cię uznać pełnoletnim? Czyż z konieczności, chcąc cię ratować, a nie gubić siebie, nie jestem zmuszonym ogłosić cię lękkomyślnym marnotrawcą, i postawić cię pod kuratelą, jak się tego domaga rodzina?...

— Ależ Papciu, Papciu kochany! — zawołał rozczulając się paniczyk — ja zapłacę długi Papine! Ja wszystko zapłacę! ja nie chcę, żeby Papcia przemennie ciehpiął!... Ja nie chcę, żeby Papcia był zhańbionym!

— Drogie, kochane dziecie! — odparł stary wyga, przyciskając syna do piersi. — Ja wiem żeś szlachetny!... Ja wiem, że mnie kochasz, lecz czyż mogę żądać od ciebie takiej ofiary?... Jam nigdy na to nie liczył, jam chciał własną pracą zaspokoić mych wierzyccieli... Matka twoja, ta święta osoba, ten anioł kochany, ulegając irytacji i wpływowi intrygantów mimowolnie z pewnością skrzywdziła mnie!... Mimo to nie chciałem sprzeciwiać się jej rozporządzeniom;.. wola jej była dla mnie świętą!... Jakże mogę dziś zrywać z tą myślą, która mi była przewodnim kom-

pasem przez całe życie?... Jak mogę wymagać teraz od ciebie, byś się poświęcał?...

— Ależ Papciu! I ja nie chcę, ażebyś ty się dla mnie poświęcał!... Jeżeli mama zbłądziła, to moim obowiązkiem jest błąd jej naphawić... Jam to winien jej pamięci!... Ja nie chcę korzystać z jej błędu! Ja chcę zapłacić wszystkie twoje długi, tem bahdziej, że one powstały skutkiem mimowolnego błędu Mamy... Ja chcę je wszystkie zapłacić, i to jak najspieszniej!... Ogłoś mnie Papciu pełnoletnim, a wszystko zapłacę...

— Mój Fredziu drogi, moje jedyne dzieecko!... Niechciałbym korzystać z twego chwilowego uniesienia, któregobys później mógł żalować może...

— Nie, nigdy, nigdy!... Ja nie chcę abyś ty ciehpiął z mojej przyczyny.. Ja chcę naphawić błąd Mamy!...

— Ależ tu znaczna suma!... To... sześćdziesiąt tysięcy!

— I cóż z tego?... Wszak jest tam dosyć kapitału... Choćby wszystko co tam jest... miało pójść... uhu hu! — wołało coraz bardziej się rozczulając nasze biedne Niby — Mniejsza o to... uhu hu! — Ja nie chcę Papciu twej krzywdy... Ja bym tej myśli nie przeżył... uhu hu!... Jabym się zastrzelił... tak, tak, tak!.. zastrzelił uhu hu!...

— No, nie płacz, nie płacz moje ty drogie, kochane, szlachetne dziecię, bo i mnie aż do płaczu rozczulasz... uhu hu!... Patrz, i ja płacę... uhu hu!... ale ze szczęścia, ze szczęścia uhu hu!... Smiejmy się ra-

czaj, uhu, hu!... No, no, nie rozpaczaj, nie płacz! Otrzej oczy!... Popatrz jak mnie rozczuliłeś! Mój kochany, drogi, jedyny Fredziu!... Zobaczysz, wszystko będzie dobrze... Toto, Henio i Lunio wrócą do ciebie sami!... Świat zapomni o twoich wybrykach!... Trzeba tylko byś mu się na czas jakiś z oczu usunął.. Potrzeba abyś wyjechał ze Lwowa, ale przede wszystkim potrzeba uporządkować interesa, i zapłacić długi...

— Ach! — westchnął paniczyk któremu natarczywość jego wieczycieli wielce dolegała.

— Bogu dzięki! — ciągnął dalej stary bałagula mam w tej chwili trochę pieniędzy. — Mogę więc być chwilowo twoim bankierem... Wieleż masz długów? pilniejszych długów, nie lichwiarskich, takich które zaraz zapłacić potrzeba?

— Około trzech tysięcy.

— Bagatela!... A komużeś winien?...

— Hachunek w hotelu, fhyzjehowi, khawcowi, w sklepie naprzeciwko...

— No mniejsza o to!... Rachunki te popłacę, to już moja rzecz!...: zapłacimy wszystko jutro, bo teraz muszę pójść do adwokata, ażeby zrobił podanie do do sądu o pełnoletność.

— Kochany dhogi papciu! — zawołało Niby ściskając ojca namiętnie.

— Ale, ale! — zapytał stary wyga, wrywając się z objęć młodzieńca. — Kiedy mam już być twoim bankierem, to powiedz że mi, czy masz pieniądze.

— Nie mam!...

— Masz więc tutaj dwieście guldenów!... To dla ciebie na życie i zakupno tego, co ci będzie potrzebem do podróży... Więcej ci dać nie mogę na razie, a więc szanuj!

— Dobrze papciu!

— A teraz bądź zdrow, i nie rozpaczaj!... Skoro załatwię sprawę z adwokatem, wrócę do ciebie... Pójdziemy razem na objad... Do widzenia!

— Do widzenia!

I uściskawszy syna raz jeszcze, wybiegł Papa-Machiavel, ukrywając uśmiech złośliwy.

— Boże, dzięki ci! — zawołał paniczek rzucając się na kanapę.

— *Le jeu est fait!* — szepnął wesoło stary wyga, zamykając drzwi za sobą.

§. 31. Niech jedzie na wieś!

Stary bałagula zajął się gorliwie uporządkowaniem finansów swojego syna. Długi w hotelu, w sklepie, u fryzjera, i u krawca zostały zaraz nazajutrz w obecności mojego pana zapłacone, i zaraz nazajutrz wniósł adwokat Rabalińskiego do sądu podanie o przyznanie pełnoletności naszemu paniczekowi. U-szczęśliwione Niby nie posiadało się z radości, i ścisnęło i całowało ojca bez ustanku, nie mogąc znaleźć słów dosyć wymownych, ażeby mu wyrazić swą wdzięczność za tyle łaski, troskliwości, i trudu.

W istocie zdawał się stary wyga łaskawym i pobłażliwym nad wszelkie wyrazy. Załatwienie formalności przy wniesieniu podania niezbędnych, wymagało wiele zachodu i bieganiny. Gorliwy ojciec krzątał się, biegał, gardłował, nie szczędząc trudu, i nie tracąc humoru pomimo zmęczenia. Na wszystkie te wycieczki brał stary bałagula z sobą swego syna, nie odstępując go oprócz tego ani na krok przez dzień cały, — jedząc razem z nim w hotelu, wyciągając go wieczorem na odludne przechadzki, i w ogóle spędzając w jego towarzystwie każdą chwilę od wczesnego paranku, aż do późnej nocy. — Zdawało się, że wszystkie myśli Papy-Machiavella zwracają się jedynie ku temu, ażeby jak najspieszniej i jak najskuteczniej pomódz synowi, — rozerwnąć go, roztargnąć w swem towarzystwie i niedozwolić mu aby się smutkowi poddawał.

Pod tą obłudną maską troskliwości i gorliwej opieki ukrywał stary komedjant rozdrażnienie szulera, śledzącego z gorączkowym zajęciem obrotu gałki puszczonej w ruletce przez krupiera. Gałką taką był w oczach tego parasolistego intryganta w tej chwili własny jego syn, którego nieświadomość, dobroduszość i wdzięczność miały mu otworzyć dawno pożądaną przystęp do źródeł Paktolu. Chodziło mu więc o to, ażeby gałka ta, intrygami jego w bieg puszczonej, nie zbcoczyła z drogi i padła istotnie na liczbę, którą upatrzył; — chodziło mu o to, ażeby nasze przezeń oszołomione Niby, nie spotkało nikogo, którego wpływ

mógłby pokrzyżować jego zamiary, i oto właśnie powód dlaczego Papa-Machiawell nie spuszczał z oczu swojego syna.

Toteż było pytanie, co dalej czynić należy, powodem niemałego kłopotu dla szczwanego intryganta. Z jednej strony pragnął syna bądź co bądź wydalić z stolicy, czując że nie sposób go będzie długo utrzymać w mniemaniu, iż go świat cały potępia. „Prędzej czy później — tak rozumował stary bałagula — spotka go ktoś z jego znajomych koniecznie; — znajomy ten gotów mu oczy otworzyć, że położenie jego nie jest tak bardzo rozpaczliwem, jak mu się wydaje, a tem samem, że opieka moja nie jest dlań tak wielkiem szezęściem, zwłaszcza jeżeli opiekę tę tak grubą trzeba opłacić ofiarą.“ Z drugiej strony troską go napełniała myśl, że wydalając z stolicy oszołomionego scyzoryka, z oczu straci ową kureę, która mu znieść miała złote jajo. Znając dobroduszość i szczerłość swego syna, obawiał się, ażeby nasz paniczyk nie wypowiedał przed pierwszym lepszym nieznanym kłopotów swoich i nadziei, tudzież ażeby powiernik ten nie pokrzyżował zręcznie rozsnutej intrygi.

Z tych trosk wybawił starego bałagulę list pani Chrzanowskiej. Odpowiadając na pismo mojego pana, zapraszała go Julcina matka do Podlipiec, zapewniając go, że górskie powietrze niebawem go wyleczy z tego spleenu, na który się uskarża. Dom pani Chrzanowskiej był właśnie takim ustroniem, do którego wysłać mógł stary bałagula syna swojego bez obawy.

Oprócz miejscowego proboszcza i kilku starych sąsiadów, żyjących po części jeno wspomnieniem minionych czasów, nie bywał nikt w domu wdowy. Stary bałaguła wiedział więc o tem dobrze, iż w tym świecie, pojmującym życie nadto poważnie, aby się zajmować sprawami nieznanym ludzi, nie tak łatwo będzie mogło młode nasze Niby znaleźć powiernika. Jedną tylko panią Chrzanowską, jako przyjaciółkę matki naszego panicza mogły obchodzić jego losy. Przypomniawszy więc synowi, że Julcina matka była obecną przy śmierci pani Rabalińskiej, i wpłynęła na jej testamentowe rozporządzenia, które — zdaniem naszego bałaguły w tak wysokim stopniu go pokrzywdziły, wyprawił Papa-Machiawell nie bez pewnego niepokoju syna swego do Podlipiec, nie zaniebawszy jednak wprzód zażądać odeń słowa honoru, by o zamierzonym przyznaniu mu pełnoletności, o jego powodach, warunkach, i w ogóle o wszystkich tej sprawy dotyczących szczegółach żadnej nie uczynił wzmianki.

§. 32. W wiejskiem zaciszu.

Młody pan mój zabrał mię z sobą w drogę; z czego rad byłem wielce, niezmiernie będąc ciekawym, jaki też wpływ na losy naszego panicza wywrze podróż do Podlipiec. Miałem w tej mierze najlepsze przecucie. Jakkolwiek nieznałem bliżej pani

Chrzanowskiej i jej córki, widziawszy je tylko w przelocie przed Angielskim Hotelem, w onym dniu, gdy rozpocząłem mą parasolistą służbę, a pan mój w towarzystwie Budrysów święcił pierwsze swe tryumfy, to jednakże powziąłem o sympatycznych wieśniaczkach najlepsze mniemanie. Nie wątpiłem też że pobyt w towarzystwie ich uzdrowi nasze biedne Niby, dla którego pomimo licznych jego wad, miałem serdeczne współczucie. W istocie chłopak ten nie był złym, lecz tylko odurzonym onym narkotycznym powietrzem, którego miazmatami oddechać mu wypadło. Był on jak wszystkie słabe charaktery nadzwyczaj czułym na wpływy swego otoczenia. Głowa nie tęga, lecz serce w gruncie rzeczy poczciwe. Pobyt w skromnem wiejskiem zaciszu, zdala od zgiełku kipiącego na bruku lwowskim niby-życia, i towarzystwo ludzi pojmujących poważnie przeznaczenie człowieka, mogły go więc uleczyć, i nastroić umysł jego do szlachetniejszego kamertonu.

Usposobienie które objawił zaraz u wstępu podróży, utwierdziło moje przeczucia. Zdawało się, że innym jest człowiekiem, i że od chwili, gdy wsiadł do wagonu zrzucił z siebie zwykłą powłokę. Dawna sztywność jego i pretensjonalność znikły gdzie zupełnie. Wesół jak student, gdy jedzie na wakacje, uprzejmy dla swych towarzyszków podróży, rozmowny, zwłókł z siebie ów futerał nieprzemakalny, ów krochmalny pancerz, w którym zwykł się być zasklepiac poprzednio. Słowem jak na skinięcie czarnoksiężkiej

laski przemienił się nasz paniczyk w innego człowieka, a nazwisko Niby, którem go dotychczas nazywałem, utraciło całe swe usprawiedliwienie. Na stacji gdzieśmy wysiedli nie było fiakra. Nie troszcząc się tem wcale, jak to wyglądać będzie, wsiadł panicz nasz na prosty wóz chłopski, zaścielony słomą, przykrywszy takową podróżnym swym *plaidem*. Staś, którego obok siebie umieścił, nie chciał wierzyć swoim oczom, widząc jak mało pan jego robi ambarasów. W siedzeniu pod słomą umieszczono pakunki; strzelbę którą pan mój kupił w przededniu wyjazdu, wziął Staś pod swoją opiekę, i ruszyliśmy w drogę do odległych o mil trzy Podlipiec.

Podróż nie była wcale wygodną. Droga była wprawdzie dobrą, jak niemal wszędzie na podgórzu, ale częste i przykre bardzo pagórki czyniły ją ciężką dla trawą jeno karmionych lichych szkap, które, podnosząc tumany kurzu, ruszyły wpradzie ostro z miejsca, lecz niebawem poczęły ustawać. Co chwile psuło się coś w parcianej uprzęży, i co chwila trzeba było coś naprawiać. Zwłoki te nie niecierpliwiły jednak mojego pana, który mimo to nie tracił dobrego humoru. Zasłoniwszy się przed słonecznym skwarem cieniem mych skrzydeł, wysiadał często, ażeby ulżyć zadyuszonym chabetóm, i szedł obok wozu wodząc okiem po łąkach, falujących żytem i jęczmieniem.

Dzień był pogodny i wesoły; jeden z tych pięknych letnich dni, w których cała przyroda zdaje się uśmiechać wdziękiem dojrzałej kobiety. Ponad cha-

tami podgórskich wiosek, unosił się błękitny dym kominów, snując się tak jak tkanka pajęczna po konarach starych lip i rumieniących się owocem gruszach i jabłoniach. Nad wodami tu i ówdzie śniły szare wierzby, chwiejąc listki swe wysrebrzone pyłem w powiewach podgórskiego wiatru. Z pól brzmiały wesołe piosnki świerszczów polnych; tu i ówdzie odzywał się derkacz z łąki po której poważnie kroczyły bociany. Skowronki grały w obłokach, a gdzieś z głębi jarów, z po za firanek wierzb dolatywał ucha szum młynówki i turkot niezmordowanych młynów. Wszystko to spływało się w jakąś dziwnie uroczą symfonję, która zdawała się wnikać wszystkiemi porami w organizm naszego panicza, i napawać duszę jego błogością bez granic.

Po kilkogodzinnej jeździe dotarliśmy wreszcie do podlipieckich kopców, i panicz nasz odetchnął radośnie, ujrawszy wynurzającą się z po za pagórka kopułę podlipieckiej cerkwi. Ulisses powracający do swej Ithaki nie czuł się na widok błękitnych jej dymów szczęśliwszym od niego, w chwili gdy się przed jego oczyma roztoczył, krajobraz dobrze mu znany tej wioski, kędy spędził tak wesoło dziecinne swe lata. Zdawało mu się, że góry, drzewa i chaty biegną naprzeciw niego, witając go życzliwie jak dawne znajome. Okiem wodząc w koło rozpoznawał przedmioty do których się wiązało tysiąc wspomnień z onego czasu którego dzieje tak żywo tkwiły w jego pamięci.

Serce w piersi mojego pana uderzyło żywszem tętnem w chwili, gdy się wóz nasz wtoczył w cieniłą topolową ulicę, której długą perspektywę zamykał dwór biały, uśmiechnięty w złotem słońcu na tle zieleni. Leciuchny wietrzyk wionął od gór, i poruszając liśćmi zaszumiał w konarach.

— Panicz jedzie! panicz jedzie! — zdawały się szeptać topole, podając radosną nowinę gościnnemu dworowi, którego dach wysoki srebrzył się śniegiem gołębi.

— Jak się masz Fredziu! jak się masz! — zdawał się mówić dwór swoim wesołym uśmiechem. — Gdzieżeś to bywał tyle lat? Ztęskniłem się już za tobą, i rad jestem wielce, że wreszcie do mnie powracasz.

Ponad dworem i ponad kurtyną starych drzew ogrodowego szpaleru, na lewo zarysował się na tle pogodnego nieba kontur góry, na której panicz nasz siadywał tylekroć z Juleczką przed laty, patrząc na błękitne dymy wioski rozłożonej w kotlinie, na kwitnące po sadach jabłonie, na stare wierzby dumające nad brzegiem strumienia; — owej góry którą widział przed kilku dniami we śnie, gdy przygnębiony kłopotami, zasnął stroskany, powróciwszy do domu z swej rozdobędy. Na widok ten przypomniał sobie pan mój ów dziwny sen, owych olbrzymich kogutów, które go ścigały, czyhając na jego zgubę, a które miały twarze Amandy, Piesi, Eisiga i Budrysów. Nie, nie! teraz go już nie dosięgną te drapieżne ptaki.

Szczęśliwy dobija wreszcie do bezpiecznego portu. Perłowy głos Juleczki zażegna te potwory. Bez trwogi będzie mógł spocząć pod jej opieką!

Minąwszy Bożą mękę i gościnnie rozwartą bramę, wjechaliśmy nareszcie na obszerny klombami róż, bżów i jaśminu obsadzony dziedziniec białego dworu. Na ławeczce przed gankiem siedział kurząc krótką fajeczkę siwy jak gołąb staruszek, który na odgłos turkotu naszego wozu, zerwał się słuźbiście jak gdyby poruszon sprężyną, i przyłożywszy rękę do oczu, aby się przed słońca blaskiem zasłonić, pilnie się jał przypatrywać naszym szkapkom, siłąc się napróżno rozpoznać kogo też Pan Bóg prowadzi. Był to stary kredencierz Jacenty, dawny ordynans pana Chrzanowskiego, z którym za młodych lat obzedł szmat kraju, wojując po świecie hen, hen, za siódmą górą i za siódmą rzeką. Pomimo lat podeszłych i licznych blizn, trzymał się krzepko jeszcze staruszek, zachowawszy swą dawną żołnierską sztywność, lecz zarazem i właściwą żołnierzom szczerłość i prostotę. Pani domu lubiła wielce starego wiarusa, który raczej przyjacielem był aniżeli sługą, i nieraz sobie pozwalał zrzedzić, objawiając przy każdej sposobności swoje zdanie, i ganiąc otwarcie, co mu się niepodobalo.

Pan mój poznał zaraz na pierwszy rzut oka białego staruszka, który przed siedmiu laty niejednokrotnie towarzyszył mu na przechadzkach, wprawiając młodego panicza do konia i strzelby, i opowiadając

mu swe wojenne przygody. Z swej strony lubił stary ułan małego studenta, który chętnym się okazywał do rycerskiej zabawy, a tak chciwie słuchał opowiadań wiarusa, i nie zapomniał nigdy zaopatrzyć tytoniem jego fajeczki.

— Jacusiu! Jacusiu! — zawołał radośnie panicz zeskakując z woza, i rzucając się w objęcia starego sługi.

— Wszelki duch! — odparł śmiejąc się starszek z mazurska — a dyć to nasz panicz, pan Fredzio! ha, ha, ha!... Mój Boże jak ci to też wyrosło, nawet już i wąsik się sieje ho, ho!... Wielmożny Pan daruje; ot człowiek stary! Zdawało się że to wczoraj Pan wyjechał, i że to zawsze panicz jeszcze, a to już całą gębą osoba ha, ha, ha!... My tu na wsi żyjemy cicho i spokojnie, to i zdaje nam się, że się nic nie zmienia, i że wszystko tak jak było. A tu woda płynie i lata płyną... Wszystko rośnie ha, ha, ha! a człowiekowi — formuj się od prawego, dwójkami w lewo! coraz bliżej do grobu.

— Co też ty pleciesz Jacusiu!... Wyglądasz jak hydż, a czechstwy jesteś jak dąb!...

— Już ja tam wiem najlepiej jak jest, i że niezadługo trąbka zadzwoni ha, ha, ha!... No cóż robić, trzeba czekać komendy, aż powiedzą marsz, to wtedy nogi za pas i dalej za ordynansem ha, ha, ha!... Ale akurat mi się dzisiaj śniło, że kowal bił kowalkę.. Więc powiadam do klucznicy: Pani Szatkowska, zobaczysz pani, że się goście przybijają... No i właśnie

przybił się Pan do nas ha, ha, ha!... Toż to nasze Panie będą kontente... Biegnę, lecę im to oświadczyć...

— Nie, nie, nie, Jacusiu! czekaj! Pójdziemy hazem!... Chciałbym im zhobić niespodziankę; ciekawy jestem czy mnie poznają?... Tylko chciałbym się piehwej thochę oczyścić...

— Zaraz, zaraz!... Ja Wielmożnego Pana sam oczyszczę... Michałku, szczotki miotelki!... Raz, dwa, żywo, żywo!... Czegoż się tak guzdrasz do kroćset milionów bataljonów!.. Dawaj tutaj... Ja sam! ja sam!.. ha, ha, ha!...

I rzeski jak młody chłopak, jał stary wiarus czyścić suknie mojego pana, śmiejąc się i opowiadając mu o zmianach, które zaszły w domu podczas gdy Staś znosił rzeczy do gościnnego pokoju.

— Wielmożny pan nie wie — prawil wesoło. — Nasza panienka, to tak wyrosła strach; powiadam panu jak topolka. A jaka ci nieuroku piękna, jak obraz, a jaka mądra, gwałtu!... Tylko za nadto dobra, ja zawsze powiadam, ze zanadto dobra, czysta Pani nasza!... Bo proszę Wielmożnego Pana, na co to się przydało uczyć chłopskie dzieci, i męczyć się cały dzień?... A czy to może jest u chłopa wdzięczność na świecie?... Ot zwyczajnie gadzina!.. Michałku przynieś no wody na miednicy, i powiedz służącemu Wielmożnego Pana, ażeby podał mydło, ręcznik, szczotkę i grzebień, Wielmożny Pan tutaj będzie się mył, w pokoju nieboszczyka pana.

— Dobrze, dobrze! gdzie zechcesz Jacusiu!...

— Więc jak powiadam — ciągnął dalej stary gaduła — ja zawsze perswaduję i Pani i panience, że to się na nic nie przydało męczyć się z tymi chłopskimi bębniami... Ale cóż zrobić z panienką, kiedy strasznie uparta; czysty nieboszczyk pan ha, ha, ha!... Jak sobie co bywało powiedział, to żeby tam pioruny były, musiał dokonać. Tak i nasza panienka!... ha, ha, ha!... Jak sobie powiedziała, że będzie uczyć chłopskie dzieci, to zima czy lato, mróz czy spieka, cały dzień siedzi w tej szkole, i męczy się biedactwo, że aż się serce kraje... Ale coż poradzić z uporem? Ot rodem kurki czubate!... Ja zawsze mówię do klucznicy: Pani Szatkowska! Nasza panienka to wykapany nasz nieboszczyk pan!...

— A gdzież jest ta szkoła? — zapytał paniczek.

— Ha gdzież proszę Wielmożnego Pana. W lecie w starej pasiece, pod lipami, a w zimie, to taki tu, w gościnnych pokojach, bo te szelmy chłopcy nie chcą szkoły budować i płacić pryfesora... Więc jak powiadam sprowadza panienka ich bębnow aż tu do dworu... A nie dość ci że ich uczy, ale im jeszcze książki kupuje, ba nawet ci w dodatku płaci jeszcze rodzicom za to, że pozwalają aby ich dzieci uczyła!... Ot pańska fantazja, ha, ha, ha!...

— A gdzież jest Pani? czy także w szkole?...

— A Pani także chodzi do szkoły, ale tylko raz w tydzień na egzamin. Dziś właśnie będzie także pod lipami z koronką... Ot zwyczajnie chodzi

tam biedactwo, ażeby córce dogodzić... Ale gdzie jej tam w głowie abecadło?... Siedzi i niby to słucha, a tymczasem modli się na paciorkach za duszę nieboszczyka... No teraz już Wielmożny Pan czysty, że chociażby na Saski plac!... To możemy już pójść do pań; bo i mnie już korci zobaczyć ich uciechę...

— Dziękuję ci kochany Jacusiu, żeś się chciał trudzić moją toaletą!

— Nie ma za co Wielmożny Panie!... Ot zdawało mi się że wyprawiam na paradę nieboszczyka.

§. 33. Po siedmioletniej rozłące.

I poszli razem do ogrodu gwarząc. W starej pasiece, zkąd już przeniesiono ule w inne miejsce, była akademia Juleczki. Tam pod cieniem lip, na świeżem powietrzu siedziały wiejskie chłopcy i dziewczęta, zajmując się pod przewodnictwem Julki badaniem tajemnic ruskiego i polskiego abecadła. Niektórzy z uczniów stawiali na seksternach bezkształtne kulasy, starając się naśladować głoski, które młoda nauczycielka nakreśliła na tablicy. W osobnym oddziale zajmowały się starsze uczennice haftem i szyciem, przysłuchując się wykładowi. Całą szkołę dozorowała Julka, nie spuszczając żadnego z uczniów swoich z oka, i spiesząc z radą i nauką, gdzie tego było potrzeba. Dzieci były schludnie ubrane, uczesane i umyte, a pełne ochoty do nauki. Słowem

przedstawiała szkoła pomimo swego dosyć prymitywnego urządzenia, widok nadzwyczaj przyjemny, i najlepszą napełniający otuchą. Czuć było we wszystkim ofiarność, i gorącą miłość ludu, połączoną z owym angielskim *self-help*, z owym zmysłem samopomocy, którego tak dotkliwy brak czuć się daje wszędzie, w zarażonej administratywizmem Galicji.

Mijając furtkę starej pasieki, spostrzegł pan mój Juleczkę, i uderzony czarodziejskim jej powabem, zatrzymał kroku, wpatrując się w nią tak jak w obraz łaskawy. Uśmiechając się patrzył stary Jacuś na niemy zachwyty swego towarzysza.

— A co? czy nie mówiłem? — zdawały się mówić jego oczy.

Julja miała wzrost i kształty owych klasycznych Greczynek, których wdzięki uwieczniali Fidiasz i Praksyteles w różowym paryjskim marmurze. Skromna perkalowa sukienka spięta w pasie różową wstęgą uwydatniała jej gors, pełny słodkich pokus i obietnic. Obcisła szata układała się za każdym ruchem młodej nauczycielki w fałdy pełne wdzięku, zaznaczając pełność kształtów zdradzających młodość bujną, wiejską swobodę i prostotę. Ryzowa pasterka ozdobiona bukietem pełnego kwiecia ocieniała klasyczny owal jej twarzy, na której krew ciepła, zdrowa i szlachetna świeżym się malowała rumieńcem. Bogate zwoje obfitego płowego włosa obciążały kształtną jej główkę. Atoli brzemię to nie zdawało się ciężać jej, ani też krępować swobody jej ruchów. Lekka,

zwinna, szykowna, pełna zdrowia i siły, kroczyła od stolika do stolika, od ławki do ławki tak jak wesółka nad brzegiem stawu, wcale nie podobna do miejskich piękności, których krew zatręła gorączka uciech i zabawy, a zdrowie strawiło duszne powietrze stołecznych bruków.

Nasyciwszy się uroczym widokiem tej górskiej rusałki postąpił pan mój naprzód, a szelest kroków jego na wysypanej zwirom ulicy, zwrócił uwagę młodej nauczycielki. Poznawszy towarzysza swych lat dziecinnych wyciągnęła doń ramiona uprzejmie:

— Fredziu!...

— Juleczko!...

I młoda para rzuciła się sobie w objęcia, zapomniawszy w wzruszeniu, że już minęły dziecinnie lata, że Fredzio stał się już panem Alfredem, a Juleczka panną Julją, i że w tych zmienionych warunkach nie koniecznie stosowną jest wedle zapatrywań świata taka serdeczność i prostota.

§. 34. Dwa serca a jedno bicie.

Atoli za ledwie zetknęły się usta ich w niewinnym pocałunku, a już przerażeni odskoczyli, jak dzieci igrające z cackiem kryjącem w sobie jakąś niespodziankę, a przestraszone nagłym objawem nieznannej tajemnicy mieszczącej się w jego łonie. Gorący rumieniec wstydu oblał im lica, i spuścili oczy nie

mogąc sobie sprawy zdać z dziwnego uczucia, które wstrząsnęło ich łonem. Juleczka pierwsza odzyskała przytomność i swobodę.

— Ach, pan tutaj, panie Alfredzie! — rzekła wesoło. — Bądź że Pan serdecznie powitany!.. Nie spodziewaliśmy się pana tak rychło!.. Jakaż to miła niespodzianka!..

— Mamo, mameczko! Goście przyjechali, goście! — zawołała, zwracając się ku szpalerowi, gdzie się przechadzała pani Chrzanowska, odmawiając korónekę.

— Niech mamusia zgadnie kto przyjechał!

— Któż taki moje dziecię? — ozwał się w pobliżu głos staruszki.

— Niech mama zgadnie:

— Książd proboszcz!

— Brawo! Zgadła mameczka! — odparła śmiejąc się figlarnie, i nakazując panu memu paluszkiem milczenie. — Niechże mamcia przyjdzie powitać!

— Idę już, idę mój aniołku.

I na skrócie lipowego szpaleru ukazała się czerstwa jeszcze staruszka, spiesząca ociężałym nieco krokiem na powitanie zapowiedzianego gościa. Na twarzy jej pergaminowo-bladej, lecz pełnej wyrazu słodyczy, nie zatarły lata i cierpienia śladów dawnej piękności. Postać jej wiekiem nieco przygarbiona lecz wyniosła i pełna arystokratycznej dystynkcji, znamionowała panią wielkiego świata. Głowę jej okalał czarny koronkowy czepeczek, z pod którego wzdłuż skroni spływał śnieżno-biały, lecz nadzwyczaj

bujny włos, gładko przyczesany według mody dawniejszych lat. Strój jej uzupełniał czarny wełniany szlafroczek, i koronkami obszyta wełniana mantyla tejże samej barwy; — od czasu śmierci męża bowiem. nie zrzuciła pani Chrzanowska żałoby. W tym skromnym ubiorze, i z tym wyrazem łagodności i powagi na twarzy, przypominała Julcina matka owe polskie matrony, które z prostotą i łagodnością zakonnicy, umiały łączyć wykwintność i majestat królowej, a których portrety spotyka się jeszcze tu i ówdzie w starych szlacheckich dworach.

Młody pan mój pospieszył na przywitanie staruszki.

— Jak się masz Fredziu! jak się masz! — zawołała wdowa radośnie, całując młodzieńca w czoło, i głaszcząc go ręką po twarzy. — Jakże mi ślicznie wyrosłeś!... Widziałyśmy cię we Lwowie, ale tylko w przelocie, przed Angielskim Hotelem.. Pokaż że mi się, niech ci się przypatrzę!... Ależ to już mężczyzna; już i faworyty są!... A oczy całkiem podobne do oczu Salusi!... Jakże mnie cieszy, że ciebie widzę!... To mi przypomina moich synów... Najmłodszy mój, Kostus, gdyby żył, byłby teraz takim, jakim ty jesteś! Ha, Bóg dał, Bóg wziął! Niechaj Święte imię Jego chwałonem będzie — dodała z westchnieniem.

— No i cóż tam słyhać? — jęła znowu mówić po chwili. — Zdrów jesteś? O to cię nawet pytać nie potrzebuję moje dziecko, bo wyglądasz mi jak krew z mlekiem... Tyle lat cię nie widziałam!.. Zapewne

głodny jesteś?... Jacuś dajże czempredzej Panu śniadanie!...

— Dziękuję sehdecznie! — odparł pan mój. — Wcale mi się jeść nie chce! Takim szczęśliwy w tej chwili...

— Poczciwe drogie dziecko moje!... Ale to nie uchodzi... Musiałeś się zmęczyć podróżą, to i posiłek jest koniecznym... Do obiadu jeszcze daleko!... Chodź, chodź! Zaraz cię ugościmy!...

I oparłszy rękę na ramieniu młodzieńca pociągnęła go ku dworowi.

— A ty Juleczko, nie pójdziesz z nami? — zapytała, zwracając się nagle po kilku krokach do córki. — Ej, chodź, chodź!... Nagrodzisz to dzieciom innym razem!

— Za pół godzinki przyjdę! — odparła młoda nauczycielka, patrząc na zegarek. — Jeszcze tylko pół godziny tu pozostać muszę!...

— Ależ chodź nudziarko! — Kto widział być taką pedantką!...

— Nie mateczko! To obowiązek, a obowiązek jest świętym — rzekła Juleczka, rumieniając się, i spuszczając oczy.

— *Il faut prêcher d'exemple!* — dodała po francuzku tłumacząc swe nieposłuszeństwo.

— No, zostań-że kiedyś taka uparta — odparła śmiejąc się pani Chrzanowska — Tylko pamiętaj mój ty apostołe, że nam tam smutno będzie bez ciebie.

I rozmawiając wesoło z swym gościem poprowadziła go wdowa do jadalnego pokoju, gdzie niebawem stary Jacenty podał wódkę, i kilka talerzy przekąsek. Na widok smacznego jadła powrócił panu mojemu apetyt, który chwilowo przygłuszyło było wzruszenie. Niewygodna a po części piesza podróż zmęczyła go była wielce i wyczerpała jego siły. Po doznanych trudach domagał się młody organizm jego z zwierzęcą energją pokrzepienia. Z prawdziwie też myśliwskim apetytem zmiatał pan mój wyborne górskie sery i smaczne półgąski. ku wielkiej ucieście pani Chrzastowskiej, która się nie posiadała z radości, że gospodarskie wyroby jej tak do smaku przypadają miejskiemu paniczowi. Stary Jacenty zacierał ręce z zadowoleniem.

— Dalibóg zuch! mruzczał pod nosem. — Zajada mocium panie po ułańsku. Akurat nieboszczyk pan, kiedy powracał z polowania.

Niebawem przybyła Juleczka z pasieki, odesławszy po skończonej nauce do domu ucznie swe i uczennice, i młodzi ludzie poczęli sobie przypominać dzieje z swych „młodych lat“, — wesołe swe wycieczki do ogrodu, i starego Brysia który im w tych wycieczkach towarzyszył, i krnąbrnego osiołka, na którym harcował pan mój ku ucieście swej przyjaciółki, i psoty, które razem urządzali pannie Bellot, i kłopoty poczciwej Francuzki nie mogącej sobie dać rady z swą swawolną uczennicą. Jakież to złote były czasy te lata dziecinnej swobody! Jakież to smaczne były te

maliny które się jadało razem, leżąc na miękkiej murawie pod cieniem drzew! I śmiała się i gwarzyła młoda para wesoło, snując przedzę swych wspomnień, których nie w miarę jak się rozwijała, coraz silniejszym węzłem wiązała z sobą ich dusze. Ani się spostrzegli, że sobie wyznali, iż tęsknili za sobą, że pamięć dawnej przyjaźni nie wygasła w ich sercu. Unosząc się czarem wspomień, zapominali co chwila, że od owych czasów dziecięcej swobody upłynęło już siedm lat, i dawne poufałe „*ty*“ powracało co chwila na ich usta. Na tej miłej gawędzie ubiegł im niespostrzeżenie cały dzień, i dopiero matka musiała Julce przypomnieć, że już czas udać się na spoczynek gościowi, którego niewygodna podróż z pewnością zmęczyć musiała.

W gościnnym pokoju, gdzie stary Jacenty własnoręcznie naszemu bohaterowi wygodne urządził posłanie, czekał już Staś wielce niecierpliwy, aby się przed swym panem wywnętrzyć ze swych spostrzeżeń. Aliści młodzieniec nasz szczęściem swem aż chmurny, okazał się nad spodziewanie swego służącego niechętnym do rozmowy. W uszach mu brzmiał jeszcze srebrny głosik Juleczki, przed oczyma mu stały jej błękitne oczy pełne słodkiego wyrazu, i jej uśmiech taki czarowny, a taki łaskawy. Jakiż dlań urok mogły mieć w tej chwili plotki Stasia, którego idjotyczne uwagi tak go były zwykły bawić w innej chwili? Nie odpowiadając więc na zapytania służącego odprawił go pan mój, ułożywszy się na wygodnej pościeli, ażeby

w samotności podumać o zdarzeniach dzisiejszego dnia, i przetrwać doznane wrażenia.

§. 35. Dwie dusze a jedno życie.

Długo, długo marzył panicz, przesuwając myślą przed oczyma duszy swej widziane w ciągu dnia obrazy, i budząc w umyśle swoim echo słów w ciągu dnia słyszanych, podobny do smakosza, który po dobrym objedzie stara się odczuć raz jeszcze smak wykwintnych potraw podanych do stołu, i przechodzi myślą litanję spożytych darów bożych, łykając ślinkę, i wznawiając doznaną rokosz wspomnieniem. Rozpamiętywanie to napełniało go błogością bez granic. Odczuł raz jeszcze na ustach słodkie uścisk Juleczki, i rokoszny prąd elektryczny, który wstrząsnął jego łonem, w chwili gdy się wargi jego dotknęły jej wargi koralu. — Dla czego ona odskoczyła pod wrażeniem tego całunku. Czyżby i ona doznała tego samego wstrząśnienia? czyżby wstrząśnienie to było dowodem, że w serduszkach wieśniaczki rozwinęło się z biegiem czasu nieświadomie jakieś żywsze uczucie dla towarzysza jej zabaw dziecięcych? Wszak mówiła mu, że tęskniła za nim, że pamięć dawnej przyjaźni nie zgasła w jej sercu. Czyżby prawdą być miało, że przyjaźń ta z latami rozwinęła się w miłość?...

Ale nie, ona go nie kocha! Ona nie chciała

dla jego towarzystwa poświęcić przyjemności tej, którą jej sprawia uczenie chłopskich dzieci. Ona go nie kocha, boć przecie wymówką jeno był wzgląd na dopełnienie przyjętego obowiązku. Cóż to za obowiązek? kto go włożył na jej barki? Podjęła go się dobrowolnie, a więc, gdyby chciała tylko, byłaby go mogła zrzucić dla jego przyjaźni. Ona go nie kocha, nie kocha!... Myśl ta smuciła go i gniewała zarazem. I dziwił się sobie dla czego to go smuci i napełnia żalem. I pytał się sam siebie, czy przyjaźń uprawnia go do takich wymagań, i czy uczucie to nie jest dowodem, że w sercu jego kiełkuje miłość.

I tęskniąc sobie zadawał pytanie

Czy to jest miłość, czyli też kochanie?

i nie mógł znaleźć na to odpowiedzi.

Nazajutrz zbudził się pan mój ze snu w wesołym bardzo usposobieniu. Słońce stało już dość wysoko na niebie, atoli w białym dworze nie widać jeszcze było ruchu ni życia, i wszystko zdawało się spać snem sprawiedliwych. Okna jego pokoju wychodziły na ogród, gdzie rosa nie wypita jeszcze płomiennymi ustami słońca, srebrzyła się na ocienionej lipami murawie. W zielonych swych pałacach grały chóry wesołych ptaków poranne swe koncerty, i żadna chmurka nie ćmiła pogodnego nieba, i żaden wietrzyk nie poruszał liścia starych drzew. Wyskoczywszy z łóżka otworzył okno, i jął się rzeźwić balsamicznem powietrzem i przysłuchiwać się pieśniom powietrznych spiewaków. Niebawem zebrała go ochota użycia prze-

chadzki w ogrodzie. Nie wołając więc Stasia, ubrał się sam z pospiechem, i wyszedł do przedpokoju, by znaną mu dobrze drogą przez jadalnię i pokój bawialny wyjść na werandę prowadzącą pod lipowe szpalery. Tu jednak przekonał się, że pora nie jest wcale tak wczesną, jak sądził. Ścienny zegar w jadalni wskazywał pół do dziewiątej, pokoje były posprzątane, stół do herbaty nakryty, samowar kipiał na kredensie, i stary Jacuś oczekiwał już przybycia pań, które od dawna już były ubrane. Śmiejąc się zapewnił pocziwy ułan naszego paniczyka, że chcąc bez wiedzy pań w Podlipcach użyć porannego spaceru, potrzeba daleko wcześniej wstać, gdyż panienka o siódmej już wydaje gospodarskie dyspozycje.

Niebawem pojawiła się Juleczka, nieco blada, i jak gdyby niesnem znużona, ale mimo to pełna wesołości i swobody! Ubrana była tak samo jak poprzedniego dnia, schludnie ale bez śladu kokieteryj. Wiadać było, że nie przyczyniła sobie żadnych toaletowych starań z powodu przyjazdu gościa, i że czy Bóg kogo do domu sprowadzi, czyli nie, życie w Podlipcach jest zawsze jednakiem. Bez najmniejszego zakłopotania podała z angielska panu memu rękę do przyjacielskiego uścisku, i poczęła z niem gwarzyć wesoło, odpowiadając na jego zapytania, dotyczące trybu życia w białym dworze.

Pani Chrzanowska przyszła wkrótce także, i powitała go uprzejmie, wypytując go, czy znalazł potrzebną wygodę, i oświadczając, że wymaga od niego

by się nie uważał w Podlipcach za gościa, i urządził sobie tryb życia całkiem wedle upodobania, nie kępując się żadnymi względami.

— Za nic w świecie nie chciała bym, abyś się z nami nudził — dodała staruszka. — Możesz tu sobie dziecko moje polować, możesz wierzchem lub powozem jeździć na przechadzkę, możesz odwiedzać sąsiadów, jeżeli ci się to podoba... Konie w stajni są do twojej dyspozycji. Tylko pamiętaj mój drogi powiedzieć zawsze kiedy wrócisz, byśmy na próżno nie czekały twego powrotu...

— Ależ phoszę Pani, to zbytek łaski, słowo honohu...

— Nie, nie, moje dziecko, to tylko porządek. Nie ma nic nieznośniejszego nad próżne oczekiwanie czyjegoś powrotu... Jest to więc po części tylko egoizm. Chcemy żyć swobodnie, i dlatego pozostawiamy gościom naszym najzupełniejszą swobodę... Uważaj się więc całkiem tak, jak gdybyś był u siebie w domu.

Pan mój podziękował uprzejmie, ślubując posłuszeństwo temu regulaminowi, i rozpoczęła się wesola gawędka na temat swobody wiejskiego życia, uroczych widoków w okolicy, sąsiedztwa, polowania i. t. d. Niebawem jednak powstała Julka, która żywy udział brała w tej rozmowie, i włożywszy na głowę swą pasterkę, podała paniczowi rękę do pożegnalnego uścisku.

— Gdzież pani spieszy? — zapytał młodzieniec, któremu żal było przerwanej rozmowy.

— Do mojej dzieciarni, — odparła z wesołym uśmiechem.

— Znowu?

— Oczywiście, że znowu... Wszakże nie można zaniedbywać szkoły?...

— Ależ proszę Pani — jał perswadować paniczek. — Któż Panią zmusza do tego?...

— Moja własna wola...

— Więc pani przенosisz towarzystwo chłopskich dzieci?...

— To nie — odparła młoda nauczycielka rumieniąc się, ale swobodnie. — Jednakże skoro się ma obowiązek...

— Jaki obowiązek?... Wszak pani sama podjęłaś się tego thudu!...

— Właśnie dla tego... Wszak obowiązek jest niezem innym, jak tylko tem, czego się podejmujemy własnowolnie, zrozumiawszy, iż tego tylko od nas żąda nasze sumienie.

Pan mój zamilkł spuszczać oczy, i na próżno szukając znaczenia tych wyrazów. Obowiązek! co to jest? Dotychczas nie zadawał sobie nigdy tego pytania. Nauczyciel prawil mu nie raz o tem, ale słowa jego zdawały się martwe i bez duszy, tak jak te opisy dalekich podzwrotnikowych okolic, które nieraz roztaczał przed jego oczyma malując je na wiarę tego, co sam wyczytał w podrózach. Ojciec mówił mu nieraz także o obowiązkach, ale tak jak się mówi o jakimś nieznośnem lekarstwie, lub o ja-

kichś wstrętnych okowach. Tu po raz pierwszy zdarzyło mu się słyszeć o powinnościach, jako o czemś świętem, a jednak całkiem zwyczajnem, jako o czemś, bez czego, tak jak bez powietrza, nie można by żyć na świecie. I mówiła mu o tem kobieta, dziewczyna, ta sama Julka, z którą w dziecięcych latach bujał tak jak motyl z kwiatka na kwiatek, nie troszcząc się, czy jest co jeszcze po nad uciechą chwili, i ponad użyciem.

Markotny i zazdrośny pożegnał pan mój panią Chrzanowską po śniadaniu, i wzięwszy strzelbę na plecy, poszedł bijąc się z myślami plondrować błota w nadziei, że go rozerwie polowanie. Aliści nie szczęściło mu się na tej wyprawie. Zwierzyny było mnóstwo, i zaraz w pierwszym kwadransie udało mu się trzy razy strzelić do zrywającego się błotnego ptactwa, atoli wszystkie trzy strzały poszły z dymem. Za pierwszym zaraz pudłem, zwrócił na niego towarzyszący mu, a przez Jacusia ułożony legawiec, oczy z wyrazem zdziwienia, za drugim spojrział na niego z pogardą, — za trzecim popędził do domu schowawszy ogon pomiędzy nogi, głuchy na wszelkie nawoływania. Osamotniony błakał się czas jakiś jeszcze nasz paniczyk po błotach, wreszcie znużony poszedł do lasu, i położył się w cieniu rozłożystego dębu na murawie, marząc o słowach Julki, i starając się na próżno zrozumieć ich znaczenie. Obowiązek! Ten wyraz powracał mu na myśl co chwila. Zdawało mu się, że brzmienie to, nie znajdujące echa w jego

duszy, przybiera widoczne kształty, i staje pomiędzy nim, a przyjaciółką jego lat dziecinnych, nieprzepartą tworząc zaporę. I zły był nasz paniczyk na siebie, że nie może zwalczyć tej przeszkody, i zazdrościł chłopskim dzieciom przysłuchującym się srebrnemu głosikowi Juleczki, i czuł żal do swej przyjaciółki, że dlań nie chciała poświęcić obowiązku.

Z tych tęsknych marzeń zbudził wreszcie mojego pana głos dworskiego dzwonka, dający znak, że za pół godziny podadzą objad, i że czas już wracać do domu. Zerwawszy się więc pospieszył do dworu, i zmieniwszy suknie podążył do jadalnego pokoju, gdzie już czekały obiedwie panie. Wesolość i swoboda Juleczki, a dobrotliwość pani Chrzanowskiej starły niebawem chmurę z jego czoła, i pełen różowego humoru, żywy brał udział w rozmowie, drwiąc z akademią młodej nauczycielki, i podając jej plany do dalszego kształcenia wiejskiej młodzieży. Julka odcinała się złośliwym zaczepkom panicza, broniąc swego stanowiska z humorem i bez przesady, i tak minał im znowu dzień jeden wpośród przyjemnej gawędy, i ani się spostrzegli, gdy duży ścienny zegar wybił godzinę rozstania.

Podobne do tego dnia były i dnie następne, z tą tylko różnicą, że młody nasz bohater coraz bardziej tęsknił do towarzystwa Juleczki, i że coraz nieznośniejszemi były mu poranne godziny, które młoda nauczycielka poświęcała swej dziatwie. Wreszcie nie mogąc się opierać tęsknocie, powziął pan mój boha-

terskie postanowienie. Przyszło mu na myśl czyby nie mógł pomagać Julce w jej pracy, i czy młoda nauczycielka przyjmie jego usługi. Z wielką niesmiałością ofiarował jej więc pomoc swą, prosząc ją usilnie by ją przyjąć raczyła. Juleczka z razu nie chciała na to przyzwolić, tłumacząc mu, iż go niebawem znudzi zajęcie to, do którego go skłania jeno kapryś chwilowy, a nie zamiłowanie, i że za nic w świecie nie chciałaby tej ofiary, która by dlań mogła się stać wstępnym przymusem. Śmiejąc się, roztrząsała mu sumienie młoda nauczycielka, pouczając go, iż nie należy brać na siebie obowiązku, jeżeli się nie ma przekonania, że się go spełniać będzie sumiennie i wytrwale. Ale młody nasz panicz prosił tak gorąco, oświadczył gotowość chęci swych i silną wolę wytrwania z takim zapalem, że młoda moralistka zezwoliła wreszcie, i nazajutrz po tej rozmowie objął pan mój w Julcinej akademji posadę nauczyciela kaligrafji i rachunków. Wyobrażam sobie, jakby zeń drwili Budrysi, gdyby go byli widzieli piszącego z całą profesorską powagą kaligraficzne wzory kredą na tablicy, lub zapoznającego chłopskie dzieci z tajemnicami tabliczki Pythagoresa!..

§. 36. Dwa hołuby wodu pyły..

Tak minęło dwa miesiące, i czas płynął im mile przy wspólnej pracy, która ich coraz bardziej zbli-

żała do siebie. Poobiednie godziny trawili na pogadance, na wspólnych przechadzkach po ogrodzie, i na wycieczkach w strony pamiętne im z lat dziecińczych. Każdy krzak, każde drzewo przypominało im dawniejsze lata, więc pielgrzymowali razem do tych miejsc uroczych, żyjąc podwójnie, błogością obecnej chwili, i minionego szczęścia wspomnieniem. Juleczka była zawsze jednako wesołą i jednako swobodną; on powoli coraz większą się otaczał powagą, i w coraz większą zapadał zadumę. — W towarzystwie pani Chrzanowskiej powracała mu zawsze dawniejsza wesołość. Wtedy rozmawiał żywo i śmiał się bez przymusu, Ale na dalekich przechadzkach, gdy sam na sam z Julką deptał wonną łąki murawę, lub kroczył pod arkadami zielonych dębów, wtedy cień drzew zdawał się padać i na jego duszę. Zamyślał się wtedy głęboko i stawał się skąpym w rozmowie. I tęskno mu było i ciężko na sercu, przepełnionem aż po brzegi nieokreślonym jakimś uczuciem. I czuł, iżby mu to ulgą było, gdyby Juleczce odkrył tajniki swej duszy; — i słowa mu się rwały na usta, a jednak nie mógł znaleźć wyrazów, któreby zdolne były malować jego uczucia.

Wreszcie dnia pewnego na przechadzce, błądząc bez programu, zaszła młoda para na ową górę, po której stokach tylekroć przed laty razem się wspinali młodzi przyjaciele, a o której w dniach smutków swoich śnił pan mój we Lwowie. Na myśl mu przyszedł ów sen, a wspomnienie to nastroiło umysł

jego do molwego kamertonu. Począł więc towarzysze swej opowiadać sen ów, i skarżyć się na doznane w życiu zawody, i malować życie swoje w tym świecie, który utracił dlań wszystkie barwy, nawet i barwę nadziei. Gorycz słów jego była tak wielka, a głos joga drżał tak szczerem wzruszeniem, że swawolna Juleczka zaprzestała swych żartów, i litością zdjęta poczęła pocieszać swego towarzysza.

— Nie, nie! — zawołał skeptyk nasz z wyrazem rzetelnego cierpienia. — Ten świat jest podły!... Nie wahto żyć na nim... Najmądrzej jeszcze jest w łeb sobie palnąć... Tam w għobie spi się twahdo, i nie słyszy się szydehstwa, i nie widzi się obłudy...

— Ależ co też pan mówisz!... To życie jest tak pięknem, — ludzie są tacy dobrzy; — potrzeba tylko iść ku nim z miłością, a niezawodnie odwzajemnią nam nasze uczucia.

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się młody bajronista. — Jak pani nie znasz świata!... Tu w tem zaciszu żyjesz pani pod okiem matki, któha cię kocha, wpośród tych chłopów, dla których się pani poświęcasz... I sądzisz pani według tego wzoru świat... I myślisz pani, że ludzie są podobni do twojej matki, do stahego pocziwego Jacusia, i do księdza phobozzcza, któhy tu czasem przyjeżdża... To są tylko wyjątki panno Juljo, rzadkie wyjątki... Ogół ludzi to dhapieźne zwierzęta...

— Co też pan mówisz panie Alfredzie?... Możeś

Pan wypadkowo trafił właśnie na wyjątki.. Może być że ludzie, z którymi panu żyć wypadało nie warci byli Pańskiego uczucia.. Możesz Pan się im oddać nie poznawszy ich bliżej, i dla tego doznałeś rozczerwiania... Nie, nie, nie! Serce mi mówi, że ogół nie jest złym, że złym być nie może.. Wprawdzie nie znam bliżej świata, bo do dziś dnia były mi Podlipce światem... Ale nie wątpię, że po za temi górami muszą być serca, co biją tak jak moje, serca warte miłości, serca które gotowe są zawsze płacić uczuciem za uczucie!... Nie rozpaczaj Pan panie Alfredzie... I dla Pana... bić musi... gdzieś takie serce...

— Gdzie? gdzie? gdzie?... Ach sehecu temu całą oddać duszę... Ach żyć tylko przy nim zawsze, przez nie i dla niego!... Ale gdzież szukać seheca takiego, gdzie? Nie ma ich, nie ma na świecie!...

Juleczka odwróciła twarz swą, po której wdziękach spływała łza współczucia. Ciężkie westchnienie wyrwało się z jej piersi, falującej wzruszeniem. Zastopiona w myślach poczęła bezwiednie skubać listki kaliny, przy której krzaku zatrzymała była młoda para swe kroki.

— Ty tylko jedna Pani masz takie sehece! — zawołał po chwili milczenia młodzieniec, poddając się zupełnie prądowi uczucia, które go ożywiło — ty jedna mogłabyś mnie ocalić jak dobhy Anioł, jak Anioł sthóż phowadzący duszę moją przez życie!... Ty jedna mogłabyś mnie zbawić miłością twoją. Julciu, Juleczko!... Ja ciebie kocham — kocham nad życie!..

§. 37. Es ist die alte Geschichte!

Mówiąc te słowa ujął młodzieniec obiema rękami drżącą rękę dziewczęcia, i przycisnął ją z zapalem do serca, bijącego mu gwałtownem tętnem w wezbranem łonie. Wyraz słów jego był tak szczerym, i tak serdecznie niezgrabnem było jego przemówienie, że nie mogło nie wywrzeć silnego wrażenia na umyśle młodej wieśniaczki. Kobiety mają pod tym względem instynkt niezawodny. Wiedzą one wybornie, że rzetelne uczucie nie dobiera nigdy wyrazów, a najmniej doświadczona umie rozeznąć ów krzyk, który wprost z serca pochodzi od obłudnej liryki, przystrojonej w sztuczne krasomówcze kwiaty. To też na słowa mojego młodego pana spłonęło lico Juleczki kraśnym rumieńcem, — onym rumieńcem „bez wstydu i grzechu co się na twarzy urodzi z uśmiechu.“ I nie broniła mu ręki, gdy ją namiętnie przyciskał do piersi, do czoła, do ust, gdy na niej gorące składał pocałunki. I stała tak płonąca i w milczeniu, — cała w zachwycie, niby senna a nie senna, zapatrzona gdzieś w głąb swojej duszy, i zasłuchana w echo tych słów, rozbrzmiewających się w jej sercu, i napawających je błogością bez granic. Co czuła w tej chwili Juleczka? Któż to wypowie! Zdawało się jej, że jej skrzydła wyrosły u ramion, że razem z swym przyjacielem lecąc gdzieś w bezmiary, kąpie się w błękitach nieba, w eterach, i że ją ogarnęło morze jakieś płomienne,

którego rozkoszna fala łaskocze jej duszę, rozlewającą w pieśni i w lubości.

A jednak wyznanie młodzieńca nie było dla niej tak całkiem niespodzianką. Sercem odgadła ona jego miłość od dawna, ale widząc go zawsze spokojnym, nie była przygotowaną na tak gwałtowny wybuch uczucia z jego strony. I ona kochała go także, ale wyobraźnia jej nie rozbudzona czytaniem romansów, nie przeczuwała wcale onych widokręgów, które nagle przed jej oczyma otworzyło namiętne wyznanie panicza. Dziś dopiero, pod wpływem słów jego gorących, rozjarzyła się miłość jej płomieniem; — dopiero teraz nieprzeczone wrażenia ogarnęły wszechwładnie duszę jej, i wstrząsnęły rozkosznie jej organizmem, przygnębiając ją niemal nadmiarem nieznanego szczęścia.

Gdyby młody pan mój zimnem patrzył okiem na swą towarzyszkę, to w jej rumieńcu, to w burzy jej łona falującego wzruszeniem, to w drzeniu jej ręki spoczywającej bezwładnie w jego dłoni, byłby bez wątpienia snadnie odczytał wyrok swojego szczęścia. Ale paniczyk nasz kochał i był sam wzruszonym w tej chwili, a miłość pozytywistką jest i żąda pewności.

— Pani! — zawołał więc drżącym głosem, widząc że Juleczka nie odpowiada na jego wyznania — ach Pani, czy mogę mieć nadzieję?... czy mogę się spodziewać wzajemności?...

Zbudzona z swego rokosznego zdrętwienia,

zwróciła młoda wieśniaczka ku niemu twarz uśmiechniętą, i oczy zaszeł łzami, ale łzami szczęścia.

— Ja ciebie od dawna kocham już Fredziu! — odparła z swobodą głosem drżącym jeszcze od wzruszenia, ale szczerym i stanowczym. — Ja ciebie kocham od dzieciństwa .. Myślałam, że ty to wiesz, żeś to zgadł, tak jak ja to wiedziałam, że ty mnie kochasz...

I tak jak wtedy w starej pasiece, spoili się z sobą ich usta w serdecznym pocałunku. Tym razem jednak nie rozerwał już lęk ich uścisku.

Szczerość, z którą młoda nasza wieśniaczka nie wahała się odkryć swemu towarzyszowi tajemnic swojego serca, wydać się może dziwną nie jednemu, a kto wie może nawet i uprzędzi przeciwko mej bohaterce tego lub owego czytelnika. W istocie u nas dzieje się zwykle inaczej; — w Polsce mają bowiem kobiety dziwne w tej mierze pojęcia. Atoli wychowana w górskim zaciszu była Juleczka wolną od wszelkiej maniery, i podobną do owych rezolutnych Amerykanek, które nie znając obłudy, nie zwykły nigdy tacić uczuć swych, gdy im sumienie powiada, iż w uczuciu tem nie ma nic zdrożnego. Z całą więc szczerością i naiwnością poddała się urokowi, jakim ją oczarowały słowa jej przyjaciela, nie wahając się odkryć mu uczuć błogości, któremi ją te słowa napawały.

Es ist die alte Geschichte! Stare to odwieczne dzieje, te dzieje serc zakochanych, — owe wybuchy

uczucia, które oprócz siebie, nic na świecie nie widzi, — owe przysięgi i zaklęcia, któremi ludzie uniesieni w sfery rajskiego szczęścia, zapominają o znikomości wszystkiego, co ziemskim jest, i znaczą swemu szczęściu widnokręgi bez granic i bez końca, — jednym słowem cała owa piosnka kochanków, grana od póki świat stoi przez wszystkie pozytywki żywe, wiecznie na jeden i ten sam temat, i wiecznie na jedną i tę samą nutę. Nie będę tu więc powtarzał tego, co sobie mówili nasi kochankowie. Wystarczy gdy powiem, że w miłośny duet ich nie wkradł się żaden akord fałszywy, i że słońce miało się już dobrze ku zachodowi, gdy z wycieczki swej do domu powróciła nasza młoda para. Pani Chrzanowska oczekiwała już włóczęgów naszych na werandzie, zaniepokojona nieco długą nieobecnością córki; — znała bowiem rezolucję młodej góralki, i obawiała się, czy wspinającej się po ścieżkach górskich po nad skalistemi jarami nie zdarzył się jej jaki przypadek.

— A lamparty! teraz to wracacie! — zawołała uradowana powrotem swej jedynaczki. — Godziż się tak długo bawić włóczęgą, pozostawiając mnie w niepokoju.

— Mamo, mateczko, przebacz! — odparła żywo Juleczka biegnąc ku niej i rzucając się w jej objęcia. — Ty nie wiesz!... Fredzio mnie kocha!... Fredzio mi powiedział, że mnie kocha od dawna... Przysięgliśmy sobie, że się będziemy kochać zawsze!... O, o, o, patrz jak mi serce bije!... widzisz?... To z szczęścia mate-

czko, to z szczęścia!... Ach Boże jakżem szczęśliwa!

I wymawiając te słowa, tuliła pieszcząc się twarz rozpromienioną do piersi swej matki, i ścisła namiętnie dłoń młodzieńca, który na ręce pani Chrzanowskiej gorące składał pocałunki.

— No, no, no uspokój się, Juleczko!... Uspokójcie się moje dzieci!... moje dobre, kochane dzieci! — perswadowała głosem drżącym od wzruszenia staruszka. — Nie godzi się szaleć tak, jak szalejecie... Wszystko jest w ręku Boga... Wszystko jest dziełem jego łaski... Szczęście i cierpienie powinniśmy z rąk jego z jednaką przyjmować wdzięcznością... Powinniśmy panować nad sobą, powinniśmy serca nasze zawsze powstrzymywać od zbytanych uniesień... Od szału radości również jak i od szału rozpaczyny...

— Mamusiu, Fredzio mię kocha!... Ty nie wiesz jakam ja szczęśliwa!

— I czemuż byś nie miała być szczęśliwa, ty taka dobra!... I czemuż by cię Fredzio nie miał kochać? — odparła łkając staruszka. — Ciebie wszyscy kochać muszą mój aniołku! moja droga jedyna Juleczko!... I czemuż byście nie mieli być szczęśliwi oboje moje dzieci, tacy młodzi, tacy dobrzy?... Dla was się życie uśmiecha wszystkimi wdziękami... I Bóg wam pewnie nie odmówi tego szczęścia, na które zasługujecie...

— Ach mammo, ty nie wiesz jaki on biedny! jaki on nieszczęśliwy ten Fredzio!.. Jakie on w świe-

cie spotykał zawody!... Jak go nikt nie kochał do tej chwili...

— Biedne dziecko!...

— Ale ja mu to nagrodzę sercem mojem!... Ja będę dlań matką i siostrą, i żoną i przyjacielem... Ja go nie opuszczę nigdy, nigdy!... Nieprawdaż mamó, ty go będziesz także kochać, ty go już kochasz jak syna... Tak Fredziu, tak, będziesz miał teraz dwa serca: moje i mamine... Dwa serca, które cię nigdy nie zawiodą... Klęknij tu Fredziu, klęknij razem ze mną... Niech nas mateczka pobłogosławi.

I ukłękli oboje u stóp pani Chrzanowskiej, która wzniosłszy oczy ku niebu, złożyła drżące swe dłonie na ich skroniach, ciche do Boga o ich szczęście zasylając modły, niezupełnie wolna od wrogich przeczuć dręczących duszę jej nieokreśloną jakąś obawą. Miłość młodego naszego panicza nie była dla niej wcale niespodzianką. Znała ona dobrze wszystkie przymioty swojego dziecka, i wiedziała, że nie sposób widzieć Juleczkę, i nie pokochać jej całym sercem. Wiedziała, że córka jej, przy swych niezaprzeczalnych zaletach serca i umysłu, zdolną jest uszczęśliwić tego, z którym połączy swe losy. O szczerości mojego pana nie miała więc żadnej wątpliwości, a dawna przyjaźń dla jego matki usposabiała ją dlań jak najkorzystniej. Zresztą gdzież jest matka nie upatrująca wszystkich zalet w tym, który kocha jej dziecko, i którego dziecko to kocha wzajemnie? Duma macierzyńska i duma rodowa dodawały jej wszelkiej otuchy. Posag Ju-

leczki skromnym był wprawdzie w porównaniu do półpańskiej fortuny młodego Rabalińskiego, aliści brak ten równoważyły dostojność rodu Chrzanowskich, i wysokość ich koligacji, tudzież wyrobione w świecie stosunki. Jednakże pomimo tych powodów usprawiedliwiających radośną otuchę, nie była dusza poczciwej staruszki zupełnie wolną od tęsknych przeczuć, — wiadomą jej była nienawiść ona, jaką do niej żywił stary Rabaliński, a znając złośliwość jego i przewrotność, obawiała się knowań jego przeciwko szczęściu swojego dziecięcia. Widok więc Juleczki poddającej się z taką ufnością uczuciu, które w jej sercu wzbudzić potrafił nasz bohater, napawał ją radością lecz zarazem i trwogą. Obawiała się, aby, zapanowawszy w tej szlachetnej duszy wszechwładnie, miłość nie stała się w razie przeciwnieństw i walki, wiecznie otwartą raną, której ból musiał by złamać to złote serce na wieki.

§. 38. O mój aniele pójdziem połączeni...

Na wesołej rozmowie, na wycieczkach w krainę niebieskich migdałów, na budowaniu czarodziejskich pałaców z tęcz i promieni, upłynęły młodej naszej parze resztki tego pamiętnego dnia. Tając przed zakochanymi swe serdeczne obawy, brała pani Chrzanowska żywy udział w ich rozmowie. Zdawało się,

że poczciwa staruszka odmłodziła, odczuwając szczęście swej córki. Stary Jacuś domyśliwszy się wszystkiego, dreptał pełen radości, ale i powagi, — rzekłbyś również odmłodzony szczęściem swej kochanej panienki.

— Ha, ha, ha! — mruczał pod nosem, zacierając ręce. — Ja wiedziałem, ja dobrze wiedziałem, że tak będzie... A czas już był, czas, czas, abyśmy we dworze mieli pana... Ja zawsze mówię klucznicy: Pani Szatkowska, Pani Szatkowska, źle idzie: — Nie ma we dworze subordynacji, nie ma rygoru!... Te nasze panie to nadto dobre; nikt się ich nie boi!... Tu Mościdgeju potrzeba koniecznie pięści i wąsa... Ha, ha, ha!... No, młody nasz pan nie ma jeszcze wąsa, ale mu wyrośnie, wyrośnie.. Ha, ha, ha! Wtedy dopiero pokażemy co umiemy!..

Tego samego jeszcze wieczora, powróciwszy do domu, napisał młody pan mój list do ojca, donosząc mu o zaszłych wypadkach, i prosząc go o zezwolenie i błogosławieństwo. Była to w jego oczach rzecz formy jedynie, — nie znając bowiem nienawiści starego bałagudy ku pani Chrzanowskiej, a patrząc na sprawę swą oczyma zakochanego, ani wątpił nasz młodzieniec, że ojciec wybór jego pochwali, i uszczęśliwiony zabezpieczeniem losu swojego dziecięcia, z radością zezwoli na ten związek. Z drugiej strony czuł on instynktowo, jaką mu przewagę dawało krytyczne położenie majątkowe ojca, i połączone z jego usamowolnieniem kombinacje, i jakkolwiek z przeczuć swych

nie wysnuwał wcale odnośnego wniosku, to jednakże czuł to, że ojciec jego będąc odeń zależnym, nie sprzeciwi się jego życzeniom. Z listem tym wysłał pan mój nazajutrz do Lwowa swego służącego; — nie będąc albowiem pewnym, czyli ojciec nie opuścił stolicy, a pragnąc jak najspieszniej uzyskać pewność niezbędną dla spokoju Juleczki i jej matki, umyślił wysłać kurjera, któryby dotarłszy do starego bałagudy, jak najrychlej powrócił z jego odpowiedzią.

W oczekiwaniu powrotu swego posła, pędzili mieszkańcy Podlipiec cichy swój żywot dalej, całkiem oddani roskosznym snom swoim, i pełni nadziei, że odpowiedź starego zmieni sny te niebawem w rzeczywistość pełną szczęścia i błogości. Patrząc na rozwijające się coraz silniej uczucie mojego pana, przestała się wkrótce i pani Chrzanowska nawet obawiać, ażeby stary Rabaliński nie stanął na wstępie życzeniom młodzieńca. Myśl, iż ojciec mógłby przeszkodzić szczęściu własnego dziecka zdawała się jej tak potworna, że poczciwa staruszka czyniła sobie wyrzuty, iż posądzić mogła starego bałagudę o podobny uczynek. Co się tyczy Juleczki, ta z całą swą niewinnością, i szczerością poddawała się panowaniu uczucia, które w jej duszy zawładło. Żyjąc jedynie w swej miłości, nie zaniedbywała mimo to młoda góralka swej szkółki. Pan mój skarżył się wprawdzie, że poświęcając się temu zajęciu, kochanka jego przynosi uszczerbek jego szczęściu. Żał mu było chwil tych odkradzionych jego miłości. Atoli Juleczka

umiała to sownie wynagrodzić pokrzywdzonemu, otwierając mu w chwilach wolnych od pracy bogatą skarbnicę uczuć swoich, i nie skąpiąc mu pieśczęoty.

W tydzień po swym wyjeździe do Lwowa, powrócił Staś z listami. Przywiózł trzy pisma: jedno do pani Chrzanowskiej, drugie do Juleczki, a trzecie do mojego pana. Wszystkie trzy były niemal równobrzmiące. Stary bałagula pochwalał w nich wybór swojego syna, radował się jego szczęściem, i udzielał młodej parze swego błogosławieństwa. List do naszego panicza zawierał oprócz tego sprawozdanie o stanie jego interesów, które wedle zapewnień ojca na najlepszej znajdowały się drodze.

W sprawie pełnoletności przychylił się był sąd opiekuńczy do wniesionego podania, i wyrok oddający panu memu zarząd majątku znajdował się już w ekspedyturze. Stary Rabaliński wzywał więc syna swego aby bezzwłocznie przybył do Lwowa, celem przyjęcia wyroku i załatwienia potrzebnych formalności. Wiadomości te nappełniły pana mego radością bez granic. Zezwolenie ojca na związek jego z Juleczką, z drugiej zaś strony usamowolnienie jego, oddające mu w ręce możność uporządkowania interesów, i spłacenia dawnych lekkomyślnych długów, stawily go od razu u szczytu jego marzeń. Teraz będzie już mógł zerwać z dawnym swem jałowem życiem! Teraz nie stanie szczęściu jego nie już na przeszkodzie! Chodzi obecnie już tylko o to, ażeby jak najspieszniej wstąpić w to nowe położenie, a w tym celu niezbędnym

jest wyjazd do Lwowa i chwilowe rozstanie się z Juleczką. Myśl, iż mu się na czas jakiś rozłączyć przyjdzie z kochanką, i zerwać z tem cichem, spokojnem życiem, do którego tak przywyknął, napełniała mojego młodego pana smutkiem i żalością. Nie pojmował jak żyć potrafi we Lwowie, daleko od Podlipiec, i od swej przyjaciółki. Pocieszał się jeno tem, że codziennie pisać do niej będzie, — że codziennie od niej odbierać będzie listy, i że jak tylko załatwi swe interesa, powróci do niej, aby jej nigdy już więcej nie porzucić!

§. 40. Entbehren musst du, du musst entbehren!

Dzień był wietrzny i chmurny, kiedy młody pan mój opuszczał gościnny dwór podlipiecki, i nie mniej chmurno mu było w duszy, gdy nadeszła ciężka chwila rozstania. — Szczebiocząc wesoło, starała się Juleczka dodać mu odwagi. Atoli i jej smutno było w sercu, i chmurno w duszy. Nagły wyjazd jej przyjaciela, przerywający złoty jej sen o szczęściu, bolał ją niezmiernie, i choć się usta jej śmiały, to jednakże zdradzały oczy, i bladość jej twarzy smutek i cierpienie.

— Bądź zdrów Fredziu! bądź zdrów! — szepotała ściskając dłoń kochanka. — A nie smuć się, nie smuć na miłość Boską!... Wszakże wyjazd twój jest koniecznym, a pobyt we Lwowie nie przewlecze

się dłużej nad dziesięć dni... Nieprawdaż?...

— Tak Juleczko!...

— No widzisz!... Trzeba to przecierpieć po mężku... Patrzaj ja nie płaczę... Ja wiem, że ty tam ciągle myśleć będziesz o mnie, tak jak ja tu myśleć będę o tobie... I to mi dodaje odwagi... Będiesz codzień pisywać...

— Codzień...

— I ja codzień będę pisywać do ciebie.. Masz tutaj! przygotowałam dla ciebie moją fotografię.. Jak się to dobrze stało, żem się dała fotografować we Lwowie... Teraz mogę ci zrobić podarunkiem mej miniatury przyjemność.

I mówiąc te słowa zawiesiła mu na szyi gustowny, złoty medaljon, zawierający jej fotografię. Pan mój przycisnął dar ten namiętnym ruchem do serca.

— Nie, nie, teraz go nie otwieraj! — zawołała skwapliwie, widząc, iż młodzieniec zamierza badać tajemnice podarowanego sobie cacka. — Teraz mnie masz jeszcze żywą, i możesz patrzeć w oczy moje... Później gdy już będziesz daleko, wtedy dopiero niechaj mnie portret mój zastąpi;... niechaj mnie wtedy twej pamięci przypomina!...

— To niepotrzebne Juleczko!... twój obraz mam tutaj w głowie i w sercu... Twoja pamięć żyje tam niezmacona, i żyć będzie wiecznie... Ale miłoby mi było zobaczyć twą fotografię... Jestem oghomnie ciekawym, czy thafionem jest podobieństwo... To się tak rzadko zdarza... Hęcę, że obraz w przybliżeniu na-

wet nie oddaje powabów ohyginału...

— Nie, nie, nie!... Teraz nie otwieraj!... Powiedziałbyś, że fotografia nie jest podobną, i podarunek mój straciłby cały urok dla ciebie... Później będzie posiadanie mego portretu dla ciebie pociechą... Patrz i ja także nie przypatruję się teraz twojej fotografii, ani twojemu pierścionkowi. Na co mi to?... jak długo ty tu jesteś, wolę się patrzeć na ciebie... Później gdy odjedziesz, gdy zateśknę do ciebie, wtedy przedmioty te tem żywiej przypomną cię mej pamięci.

— Czas już do kolei — zawołał stary Jacenty wchodząc do pokoju. — Jeżeli Jaśnie Pan nie chce chybić pociągu, to nie można się już zatrzymywać dłużej ani miuty.

— Ach, phawda, phawda! — westchnął pan mój ciężko. — Dziękuję ci poczciwy Jacusiu, że mi przypominasz. I ucałowawszy ręce pani Chrzanowskiej, i uściskawszy raz jeszcze Juleczkę, wybiegł pan mój na ganek, przed którym już czekały konie, grzebiąc ziemię niecierpliwem kopytem.

„Ruszaj!“ i pędem strzały pomknęły dzielne ruma-ki unosząc w świat naszego panicza. Jak długo się toczył lipową ulicą węgierski wózek, pędzący gościńcem lotem błyskawicy, tak długo widną była na ganku podlipieckiego dworu pasterka Juleczki. Pan mój odwracał się co chwila w tę stronę, przesyłając kapeluszem przyjaciółce swe pożegnania. I na każdy znak taki odpowiadała młoda góralka, chustką wiewając białą, aż wreszcie na zakręcie drogi zniknęły z przed oczu

młodzieńca dwór podlipiecki, i Juleczka, i chustka jej przynosząca mu ostatnie pożegnanie kochanki.

Długi, długi czas jeszcze marzył nasz bohater, dziwny urok znajdując w tęsknocie, która owładła jego duszę. Zdawało mu się, że w tam miejscu, gdzie niegdyś dzieckiem, a obecnie mężem już tyle spędził chwil błogich, wszystko płacze po nim, i przyodziewa po jego odjeździe żalobę. Na stokach gór, kędy się tylekroć wspinał z Juleczką, wisiały szare, mgły — tęsknie w parowie szeptała młynówka, i tęskno szumiały drzewa w wiatru powiewie. Te głosy natury, te, jak je wieszcz łaciński nazywa *lachrymae rerum*, które mają swe źródło właściwie w usposobieniu tęskniących, a które człowiek, chępiąc się, iż jest królem wszelkiego stworzenia, rad odnosi do przyrody, nastrojały umysł jego do dumek pełnych słodkiej melancholji. Przyjemną mu była myśl ta, iż ta okolica, którą tak ukochał, odczuwać się zdaje odjazd jego, i że wszystkie góry do koła, każde drzewo, krzak każdy tęsknią po nim, ciężką się mrocząc żalobą. Atoli wrażliwy umysł mojego pana nie był zdolnym do trwałych uczuć, i już przy kasie kolejowego dworca zmartwychstało w nim dawne, chwilowo tylko przytłumione Niby. Spozrzegłszy na ganku dworca cztery chude szkapy do obdartego zaprzężone kocza, uczuł w sobie dziwny jakiś niespokój, gorączkową jakąś ciekawość, która chwilowo zajęła całą jego duszę. Na peronie uwijała się służba w herbownej liberji, znosząc do czekalni pierwszej klasy graty i graciki

wyniesione z powozu. Rozciekawiony tym krzątaniem się usłużnych duchów, podążył pan mój do czekalni pierwszej klasy, gdzie z niemałym zdziwieniem spotkał Henia Ickowskiego i jego rodziców powracających do Lwowa z wiejskiej jakiejś wycieczki.

— Jak się masz Fredziu? jak się masz! — zawołał młody Budrysik podając memu panu rękę z angielska do uścisku. — Gdzież jedziesz?..

— Do Lwowa — odparł paniczek odwzajemniając konwencjonalny uścisk dłoni swego towarzysza. — Jadę objąć zarząd moich dóbr, — nie wiem albowiem czy wiesz, że papa przyznaje mi pełnoletność, i że niebawem będę już samodzielnym.

— Ach tak! wieszuję ci Fredziu, wieszuję ci szczerze! — odparł serdecznie młody Ickowski, na którego słowa te nie omieszkały magicznego wywrzeć wpływu. — Chodźże niechaj cię przypomnę mym rodzicom..

— Papo! mamó! mój przyjaciel pan Alfred Rabaliński — dodał prowadząc go do stołu, przy którym siedzieli państwo Ickowscy. — Jedzie do Lwowa odbierać zarząd swego majątku.. Ależ to pańska fortuna mój Fredziu, — słowo honoru pańska.. Jak słyszałem klucz na Podolu, i około pół miliona w papierach..

— Thochu mniej! — odparł pan mój skromnie, kłaniając się rodzicom młodego Budrysa, którzy usłyszawszy słowa swojego syna, oblali naszego panicza sentymentalnem spojrzeniem zgotowanego szczupaka,

w chwili gdy mu głowę obleją majonezem.

— No, no, no! nie baw się w skromnisia! — rzekł Henio. — Wszakże świat cały wie, że jesteś Krezusem.

— Pan z nami pojedzie nie prawdaż? — zapytała pani Ickowska spojierając zalotnie na młodego tombaczka. — Weźmiemy Pana do naszego *coupée*.

— Jeżeli państwo tacy łaskawi...

— Tak, ale my jedziemy pierwszą klasą — zauważył stary pan baron, w którym pomimo chrztu świętego i tytułu, pokutowała zawsze jeszcze dusza zarozumiałego łapserdaka.

— O i ja także! *On est plus à l'aise* między ludźmi należącymi do naszego towarzystwa — odparło sentencjonalnie Niby.

— Ale powiedzże mi Fredziu, gdzieżeś to bywał tak długo? — zapytał młody Budrys z czułością. — Stęskniliśmy się już za tobą we Lwowie... Zdaje mi się, że cię już sto lat niewidziałem...

— Bawiłem w góhach... dla pohatowania zdrowia — odrzekł paniczyk sucho.

— Gdzie?

— U znajomych...

— U kogo?...

— U państwa Chrzanowskich...

— Chrzanowscy?... *connais pas!* — zawyrokował Henio. — Czy bywają we Lwowie?..

— Nie!... siedzą zwykle na wsi — odparł pan mój rumieniąc się aż po uszy, nie mile dotknięty lekce-

ważącym tonem swego towarzysza.

— Musiałaś się nudzić na zabój!...

— O nie, i owszem!... Wiś ma czasem wiele uhoku!...

— *Merci!*...

— No, nie zawsze!... czasami!... dla odmiany!...

Jeżeli nas znudzi życie w mieście — tłumaczyło się skwapliwie nasze Niby. — A potem pani Chrzanowska to dawna przyjaciółka mojej matki...

— Ah to co innego!... *C'est une autre paire de manches!* — odparł z ironicznym uśmiechem Budrysik, zwracając szybko rozmowę na inny temat.

Nie miłe *intermezzo* to napełniło pana mojego niesmakiem i goryczą. Zły na Henia, który bezmyślną swą paplaniną bezwiednie co chwila drażnił jego uczucia, — zły na siebie, iż dla światowych względów zaparł się swej miłości i dozwolił towarzyszowi dawnych swych hulanek tak lekko mówić o osobach tyle mu drogiech, a tak godnych szacunku, byłby chętnie uciekł gdzieś daleko z tego wagonu, od tych ludzi tak odmiennych od mieszkańek spokojnego podlipieckiego dworu. Przed oczyma stała mu Juleczka, ona taka szczerą, taka szlachetną, tak pełną dzielnej odwagi! I rozgoryczony czynił sobie wyrzuty, iż się w obec niej tak ciężkiego dopuścił grzechu, że ją zdradził haniebnie z obawy przed szyderstwem tego świata, którym gardził w głębi serca, i że stchórzył podle zaraz w pierwszej próbie, na którą wystawionem została miłość jego dla pięknej góralki. Czuł,

że powinien był Heniowi nakazać milczenie i nie taić przed nim uczuć, które go z mieszkankami Podlipiec wiązały. Atoli jakkolwiek w dalszym toku rozmowy niejednokrotnie nadarzyła się ku temu sposobność, to jednakże nie zdobyło się słabe nasze Niby na krok tak stanowczy. Owszem pod narkotyzującym wpływem rozmowy zepsutego Budrysa i jego rodziców stał się niebawem pan mój mniej wrażliwym na cyniczną paplaninę tych ludzi, stwierdzających co chwila bałwochwalczą cześć dla złota, a pogardę dla wszelkich wznioslejszych uczuć, dla enoty, pracy i obowiązku.

Wśród czezej gadaniny na temat brukowych plotek, zbiegł młodemu naszemu paniczowi szybko czas podróży, i po kilku godzinach jazdy zatrzymał się pociąg na kolejowym dworcu halickiej stolicy.

— Niechże Pan o nas we Lwowie nie zapomina! — rzekła pani baronowa, mizdrząc się i podając panu mojemu rękę do pożegnalnego uścisku.

— Nie omieszkam służyć państwu baronowstwu!..

— Bardzo prosimy!... bardzo prosimy! — potwierdził stary baron. — Mieszkamy w naszym pałacu, ulica Piekarska.

— Bądź zdrów Fredziu, do widzenia! — żegnał Henio. — A pamiętajże dać kolację na uczczenie twej intromisji do majątku.

— Bądź pewny, że o tem nie zapomnę...

— A kobiety będą? — szepnął panu mojemu do ucha Budrysik.

— Oczywiście! — odparł nasz paniczyk, usiłując śmiechem pokryć swe zakłopotanie.

I uściskawszy raz jeszcze swego towarzysza, wskoczył mój pan do parokonnego fiakra, i kazał się zawieźć do hotelu.

Następne dni poświęcił nasz paniczyk swym interesom, — mentorowany przez ojca, który nadzwyczaj był słodkim dlań i uprzejmym. Chody do sądu, do adwokatów, do notariusza wymagały wiele czasu; — za ledwie wieczorem odpocząć można było w teatrze, gdzie do łoży mojego pana przychodzili jak dawniej Budrysi, asystując mu w jego rozrywkach. Po teatrze oczywiście kolacja w wesołym gronie towarzyszków. Stary bałagula jawił się zawsze przy stoliku mojego pana, dostarczając mu potrzebnych pieniędzy, i bawił młodzież swojemi opowiadaniem i dykteryjkami, powtarzanemi tutaj w tysiącnym wydaniu. Wieść o usamowolnieniu mojego pana rozbiegła się już była na skrzydłach stugębnej famy po mieście, a w miarę tego jak rosła plotka o milionach naszego bohatera, rosło też i jego wzięcie, oraz owa bałwochwalcza cześć, którą panu memu niosło jego otoczenie. Młode nasze Niby poddawało się biernie temu prądowi, który je unosił, oddalając je coraz bardziej z ogniska podlipieckich marzeń i dążeń w mętny war świata, kipiącego bezmyślnem życiem. Schlebiały mu umizgi jego towarzyszków, schlebiała mu pełna wylania przyjaźń papy, — schlebiało mu nadszkakiwanie kupców i garsonów, szafujących

co chwila tytułem „Pan Hrabia! Pana Hrabiego! Panu Hrabiemu!“ I tak powoli, powoli wdrażało się nasze Niby w dawne koleje swego życia, ulegając wpływowi powietrza które je owiewało.

Wpśród tych zajęć i rozrywek coraz mniej mu zbywało czasu na pisanie listu do Juleczki, i coraz dziwniejszem się to zdawało naszemu bohaterowi, iż mógł trzy miesiące przepędzić w wiejskim zaciszu, patrząc w oczy swej kochanki, i ucząc chłopskie dzieci abecadła. Od czaśu do czaśu powracała mu na myśl uwaga Henia, że państwo Chrzanowscy bawią na wsi, i przypominał mu się lekceważący ton, z którym się odezwał o nich młody Budrysik, dowiedziawszy się iż mieszkanki Podlipiec nie pielęgnują stosunków z lwowska śmietanką. Wspomnienie to bolało go. Zdawało mu się, że Juleczka wychowana w wiejskiej prostocie, nie oczyści się w tym świecie, do którego siłą pary go ciągnęło z pierwородnego grzechu nie-należenia do lwowskiego towarzystwa. — Zapytywał siebie jak ona wyglądać będzie w stołecznym salonie obok Loli Szmulowskiej, obok Koli Zarzymskiej, obok tyłu innych gwiazd parafjańskiego lwowskiego Empireum. Czy potrafi ona oddychać w ich pobliżu? czy potrafi się zastósować do ich życia do ich wyobrażeń? Czy nie będą one szydzić z jej prostoty, z jej szczerości? z jej poczucia obowiązku? — Wszystkie te uwagi i pytania dręczyły pana mego niewymowną obawą, i zacieraly powoli w jego umyśle świetlaną postać Juleczki. Coraz mniejszą się stawała tę-

sknota, ciągnąca go do Podlipiec, — coraz rzadszemi, krótszemi i bardziej zakłopotanemi bywały jego listy, i coraz większem było jego upodobanie w życiu, które obecnie prowadził. Powoli, powoli począł mu się powrót do Podlipiec i związek z Juleczką przedstawiać już tylko jako dopełnienie obowiązku, — obowiązku ciężkiego, lecz nieuniknionego, wobec przyrzeczeń i przysiąg, które złożył swej kochance.

§. 21. **Wesoły Papa.**

Usposobienie to mojego młodego pana nie było tajemnicą dla starego bałaguly, w którego sercu wrzała ciągle dawna nienawiść ku pani Chrzanowskiej. Nienawiść tę przeniósł on był w mściwem swem sercu i na córkę dawnej przyjaciółki swej żony, a potęgowała to nieprzyjazne uczucie jeszcze i obawa, że energiczna góralka, zostawszy małżonką naszego bohatera wywierac będzie wpływ stanowczy na jego usposobienie, a tem samem zmniejszy lub też zupełnie złamie, wpływ ów, jaki on się na swego syna wywierac spodziewał. — Nie zdając sobie na razie bliższej sprawy z niekorzyści, jakieby mu to przynieść mogło, widział on w tem rodzaj zamachu na swoje prawa. Przyzwyczajonemu do intryg, i do uważania ludzi za piony na szachownicy swych kno- wań. nienawistną była myśl ta, iż ktoś inny może się wmięszac w jego grę, i opanować jednego z pionów

tych, a tem samem w następstwie krzyżować jego plany. To też przeraził go był niewymownie list syna, pisany z Podlipiec, a donoszący mu o zamiarach mojego pana. Niespodziewana wiadomość ta zbudziła całe gniazdo gadów w piersi starego bałaguly. Przymusowe położenie, w jakim się chwilowo wobec syna znajdował, nie pozwalało mu otwarcie sprzeciwić się zamiarom naszego panicza — nie mniej jednakże postanowił on wszelkich użyć środków, ażeby niedopuszczyć do wykonania jego zamiarów. Wyrazem tego postanowienia była przychylna odpowiedź, którą dał synowi, zezwalając na związek jego z Juleczką, a wzywając go równocześnie, aby bezzwłocznie przybył do stolicy. Stary bałagula znał dobrze słabość charakteru swojego dziecięcia, i liczył, że paniczek nasz wyzwolony z pod dobroczynnych wpływów Juleczki, i rzucony w mętny wir życia lwowskiej polzłacanej młodzieży, prędzej czy później dopuści się jakiegoś lekkomyślnego kroku, na którego podstawie, jeżeli się go wyzyska należyście, zerwać będzie można serdeczny stosunek, wiążący pannę Chrzanowską i naszego bohatera.

Oparłszy rachuby swe na tem rozumowaniu, ślędził tedy Papa-Machiavell bacznie okiem postępowanie swojego synalka. Widok, z jakim upodobaniem powróciwszy do Lwowa, paniczek nasz rzucił się znowu w zamęt dawnego swego jałowego życia, napełniał duszę szczwanego lisa radością bez granic. Treść listów, które pan mój pisał do Juleczki, a

które Staś przed oddaniem na pocztę zawsze staremu bałagule przynosił do przejrzenia, świadczyła wymownie, że rozumowanie Papy-Machiwela było trafnem, i że uczucie naszego panicza dla pięknej góralki słabnie z dniem każdym coraz bardziej. Unikając z zasady wszelkiej w tej mierze bliższej rozmowy z swym synem, nie zaniedbywał jednak stary Rabaliński od czasu do czasu nawiasowych wzmianek o sercowych stosunkach naszego panicza, o bliskim jego powrocie do Podlipiec i t. d. Ciężkie westchnienie, które się wtedy z piersi panicza dobywało, było oczywistym dowodem zmiany zaszłej w jego usposobieniu. Stary wyga śmiał się w duchu, i cieszył się, nie wątpiąc że wszystko pójdzie po jego myśli, i że lada chwila zdarzy się wypadek przezeń przewidziany, a urzeczywistniający jego zamiary.

Tymczasem dojrzała ostatecznie sprawa zupełnego letnienia mojego pana. Wyrok sądowy został stronom doręczony, i po załatwieniu licznych formalności podniósł nasz paniczek sto pięćdziesiąt siedm tysięcy, w indemnizacyjnych obligacjach z sądowego depozytu. Radość, którą uczuł, ujrawszy się w posiadaniu tak znacznego kapitału, nie miała granic. Pełen też wdzięczności dla ojca za przyspieszenie tej szczęśliwej chwili, wypłacił nasz młodzieniaszek staremu bałagule bez wahania przyrzeczone mu czterdzieści tysięcy, niemniej jak i drobne kwoty, które tenże synowi w czasie jego wyjazdu do Podlipiec, dla pokrycia drobnych jego długów zaliczył. Scena, która

się przy tej sposobności odegrała pomiędzy ojcem a synem, była istotnie rozrzewniającą; — Papa-Machiawel ścisłał swojego „syncia,” i płakał jak bóbr, rozczulony jego szlachetnością, śmiejąc się w duchu z „głupoty fryca,” i radując się, że mu się tak wybornie powiodły interesa. Pomimo nalegań ojca nie chciał paniczek nasz żadną miarą zezwolić na okrojenie pretensji pana Eisiga Liliendufta, i wypłacił znanemu nam „właścicielowi handlu towarów galanteryjnych i mieszanych” całą winną mu sumę. Trawiony gorączką użycia, a posiadając pieniądze ułatwiające mu zaspokojenie pragnień swych i zachcianek, poczynił pan mój również liczne zakupy i zamówienia przedmiotów, niezbędnych mu wrzekomo do urządzenia swojego domu. W robieniu sprawunków tych, po większej części niepotrzebnych, czerpał nasz młodzienaszek uspokojenie sumienia, które mu wyrzucało, iż pobyt swój w mieście przedłuża, i że załatwiwszy swe majątkowe interesa, powinien by jak najspieszniej powrócić do Podlipiec, tak jak to przyrzekł swej narzeczonej.

Popłaciwszy swe długi, a rozporządzając dzięki wspaniałomyślności syna kilkutyśiecznym kapitałem, znajdował się stary bałagula również u celu swych marzeń. Podobnie jak naszego panicza trawiło i jego pragnienie użycia. Siłą pary ciągnęło go do Monaco, aby tam z uzyskanemi znaczniejszemi funduszami spróbować swego „niezawodnego” martingala. Liczył tym razem na niezawodny uśmiech fortuny. Wszakże

łatwość z którą mu się udało ujeździć syna i dzięki jego wspaniałomyślności wydobyć się z kłopotów, jawnym była dowodem, że mu sprzyjać poczyna szczęście, nienawistne mu aż do tej chwili. Pełen niecierpliwości i gorączki, pragnął więc korzystać jak najspieszniej z uśmiechającej się pomyslniej szansy, — atoli nienawiść jego ku pani Chrzanowskiej powstrzymywała go we Lwowie. Widząc, iż syn jego na tak pięknej znajduje się drodze, a znając zmienność jego charakteru, i obawiając się, ażeby wpływ jakiś postronny nie skłonił go do powrotu na wieś, postanowił stary wyga trwać przy nim, i wyczekiwał wypadków, które przewidywał, a którymi pokierować zamysłał tak, ażeby pomiędzy Juleczką a naszym bohaterem doprowadzić do zerwania.

Chwila ta miała nadejść niebawem. Znajomi nasi poczciwi Budrysi nie opuszczali pana mojego w jego powodzeniu ani na chwilę. Mianowicie zaś umizgał się doń goły zawsze, a żądny użycia Henio Ickowski, któremu pan mój, jak wiadomo, powracając z Podlipiec, przyrzekł był uczcić swe upełnoletnienie wspaniałą ucztą. O przyrzeczeniu tem pamiętał nasz bohater, uważając to za rzecz honoru, ażeby dopełnić daną towarzyszowi obietnicę. Niemniej jednakże przeraziły go postawione przez Henia warunki, na które zezwolił był niebacznie, usłuchawszy głosu próżności a nie zdawszy sobie należytej sprawy z swego przyrzeczenia. Myśl kolacji w towarzystwie lekkich „kobietek“ przerażała go obecnie, budząc w umyśle jego spra-

wiedliwe skrupuły. Wrodzona jego uczciwość, aczkolwiek przygłuszona próżnością bez granic, oburzała się na samo przypuszczenie podobnej stypy. Czuł, że biorąc udział w takiej biesiadzie, powróciłby do Juleczki skalany na duchu i niegodny jej miłości. — Nie wiedząc co począć w tem drażliwym położeniu, zwierzył się tedy ojcu z swemi kłopotami, ufny, że mu ten dobrej rady nie odmówi.

— Ależ dziecko jesteś, mój Fredziu — odparł śmiejąc się stary bałagula, uradowany iż się wreszcie zdarza upragniona sposobność uwikłania syna w kałę, mogącą dać powód do skandalu. — Dziecko jesteś mój drogi. Któż widział trapić się takimi skrupułami? Czyż się panna Chrzanowska o tem dowie?... czyż jej o tem kto doniesie?... A zresztą gdyby jej nawet kto o tem doniósł, to cóż?... Wszakże to zwyczaj przyjęty w świecie, że kawaler żeniąc się, urządza pogrzeb swego kawalerskiego życia!... Wielka rzecz! że z twoimi kolegami wypijesz kilka butelek szampana, że z nimi pogawędzisz, i że się z nimi trochę pośmiejesz!... Tak wszyscy robią!... tak i ja zrobiłem przed laty!... Biesiada taka, to niejako tłusty wtorek kawalerskich zapust; — potem przychodzi popielec małżeństwa....

— Tak Papciu, ale ja dałem Heniowi słowo, że na tę kolację zaphoszę kobiety... a może to niestosowne będzie... jeżeli...

— Cha, cha, cha! — jaki ty dziecinny!... zaśmiał się stary wyga rubasznie. — cha! cha! cha! chodź

że tu, niechaj cię uściskam księżuniu!... Toż to prawdziwa pensjonarka ten chłopiec... Słowo daję, w ramki go można oprawić jako obraz cudowny... A jakże ty chciałeś, żeby było inaczej? Pogrzeb kawalerskiego życia bez kobiet... cha! cha! cha!... Może z chórem karawaniarzy, co?... Idź-że, idź ty księżuniu;... wszak to się inaczej nigdy nie odbywa!...

I zerwawszy się z kanapy, jął chodzić po pokoju, zacierając ręce i śpiewając:

Bez kobiet — bez kobiet

Świat nie wart nic! Świat nie wart nic!

Bez kobiet — bez kobiet

Jam fryc! Tyś fryc!...

— No, no, no! mój ty kameduło! — zawołał nagle, siadając na fotelu, i przysuwając się do zakłopotanego panicza — nie dręcz się na próżno śmieszniemi skropułami... Kolację dasz swym kolegom, kolacyjkę *chic*, ja sam ci ją zadysponuje... I musisz przytem postarać się o kobiety, skoroś to Heniowi obiecał... Jakby to wyglądało, gdybyś zaraz na wstępie twojej samodzielności, nie dotrzymał danego przyrzeczenia.

— Dobrze Papiu! -- odparł na pół już przekonany paniczyk — ale...

— Jakie ale?

— Ja nie znam żadnych takich kobiet, które by zechciały...

— Co-o-o-o?

— Słowo honohu Papie daję, że nie znam takiej

kobiety, któraby od nieznanego przyjęła podobne zaphoszenie...

— Idź-że idź, ty świętoszku!... Będziesz mi gadał bajki o żelaznym wilku... Przecież nie dawno temu gadał cały Lwów o twoich wybrykach..

— Tak, to prawda!... odpowiedział rumieniąc się nasz paniczyk. — To były spiewaczki z tyngiel-tanglu... to była Amanda... Ale tej nie ma teraz we Lwowie, i nie znam dziś nikogo...

— Nie gadaj!...

— Słowo honohu daję!... Wyszedłem całkiem z stosunków...

— A no, to już twoja rzecz... Szukaj!... Wszakże jest jak sądzę we Lwowie Piesia... Ją zaprosz, a ona przyprowadzi już ze sobą kilka przyjaciółek...

— Ależ ja jej nie znam...

— To się z nią poznajom...

— Jak?...

— Uf, co za twarda głowa!... Czy ja wiem?... Przecież znajdzie się jakaś sposobność;... pójdz do jej łoży, przedstaw się i poprosz ją... Lub jeżeli nie chcesz, to napisz do niej grzeczny bilecik... Ja ją znam z Monaco... To bardzo poczciwe dziecko... Ona ci z pewnością nie odmówi...

— Dobrze Papciu!...

— Tylko śmiało... tylko śmiało!... Pamiętaj, żebyś nie zapomniał w gębie języka, boby cię wyśmiano na wieczne czasy... Taka kolacyjka nie obowiązuje cię do niczego, i nie kompromituje cię w za-

dnej mierze; — rozumie się, jeżeli nie przeholujesz znowu, tak jak wtedy, pamiętasz?...

— Ach zkadże znowu? — zawołał śmiejąc się paniczyk.

— No widzisz!... Tem ci lepiej żeś tak pewnym siebie.. cieszy mnie to mocno, bo widzę w tem dowód niezbity, że nie ma dla ciebie żadnego niebezpieczeństwa... Miłość mój kochany swoją drogą, a swoją drogą zabawa i światowe obowiązki... Rozumny umie to zawsze z sobą pogodzić... Spodziewam się, że i ty to potrafisz.

I podawszy panu mojemu rękę, wyszedł stary bałagula, spiesząc do Piesi, aby ją o zamiarach syna uprzedzić.

§. 42. Piesia.

Po odejściu ojca bił się młody pan mój długo, długo z myślami, nie mogąc uspokoić swego sumienia. Wrodzona uczciwość i niewygasłe jeszcze, acz przytłumione uczucie dla Juleczki, ostrzegały go przed lekkomyślnym uczynkiem, ku któremu go fatalnie pchały próżność i baczność na światowe względy. Walka ta napełniała go smutkiem, i niepokojem. I napróżno silił się nasz paniczyk zaczerpnąć otuchy, powtarzając sobie co chwila słowa ojca; — skrupuły jego nie chciały kapitulować przed sofistycznymi rozumowaniami starego bałaguly, których wątła budowa

rwiała się w swoich podstawach, ilekroć się odezwał zapytany przez naszego panicza głos zdrowego rozsądku i sumienia.

Walka ta atoli, której tu kierując się względami sprawiedliwości zaznaczyć nie omieszkalem, miała tylko teoretyczne znaczenie; powodowany próżnością i obawą, aby go nie wyśmieli koledzy powziął był nasz bohater z góry już swe postanowienie, i chodziło mu tylko o uspokojenie tego drugiego lepszego „ja“, które się w ludziach odzywa, ilekroć przystępują do wykonania zamiaru potępionego przez tego surowego sędziego, a niedostępnego i często natrętnego towarzysza. Nie mogąc tego dokonać, dał wreszcie nasz paniczyk za wygraną.

— Et — mruknął dodając sobie odwagi. — Głupi jestem, że się tem tak bahdzo thapię. Papa ma słuszość. Miłość swoją dhogą, a światowe względy swoją dhogą... Zhesztą wszyscy tak zawsze hobili i wszyscy tak hobia... Nie mogę się przecież na to nahazić, aby mnie wyśmiano....

I odłożywszy na bok ćwiartkę listowego papieru, na której przed trzema dniami rozpoczął list do Juleczki, zabrał się pan mój do pisania, donosząc Piesi iż pragnie się jej przedstawić, i prosi ją o wyznaczenie czasu i miejsca, gdzieby to mógł uczynić. Z listem tym wyprawił nasz bohater służącego swego do Heteri, rozkazując mu, aby odpowiedź niezwłocznie przyniósł do hotelowej restauracji.

Piesia nie dała panu memu długo czekać na odpo-

wieść. Znała go ona już z opowiadania starego bałagudy, — znała także i z widzenia; jak sobie bowiem z pewnością przypominają moi czytelnicy, zaintrygowało ją było nasze Niby swym pozornym spokojem, owego pamiętnego wieczoru, gdy rozłożywszy nad głową swą moje skrzydła, siedziało w łoży wpośród burzy zniecierpliwionej publiczności, niewzruszone i niemal wyzywające; chociaż w istocie trwogą pozbawione zmysłów i czucia. Młody „małpikrólik“ — tak go od tej chwili nazywała Hetera — przypadł jej był od razu do smaku, i zaraz tego samego wieczora zapisała go sobie w pamięci, zastrzegając sobie polowanie na tego panicza na czas późniejszy, jeżeliby się okazało, że rybka ta warta jest istotnie połowu. Zasiągnięte szczegóły o majątkowem położeniu mojego pana utrwaliły ją w tych zamiarach; aliści nagły jego wyjazd pokrzyżował je, i uniemożliwił ich wykonanie. Później w czasie pobytu naszego panicza w Podlipcach, zapomniała o nim Piesia zupełnie, i przypomniał jej go dopiero stary Rabaliński, którego znała z Monaco, i z którym w przyjaźnych żyła stosunkach, gdy po otrzymaniu listu od syna, donoszącego mu o swych małżeńskich zamiarach, przyszedł do swej przyjaciółki i zwierzył się jej ze swemi kłopotami. Wiadomość ta obudziła w niej dawną pożądkliwość, i na w pół żartem, a na w pół na serjo, ofiarowała przyjacielowi pomoc swoją, przyrzekając mu, iż byle ją zapoznał z „małpikrólikiem“, to przyłoży wszelkiego starania, aby go „odkochać“ pannie

Chrzanowskiej, i niedopuszczyć naszego bohatera do ołtarza.

Znając spryt i zalotność Heterę, przyklasnął stary bałagula tej myśli, widząc w niej jedyny ratunek przed niebezpieczeństwem, zagrażającym wpływom jego na zakochanego młodzieńca. I od tej chwili związała się ta zacna para do wspólnej roboty, jednym ożywiona duchem i jednaką dla Juleczki pałając niechęcią; — jak u wszystkich kobiet tego rodzaju bowiem, przybrał niebawem kaprys Piesi dla naszego Niby, podsycany i potęgowany myślą walki, i nadzieją zadowolenia miłości własnej, w razie jeżeli walkę wieńczy zwycięstwo, wszelkie cechy prawdziwej a gwałtownej namiętności. Nęciła Heterę intryga i nadzieja awantury. Kaprys jej dla mojego pana znajdował w jej sercu swe uprawnienie, i — że tak rzeknę — uświęcenie w tem, iż własny ojciec tego, którego podbić zamierzała, zezwalał na jej zamiary, i sam do ich urzeczywistnienia przyłożył obiecywał ręki. — Wmyślając się coraz bardziej w rolę szermierza dobrej sprawy i zapoznanych ojcowskich praw, w rolę wykonawczyni jakiegoś moralnego posłannictwa, poczęła powoli uważać naszego panicza za rzecz swoją własną, coraz bardziej nienawidząc swą rywalkę, i coraz większą pałając żądzą, aby się z nią zmierzyć w stanowczej walce, do której się sposobiała.

To też niewymowną radością napełnił Piesię stary bałagula, gdy jej przyniósł wiadomość, że pan mój prawdopodobnie uda się do niej, prosząc ją

ażeby obecnością swą zaszczycała kawalerską stypę, którą nasz bohater zamierzał uczcić swych towarzyszków. A więc nareszcie — nareszcie danem jej będzie zbliżyć się do tego złotopiórego ptaszka, na którego postanowiła zarzucić swe sieci! Myśl, że już nadeszła chwila, wystąpienia do stanowczej walki z Juleczką, której nieznała, lecz którą nienawidziła serdecznie, widząc w niej zapórę swego urojonego szczęścia, i przywłaszczycielkę tego, co za swoje dobro już uważała, upajała ją tak jak upaja żołnierza woń prochu, huk palby i szcęk broni w chwili, gdy się gotuje do boju z niewidzialnym jeszcze wrogiem. Drżąca z niecierpliwości i pełna gorączkowego niepokoju wyczekiwała nadejścia zapowiedzianej odezwy, czyniąc przegląd swych strojów, i wydając swej służącej odnośnie do przygotowań toaletowych rozkazy, pragnęła bowiem wystąpić przed naszym młodzianem w całej okazałości swych wdzięków i swojego *chic'u*, ażeby bądź co bądź doraźne w jego umyśle a korzystne dla siebie wywołać wrażenie. Udęczeniu temu, które miało wszelkie pozory niepokojów prawdziwej miłośnej tęsknoty, położył kres nakoniec Staś, wręczając jej list naszego panicza. Hetera znała już ze zwierzeń bałagudy tego wiernego sługę. Zapewniwszy więc sobie darem pięciu guldenów jego życzliwość, prosiła go, by usiadł przy niej na kanapie, i poczęła go pilnie wypytywać o szczegóły życia swojego pana w Podlipcach i obecnie we Lwowie, nie szczędząc słudze grzeczności i zalotnych uśmiechów, ażeby bądź

co bądź pozyskać w nim sojusznika dla swych zamiarów. Ośmielony postępowaniem Hetery, opowiedział jej Staś szczegółowo życie jakie prowadził nasz paniczek w Podlipcach, jego wspólne z Juleczką nauczycielstwo, ich dalekie przechadzki, ich pożegnanie, żal mojego pana gdy mu się rozstać z swą przyjaciółką wypadło, pociechę, którą zwykł był czerpać, mianowicie w pierwszych dniach samotności, poglądając na medaljonik zawierający fotografię pięknej góralki, słowem wszystko to co tylko wiedział o serdecznych tajemnicach naszego młodzieńca i jego dawniejszem i obecnem usposobieniu. Skończywszy spowiedź swą i przyrzekłszy nowej swej przyjaciółce pilną baczność i natychmiastowe doniesienie o wszystkich zamiarach swego pana, wziął Staś z rąk Hetery liścik dlań przeznaczony i pospieszył do hotelowej restauracji, gdzie nasze Niby popijając z swymi przyjaciółmi szampana, z gorączkową niecierpliwością wyczekiwało powrotu opieszalego posłańca.

List Piesi ogromne zrobił wrażenie na Budrysach. Uprzejmymi słowy donosiła w nim panu mojemu, Hetera, iż dziś wieczór oczekiwać go będzie w swej łoży, i że jej wielce przyjemnem będzie, jeżeli syn jednego z jej dobrych znajomych przyjdzie, aby wesolą gawędką rezerwać ją w jej samotności. Było to nic, ale sprytna kokietka umiała temu „nic“ wdziękiem stylu nadać jakąś woń upajającą, jakies dziwne „coś“ a co przeczyło obojętności, w czem się zdawała tętnić serdeczna życzliwość, uprawniająca do słodkich na-

dziei. A wszystko to w formie nadzwyczaj przyzwoitej i nie przekraczającej miary dozwolonej wielkim paniom swobody.

— *Heureux coquin!* — zawołał Henio pokrywając tym wykrzyknikiem uczucie zazdrości malujące się na jego twarzy.

— Co szczęśliwy, to szczęśliwy! -- potwierdził Lolo. — Czy uważaliście ton tego listu?... Niby to nic, a jednak... dałbym mały palec u mojej ręki, za to gdyby list ten do mnie był pisany...

— No jabym nie dał za to małego palca — ozwał się Toto przyglądając się przez szkło bilecikowi Hetery -- ale przyznam, żeby mi list ten, do mnie pisany, ogromną sprawił przyjemność... Patrzcie no moi drodzy, nawet i pismo zdaje się być jak gdyby drżącą ręką pisane.. Słowo daję, iż to dziwna rzecz, ale bym powiedział, że pisząc to Piesia była wzruszoną.

— Ba, czy nie uważałeś, jak ona Fredzia kokietowała wtedy w teatrze? — zauważył Lolo.

— Kiedy?..

— A tego wieczoru, pamiętacie, kiedyto była awantura z parasolem, o której pisał potem Gębosz w Warowni.

— Ach prawda, prawda! — potwierdzili Toto i Henio. — Musiałeś się jej podobać mój Fredziu!...

— Ależ co wam się śni!.... Przecież ona mnie nie zna i ja ją znam tylko z widzenia...

— To nic, to nic!... przypadłeś jej do gustu wi-

docznie... Korzystaj że z twojego szczęścia!...

— Dajcież spokój nie drwijcie!.. Nie dałem wam przecie żadnego powodu — odparł rumieniąc się nasz paniczek. — A potem wszak wiecie, że...

— Że co takiego?...

— Nic...

— No widzisz, że nie możesz nic na to odpowiedzieć!... A więc przyjmij nasze życzenia..., Zdrowie Fredzia i Piesi...

I na wezwanie Tota tręcili Budrysi kieliszkami o kieliszek mojego pana, który zagrzany swem powodzeniem, wychylił duszkiem ten toast, nie zawahawszy się nawet i chwilę.

§. 43. Syrena.

W istocie piękną była nad wszelkie wyrazy, gdy w „pyszmem sukien rozszumieniu“ weszła do swej łoży w towarzystwie jakiejś starej przyjaciółki, służącej jej za parawan, za sztafaż, którego celem było dzięki prawu sprzeczności podnieść wdzięki i majestat bogini. Czarna aksamitna, koronkami obszyta suknia ujmowała jej smukłą kibić, pozwalając odgadywać nieprzebrane bogactwo jej wdzięków, włosy jej upudrowane ścisłała czarna aksamitka, na której na kształt gwiazd rozsiane były brylanty najczystszej wody, migocące w świetle teatralnych żyrandolów. W rękę trzymała olbrzymi bukiet z pączków

ciemnych róż, których żywy karmin wesolą nutę rzucał w poważną symfonię jej stroju. Ale stokroć kraśniejszemi od róż tych były jej koralowe usta, wesolym i łaskawym rozjaśnione uśmiechem, — ale stokroć żywszym blaskiem od jej drogocennych brylantów płonęły jej oczy, — wielkie, czarne, rusałczane! — szatańską jakąś rozpalone pożądliwością, a jednak senne i marzące jak fiołkowe oczy blondynek.

Pojawienie się jej zrobiło na teatralnej publiczności niepospolite wrażenie; — zdawało się, że wszedłszy rozjaśniła szary zmrok zalegający salę, tak jak jutrzienka gdy zabłyśnie wieczorem na ołowianem niebie, rozjaśniając szyby drzemiących wód, i budząc je blaskiem z uspienia. Jakby na rozkaz jakiegoś mistrza ceremonji, zapadła w chwili wejścia czarodziejki kurtyna nad ukończonym prologiem sztuki, i żywszym zabłyśły światłem żyrandole, i hucznie zabrzmiały trąby orkiestry, rzekłbys na powitanie królowej. Wszystkie oczy, wszystkie lornetki zwróciły się z zajęciem i podziwem w jej stronę, ale ona nie zdawała się zwracać uwagi na te hołdy, do których była z dawien już przywykła; i rozsiadłszy się swobodnie w swem krześle, wodziła roztargnionem okiem po sali, aż spostrzegłszy nareszcie mojego pana przyłożyła do oczu swą wykwinłą paryzką lornetkę, przykuwając wzrok swój do jego twarzy z widocznem zajęciem i upodobaniem.

Chwilę jakąś siedział młodzieniec pod magnetycznym wpływem tego wzroku do miejsca przykuty

urokiem, przyjemnie wzruszony, a zarazem drżący obawą, która mu serce ścisnęła i krew pędziła do skroni, oblewając żywym rumieńcem jego lica. Wreszcie jakby pod wpływem nieubłaganego jakiegoś czaru, powstał i pożegnawszy swych towarzyszków w niemym zagłębionych podziwieniu, pospieszył do loży Hetery, która go powitała z uprzejmością i swobodą wielkiej pani, podając mu swą drobną rękę do powitalnego uścisku.

— O, ja Pana znam już od dawna — zawołała, gdy swe wymieniał nazwisko — znam Pana od tej pamiętnej awantury z parasolem... Chachacha! Nie uwierzysz Pan jak mnie to ubawiło, i jak się obawiałem serdecznie, aby rozwścieklona hołota nie rozszarpała Pana w swym gniewie... To było doskonale, wyborne!... Zaimponowałeś mi Pan swoją zimną krwią i odwagą.. Powiedziałam to sobie zaraz, że Pana muszę poznać koniecznie, i gdyby nie wyjazd Pański, to byłabym już Pana dawno zmusiła, byś mi się przedstawił... O bo pan nie wiesz: jestem okropnie uparta! jak mam jakiś kaprys, to nie spocznię prędzej aż go zaspokoję!.. No, teraz stoję nareszcie u celu, a więc *soyons amis!*... Nie prawdaż, że Pan nie masz nic przeciwko temu?..

— Ach Pani, jestem nadzwyczaj wdzięczny!... Tyle łaski! — odparł młodzieniec zakłopotany.

— *Chut!*... powiadam Panu, że to kaprys, a nie łaska!... Czy myślisz Pan, że się nie dowiadywała o Pana, że nie wiem o wszystkim? Ho, ho, znam

ja wszystkie pańskie tajemnice!... I to mnie właśnie bardziej jeszcze interesuje dla Pana... To tak rzadka rzecz dzisiaj mężczyzna z sercem!... Mężczyzna, który kocha prawdziwie!... To okaz muzealny!... to cud prawdziwy w dzisiejszych czasach!...

— Żle pani sądzi o mężczyznach!...

— Oh!... Znam ja ich dobrze, a kupiłam tę znajomość własnem doświadczeniem. Zapłaciłam za to nie jedną łzą! — odparła wzdychając. I twarz jej okryła okrył kir głębokiego smutku.

— Ale dajmy pokój temu! — zawołała po artystycznej pauzie. — To może nawet źle z mej strony, że słowami wszczepiam w Pana nieufność do świata i życia!... Panu uśmiecha się i jedno i drugie w tej chwili... No, powiedz że mi Pan powiedz, bardzo się pan kochasz w pięknej góralce? Lub raczej nie mów Pan nic!.. Ja wszystko wiem, wiem, wiem!... To przyjaciółka lat dziecinnych, nieprawdaż?...

— Tak Pani!...

— Takie uczucia bywają zawsze najżywszemi!.. Ach Boże, jaka ona szczęśliwa!... Czy to prawda, że Pan wspólnie z nią uczyłeś wiejskie dzieci?... Nie zapieraj się Pan tego!.. To wzniosłe! to śliczne! to charakteryzuje Pańskie uczucie!.. To jest najlepszym dowodem, jak mocno Pan kochać musisz!... To jest najlepszą rękojmią szczęścia dla tej, której Pan serce oddałeś...

Pochwały te wprowadzały mojego Pana w nie-

pospolite zakłopotanie. Głos sumienia mówił mu, że na nie wcale nie zasługiwał. Z drugiej strony drażniła go swoboda Piesi, która tak szturmem wdierała się w jego sercowe tajemnice. Aliści uczucie to przejściowem było tylko; zajęcie które okazywała Hetera zdawało się tak naturalnem, z tak serdecznej płynącej życzliwości, że nie sposób się było gniewać na nią za jej poufałość. Odgrywając wobec naszego bohatera rolę „poczeiwej mateczki“ lub starszej siostry, radującej się szczęściem swojego brata, snuła tak Piesia dalej wątek swej rozmowy wesoło i swobodnie, wyrażając się z najwyższą sympatją o Juleczce, i o zamiarach mojego Pana. Czasami tylko westchnienie, lub nerwowy i jak gdyby gdzieś z głębi serca dobywający się okrzyk: „Ach Boże! jakaż ona szczęśliwa!“ zdawał się zdradzać jakieś tłumione uczucie zazdrości, — uczucie, które zresztą schlebiało tylko próżności młodzieńca. Ukryty w cieniu łoży, siedział Pan mój słuchając jej pieśczośliwego głosu, i poddając się bezwiednie coraz bardziej opanowującemu go urokowi. Tak spędził cały wieczór w jej łoży zapomniawszy o Juleczce, o ludziach, o świecie, i ciężko mu było na sercu, gdy nadeszła chwila rozstania. Piesia sama musiała zwrócić jego uwagę na to, że czas już aby ją opuścił, i że zbyt długi pobyt w jej towarzystwie mógłby go narazić na plotki, których mu teraz jako narzeczonemu unikać wypada. Żegnając go powiedziała mu z kokieterją Hetera, iż nie przyjmuje jego zaprosin na wiadomą kolację w tej chwili, lecz że mu

nie odmówi, jeżeli przyjdzie powtórzyć zaproszenie w jej mieszkaniu.

§. 44. „Z kobietkami.“

Zaraz nazajutrz po tej w loży wizycie odwiedził pan mój piękną Heterę. Przyjęła go z tą samą uprzejmą serdecznością, i z tą samą swobodą przyjaciółki, która nie droży się z skarbami swych uczuć, i nie kryje ich przed przyjacielem. Upozorowaną w ten sposób poufałością wikłała go coraz bardziej w swe sieci. Zachowanie się jej zachwycało go i drażniło zarazem; uczuł w sercu dla niej wdzięczność za okazywaną mu życzliwą przyjaźń, i gniewała go ta myśl, że uczucie, które ona dlań żywi jest tylko przyjaźnią. Walka tych sprzecznych uczuć nie uszła była jej bacznemu oku, lecz sprytna i wiecznie na siebie zważająca, nie wypadła ani na chwilę z raz przybranej roli, okazując mu w miarę jak się roznamiętniał coraz większą serdeczność, lecz zarazem ograniczając ją coraz ściślej w ramach przyjaźni, jak gdyby nie wiedziała co się dzieje w sercu młodzieńca. W rozmowie tylko rzadziej mówiła mu już o nim i o jego zamiarach, natomiast zwierzała mu się z swych tęsknot, ze swego bezcelowego i bezmiłownego życia, z tej rozpaczliwej próżni którą czuje, nie znalazłszy nigdy i nigdzie srcca któreby godnem było jej miłości. Spędziwszy cztery godzin w jej towarzystwie wyszedł pan mój

smutny, rozdrażniony, błakał się po mieście marząc, marząc bez końca, a na tle jego marzeń rysowała się postać Piesi strojna we wszystkie czary i uroki. I od tej chwili nie myślał już jak tylko o niej, o niej bez końca.

Wreszcie nadszedł dzień godów, któremi nasz bohater zamierzał pożegnać swe kawalerstwo. Papa-Machiawel, który się gorąco zajął był urządzeniem tej biesiady, oświadczył w ostatniej chwili, iż nie może w niej wziąć udziału, twierdząc, że niespodziewany telegram powołuje go w nagłej sprawie do Czerniowiec, i że żadną miarą nie może odroczyć swego wyjazdu. Wyjeżdżając zapewnił syna, że o nic się troszczyć nie potrzebuje, gdyż wszystko jest już urządzonem jak należy. A można się było spuścić na to, że gdy pod tem marszałkowstwem urządzone, zadowolnią wymagania najwybredniejszego smakosza; od Krakowa bowiem po Czerniowce uchodził stary bałagula za pierwszą powagę w gastronomicznych sprawach.

Papa Machiawel nie zadał i tym razem kłamu swej ustalonej sławie. Wieczera była i pod względem zewnętrznej wspaniałości arcyświetnie urządzoną. — Trzy rzęsiście oświecone i kwiatami gustownie ozdobione salony zostały zajęte na cel biesiady. W jednym z nich stół był nakryty śnieżną bielizną i ozdobiony serwantkami pełnemi cukrów, owoców i bukietów. Na gustownym kredensie stały w srebrnych kociolkach mrożące się w lodzie szampany i omszone

butelki starych francuzkich, hiszpańskich i greckich win. Po wysłanej dywanami posadzce, krzątała się w milezeniu liczna służba, przykładając ręki do ostatecznego urządzenia godów, i oczekując zaproszonych gości. Drugi również rzęsiście oświecony i wykwintnie ubrany salon, przeznaczony był dla wygody biesiadników jeżeli by im po kolacji przyszła ochota bawić się dłużej jeszcze rozmową w wesołym gronie. W trzecim mniejszym panował półmierzch dyskretny. Tam w pośród kwiatów stała gotowalnia dla pań opatrzona we wszystkie toaletowe przybory, oraz otomanka z miękką poduszczką na wypadek, gdyby któryś z gości rozmarzony napojem uczuł potrzebę spoczynku.

O godzinie dziewiątej przybyli Bundrysi w czarnych frakach i białych krawatkach, a w ślad za nimi z trzema towarzyszkami w gustownym balowym stroju Piesia, okazała w swej piękności, choć nieco bledsza niż zawsze. Duże jej czarne oczy zdawały się przesłonięte chmurką melancholji, i smutnym się zdawał nawet uśmiech jej uprzejmy, — błądy tak jak srebrny promień księżyca. Po zwykłych przywitaniach i przedstawieniach, zabawiono się czas jakiś jeszcze rozmową w salonie, poczem udało się towarzystwo do jadalnej sali na wieczerzę, gdzie około okrągłego stołu zasiedli goście w ten sposób, iż każdej z pań dostało się dwóch sąsiadów, a każdemu z panów dwie sąsiadki. Piesi wypadło usiąść pomiędzy panem moim a Totem.

Licząc na blask swej dziewięciopalkowej korony, z właściwem sobie zuchwalstwem zagaił młody hrabia rozmowę swą w tonie lekceważącej ironji. Odpowiedziała sprytnie, uprzejmie, lecz z wielką powagą, tak, iż zbitemu z tropu odeszła ochota do dalszej pogadanki. Zuchwały panicz sądził, iż znajdzie w swej sąsiadce Heterę przywykłą do tego by ją lekceważono, — znalazł wielką panią pełną taktu i poczucia swej godności. Zawstydzony i zmieszany zwrócił się więc ku drugiej swej sąsiadce, pozostawiając naszego bohatera Piesi, która też odtąd wyłącznie nim się zdawała zajęta, i gwarzyła z nim swobodnie i poufale, jak gdyby oprócz niej i mego pana nikogo nie było w tem gwarliwym towarzystwie. Zajęta rozmową z swym sąsiadem nie tykała nawet jadła ni napoju, dopiero gdy Lolo podniósł toast na cześć gospodarza pochwyciła nerwowym ruchem pełny kielich musującego szampana, i wychyliła go duszkiem, ścisnąc drobnią rączką rękę mego pana. Zajęcie z którym Piesia oddawała się rozmowie z swym sąsiadem, nie uszło baczności biesiadującego grona. Bohater nasz zauważył pełne zazdrości spojrzenia, któremi go oblewali jego towarzysze, a spostrzeżenie to schlebiało jego próżności. Zagrzany trunkiem, i mile rozmarzony zalotnością Hetery, siedział rozpluwając się w uczuciu bezmiernej błogości, płonący zachwytem bez granic, zasłuchany w pieszczotliwy głos swej kusicielki, zapatrzony w spojrzenie jej łzawo namiętych oczu.

Nagle po licznych innych toastach powstał niewyczerpany w swych konceptach Henio, i wznosił uroczystym głosem zdrowie Juleczki, — „zdrowie tej, której wdzięki zdołały podbić złotego motyla, i wydarłszy go światu, przykuć do ołtarza domowych bogów.“ — Zakłopotany tym niewczesnym a niesmacznie i z widocznym zamiarem szyderstwa wypowiedzianym toastem, pospieszył pan mój trącić swą czarką o czarki biesiadników, nie zauważszy w swem zakłopotaniu wrażenia, jakie na jego sąsiadce wywarły słowa Henia, i widok hołdu oddanego tej, którą uważała za swą rywalkę. Martwa, skamieniała, z przymkniętymi oczyma, z zagryzionymi aż do krwi ustami siedziała Piesia, ściskając konwulsyjnie nóż deserowy w swej dłoni. Przyjmując banalne życzenia swych gości, i składając im wymuszone podziękowania, zbliżył z kolei młodzieniec nasz kielich swój do kielicha sąsiadki. Wtedy, jak gdyby rozpalonem dotknięta żelazem rzuciła się Hetera w bok, odtrącając jego rękę, i przesywając go roziskrzonem spojrzeniem swych załzawionych oczu. A była cudownie piękną z temi płonącymi oczyma, z tym wyrazem zagniewanej lwicy na śmiertelnie bladej twarzy, z tem namiętnie falującym łonem, — pełna szatańskiego jakiegoś wdzięku, który zarazem trwożą napawał, i nieubłaganym czarem ku sobie pociągał, jak przepaść rozwartą pod nogami wędrowca. Pod wpływem tego uroku stał pan mój z podniesionym do góry kielichem, z pierśią bez oddechu, niemy, zapatrzony w bezdenną

głębiej jej oczu. Tak rozmawiali z sobą chwilę w milczeniu — oczyma.

— Dość tej komedji! — zawołała nagle zmienionym głosem Hetera. — Ja jej nienawidzę!... Nienawidzę jej, bo mi Ciebie wydarła!...

I ująwszy silniej nóż, który trzymała w konwulsyjnie zaciśniętej dłoni, uderzyła nim w jego czaszę, tak, iż kawałki zdruzgotanego szkła rozleciały się po sali, a szumiący trunek rozpryskując się oblał biesiadujących gości. Potem, jakby złamana tym wysiłkiem, osunęła się na fotelu, rzęsistemi zalewając się łzami i spazmatycznym zachodząc się śmiechem.

Niespodziewane to zdarzenie położyło oczywiście koniec wesołej biesiadzie. Przerażeni spazmowemi kurczami Piesi, i obawiając się jakiejś katastrofy, któraby mogła w mieście wzniecić plotki, i narazić ich ponownie na gadaninę złych języków, ulotnili się Budrysi, pozorując swą ucieczkę potrzebą sprowadzenia lekarza. W ślad za nimi wymknęły się przyjaciółki Hetery, nie zapomniawszy wprzód obrabować cukrowych i owocowych serwantek biesiadnego stołu. Przy chorej pozostał mój pan sam jeden. Przeniosłszy ją przy pomocy służby do małego saloniku, i ułożywszy na wygodnej otomanie, usiadł u stóp jej, najsprzeczniejzemiotany uczuciami. Widok cierpienia pięknej Hetery, wobec których czuł się bezradnym, zatruwał mu serce rozpaczą, lecz z drugiej strony bezmiarem szczęścia napawała go myśl, że Piesia go kocha, i że go musi kochać namiętnie, skoro uczucie

jej z taką się objawiło gwałtownością. Zanurzony w myślach tych, siedział u stóp jej, rozgrzewając jej zimne ręce na swem łonie, okrywając je pocałunkami, i upajając się wonią jej gorącego oddechu.

Pod wpływem pieśczęt tych uspokoiły się niebawem rozdrażnione nerwy Hetery bez lekarskiej pomocy; — radzi bowiem, iż się im wymknąć udało, nie pokusili się nawet tchórzliwi Budrysi o szukanie lekarza w tak spóźnionej porze, ażeby w danym razie móżdż się otrząść z zarzutu, iż uczestniczyli w biesiadzie, o której wyniku nie byli pewni, czy nie dostarczy wątku do plotkarskich komentarzów. Wiedząc, iż osobom na nerwy cierpiącym najpożądanym jest spokój, odprawił był pan mój służbę hotelową, zatrzymawszy na wszelki wypadek jednego tylko lokaja, który w przedpokoju dyskretnie oczekiwał możliwego rozkazu. I tak tedy zalegała obszerne biesiadne komnaty samotność i cisza, w chwili gdy się piękna Hetera ocuciła z swej niemocy.

— Wybacz mi Fredziu! — szeptała cichym i jak gdyby złamanym głosem patrząc tęsknym wzrokiem na swego towarzysza. — To było nad moje siły!... Nie mogłam klamać dłużej... nie mogłam dłużej taić uczucia... Tutaj mnie paliło. tutaj!... Twój przyjaciel dotknął tej piekającej rany... Nie mogłam bólu wytrzymać...

— Jabym ciebie miał winić o to, Ciebie moja dhoga, jedyna? — odparł namiętnie młodzieniec. — Mnie tylko to boli że ciehpałaś, że ciehpisz może

jeszcze z mojej przyczyny.

— Och tak, cierpię, cierpię niezmiernie!.. cierpię bo ciebie kocham Fredziu — kocham nad życie!..

I zarzuciwszy mu ręce na szyję, wpiła mu w usta swe usta płonące żarem namiętności i pożądliwości bez granic.

— O jak to słodko, jak to miło kochać! — zawołała jak gdyby upojona rozkoszą tego pocałunku. — Patrzej Twój całus mnie uzdrowił... Już mnie teraz nie boli!.. Już mi nie brak niczego na świecie!.. Nie, ona Ciebie tak nie będzie kochać ta szczęśliwa!.. Czyż one kochać umieją te panie?... Dla ich samolubnego serca potrzeba wzajemności... Mnie dość tej chwilki rozkoszy odkradzonej wiecznym tęsknotom... Ja nie pytam czy ty mnie kochasz; mnie wystarczy to, że ja kocham Ciebie...

— Ależ i ja ciebie kocham Piesiu, kocham nad życie...

— Cyt! — zawołała, zamykając mu ręką usta. — Ja tego nie żądam, byś mnie pocieszał!.. Ja wiem, że to być nie może... Ja wiem, że ty we mnie widzisz kobietę upadłą... Ja też od Ciebie niczego nie żądam, prócz chwili rozkoszy!.. O pozwól mi ustek twoich jeszcze raz, raz jeden! — dodała jak gdyby własną się zapalając namiętnością — Chodź tu, tu na moje łono!.. Niech spłonę w twym pocałunku! niechaj się stopię w twoim uścisku!..

§. 45. Epilog.

Pierwsze brzaski rannego świtu stukały już do okien hotelowego saloniku, gdy się nasz młodzieniec zbudził z swych rozkosznych zachwytyw. Przezorna, a pewna już swego tryumfu Hetera sama mu przypomnieć musiała, że już nadeszła chwila rozstania. Nie chcąc swej towarzyszki po świeżo przebytej niemocy pozostawić bez opieki, wsiadł pan mój razem z Piesią do jej powozu, i kazał się zawieźć do jej mieszkania, aby tam resztę nocy przepędzić na gawędzie. I od tej chwili stał się dom jej niemal jego domem, coraz silniejszymi bowiem były różanne więzy, któremi go pętała sprytna Hetera. Tak przeżył nasz scyzoryk znowu tydzień cały, spędzając wszystek czas swój w towarzystwie pięknej kusicielki, i nie myśląc wcale o powrocie do Podlipiec, i o danych Juleczce przyrzeczeniach.

Ale po tygodniu takiego życia ogarnęły go przesyt i nuda, i pod wpływem ich począł nasz bohater myśleć o wyjeździe. Żywiej w jego umyśle zarysowała się znowu postać pięknej wieśniaczki, tak dobrej, tak szlachetnej, tak kochającej a haniebnie zdradzonej i przypomniał mu się sen jego dawny, w którym pomiędzy prześladowającemi go ptakami widział także i Piesię, grożącą mu ostrym dzióbem i potężnymi szponami. I począł tęsknić do tego spokojnego wiejskiego zacisza, gdzie tyle spędził błogich

dni, nie zaznawszy smutku ni znudzenia. Aliści tak silnemi były kępujące go więzy, że tęskniąc do swego minionego szczęścia nie mógł się zdobyć na krok stanowczy, którym by zdołał zerwać ciężące mu pęta. Smutny więc i znudzony pędził tak żywot swój dalej, odkładając wyjazd swój z dnia na dzień, aby się nie narazić Piesi, która z dniem każdym coraz bardziej się stawała wymagającą.

Aż dnia pewnego właśnie w chwili gdy powracał od swej trapiicielki bardziej jeszcze znudzony i znękanym, doręczono mu list pozostawiony, u hotelowego szwajcara przez jakiegoś rannym pociągiem przybyłego, starego wiejskiego sługę, który złożywszy pismo w bezpieczne ręce, i wzięwszy poświadczenie skutecznego doręczenia, tą samą dorożką kazał się odwieźć na dworzec kolei. Na wieść tę serce memu panu uderzyło gwałtownie, z opisu bowiem który mu zrobiono poznał, iż oddawcą listu musiał być stary Jacus, kredencierz podlipieckiego dworu. Cóż mogło być powodem jego przybycia? co przyczyną pospiesznego odjazdu? Srodze zaniepokojony pospieszył Pan mój szybkim krokiem do swego mieszkania, by tam odczytać ów list, nie wróżący mu pomyślnych wieści.

Było to w istocie pismo Julcinej matki. Drżącą ręką rozerwał pan mój kopertę, z której wypadł z brzękiem na podłogę piescionek, — ów brylantowy pierścionek, podarowany niegdys przezeń Juleczce w chwili pożegnania.

„Osoba nam nie znana a Panu wiadoma, tak pisała pani Chrzanowska — odesłała nam medaljon z włosami i fotografią Juleczki. Nie pozostaje nam tedy nic, jak tylko zwrócić Panu Jego pierścionek i zwolnić Go z danego słowa. — Opuszczamy z Juleczką Podlipce, wyjeżdżając na lat kilka za granicę. Nie staraj się Pan szukać nas, — oto ostatnia proźba, którą do Pana zanoszę. Odzywam się w tej mierze wprost do Pańskiej ucziwości, zrozumiesz Pan bowiem, że wszelkie usiłowanie odnalezienia nas, nie osiągnęłoby żadnego skutku, a byłoby dla nas tylko przyczyną boleści.

Chrzanowska.“

W oczach się zaćmiło naszemu bohaterowi, po przeczytaniu tego listu. Stanowczy charakter Juleczki był dlań niezawodną rękojmią, że szczęście jego umarło.

— Zhańbiony! na wieki zhańbiony! — zawołał wrywając sobie włosy z głowy. — Zhańbiony na wieki i na wieki nieszczęśliwy! — Czas jakiś siedział z zwieszoną głową, złamany tym ciosem, mżąc w niemej rozpacz. Potem aby uczynić folgę swemu gniewowi, zerwał się i pobiegł do Piesi, którą pożegnał był przed chwilą. Hetera powitała go z zwykłym swym uprzejmym uśmiechem.

— Mój medaljon? — zawołał głosem drżącym od wściekłości.

— Co za medaljon? — zapytała szyderczo.

— Medaljon z włosami i fotografia mej narze-

czonej... Tyś go wysłała do Podlipiec?...

— Tak jest! — odparła sucho.

— Ależ to podle! to nikičemnie!..

— Mój Panie racz się Pan nie zapominać... Mia-
łam prawo zrobić z nim co mi się podobało, boś mi
go Pan darował..

Wtedy dopiero przypomniał sobie Pan mój, że
Piesia leżąc raz na jego piersiach rozgryzła jedwabny
sznurek na którym zawieszony był medaljon Juleczki,
i że podstępnie wyłudziła na nim podarunek przed-
miotu, który mu — jak powiadała — ukradła.

— O ja nieszczęśliwy! — zaryczał młodzieniec
gwałtownym wybuchając płaczem.

— Chachacha! — zaśmiała się Piesia. — Co za
dramat wyborny!!.. Wiedziałam że tak będzie.. Takie
to one są wszystkie te samolubne panie!.. Czy to one
kochać umieją? czy się umieją poświęcić dla kochanka?..
Nie, miłość własna tylko i próżność są ich żywiołem!..
Dla nich wszystko poświęcą!..

— Podła! — zawołał młodzieniec zaciskając
pięści.

Nie odpowiedziawszy mu nic na tą obelgę, po-
cisnęła sprężynę dzwonka stojącego na stoliku, przy
którym siedziała.

— Józiu! — rzekła spokojnie do wchodzącej
służącej. — Usiądź tu na krześle;... będziesz czekać
dopóki ten Pan nie wyjdzie.

— *Charmant!* — dodała po francuzku jak gdyby
mówiąc do siebie. — Inny by się nie posiadał z ra-

dości, gdyby widział, żem raczyła walczyć o niego, żem go ocaliła z siideł bezdusznej rywalki, a on?..

Nie mogąc ścierpieć szyderczego tonu, którym to mówiła, zerwał się panicz i wybiegł na ulicę, udając się do swego mieszkania. Cztery dni błąkał się nasz bohater, to szukając ludzi, to uciekając przed nimi, i nie mogąc sobie znaleźć miejsca, tak jak zwierz zraniony. Czwartego dnia uciekając przed nudą i tęsknotą zapukał do drzwi Hetery.

— Jesteś? — rzekła witając go cukrowym uśmiechem. — Jam wiedziała, że powrócisz!... Nie na tom ciebie przecie jej wydarła ażebyś mnie porzucił... Chodź, chodź, tu w moje objęcia, mój drogi, mój jedyny... Patrz, jam ci przebaczyła wszystkie twe obelgi.

I rzuciwszy mu się na szyję spoiła usta swe z jego ustami

W kilka dni po tej zgodzie, odprowadzał Papa-Machiawel, który tymczasem powrócił ze swej wycieczki, i któremu pan mój wypłacił resztujące dwadzieścia tysięcy dla uzupełnienia przyrzeczonej mu sumy, bohatera naszego i piękną Piesię na dworzec kolejowy.

— A pamiętajże nie zgrać się w Monaco? — zawołał stary bałagula żegnając syna, który zdawał się aż po siódmym bujać niebie. — Wolisz czekać na mnie; — ja tam za tydzień przyjadę, i nauczę cię mej martyngalacji.

— Nie bój się Papciu! — odparła poufale śmie-

jąc się Hetera. — Ja mu nie dam grać... Ho, ho, on musi mnie słuchać koniecznie.

* * *

I na tem koniec! A cóż się stało z Juleczką? i z panią Chrzanowską zapytają czytelnicy. Stara parasolka damska z którą w lat kilka po tych wypadkach kolegowałem w tandecie, opowiadała mi, że pani Chrzanowska w pół roku po swym wyjeździe z Podlipiec umarła, przygnębiona zgryzotą swej jedynaczki. A Juleczka? — Juleczka wstąpiła po śmierci matki do Zakonu Szarytek.

KONIEC PAMIĘTNIKÓW STAREGO PARASOLA.



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

3.

F
3787